Zbiór powieści

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom ośmdziesiąty szósty i siódmy.

RESZTKI ŻYCIA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

De que la vida servia?
Tirso de Molina.
El burlador de Sevilla
(A. II. s. XIII).

Tom III. i IV.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10
1875.

WARSZAWA.
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Pillera i Gubrynowicza et Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

I.

Okolica Kaniowiec obfita w piękne przechadzki i dalekie widoki, pomimo uroku lasów sąsiednich i wybrzeży stawu który się daleko ponad miasteczkiem rozciągał,— wspaniałą ruiną pojezuickich murów najwięcej ku sobie nęciła. Tu zwykle w wieczory letnie i ranki wiosenne przychodzili pustelnicy z ulicy Dworkowej na samotne rozmyślania, czytać w chłodzie lub jedni drugich śledzić z daleka. W piękne dnie ogród sąsiedni zawsze był pełen osób, a każdy miał ulubiony jakiś kątek, który szczególniej ukochał. — Przyczyniało się i to może do wyboru miejsca, że wzgórze pojezuickie najbliżej było miasteczka, a sucha prawie zawsze ścieżynka, wiodła ku niemu cieniem drzew osłoniona.

Po odjeździe pana Joachima w dworku Podkomorzanki pusto się jakoś i smutno zrobiło; nikt o oddalonym nie mówił, ale twarze pokazywały, że go im wszystkim brakło. Adela wprawdzie zajmowała się swoją uczennicą z zapałem i rozkoszą, ale salonik w godziny wolne, smutny jakoś i bezludny się jej wydawał.

Podkomorzanka zamyślona siadywała nad swoją siatką której iglicę często po kwadransie trzymała w ręku nieruchoma, to znów gwałtownie poczynała nierówne plątać oka. Zjawili się zaraz Szambelan i Referendarz, sądząc że pod niebytność wybranego, potrafią go zastąpić, ale zimno ich przyjęto.

Żelizo mniej teraz uczęszczał do dworku, a gospodyni postrzegła w nim wielką zmianę, onieośmielenie jakieś, niepokój, twarz nawet nie tak swobodnie opro-

mienioną młodością jak dawniej. Na czole jasnem troska napiętnowała marszczki które życie miało ryć coraz głębiej. Wzrok nawet Adeli dawniej wszechmocny przygrzewający nie miał siły wywieść go z zadumy i pogrążenia.

Jednego z wieczorków po wyjeździe Wielicy, tak jakoś nudnie i długo płynęły godziny Podkomorzance, że się zebrała na przechadzkę później niż zwyczajnie, choć mrok już szary poczynał okrywać okolicę.

Oktaw, Adela i ciotka udali się milcząc znajomą nam uliczką znowu ku tym murom, gdzie najwygodniej im było patrzeć na dalekie błonia, godzinę spędzić w zamyśleniu i samotności. Nie wiem jak to się stało, że czatujący na te przechadzki sąsiedzi, niepostrzegli naszych pań i nie pogonili za niemi, tak że Oktaw sam im towarzyszył.

Wszyscy byli milczący i pochmurni, rozmowa się nie kleiła wcale, a Podkomorzanka podrażniona nie wiedząc czem, niespokojna w gorszym niż zwykle humorze, gniewała się sama na siebie za to usposobienie, którego nie mogła wytłumaczyć.

Powoli weszli na górę, a ścieżki wydeptane powiodły ich za klasztor i kościół ku zarosłemu drzewy ogrodowi i kapliczkom. Pusto już było w tej stronie i zdala tylko głos pastuszków powracających z łąk ciszę przerywał piosenką, nad doliną wypogodzone jaśniało niebo, a staw odbijał w sobie ciepłe blaski zachodu.

Adela przypatrywała się z zajęciem obrazowi okolicy i stawała ilekroć z między drzew ukazał się okolony gałęźmi piękny pejzaż Kaniowiecki; Żelizo szedł za niemi posępny, Podkomorzanka zamyślona....

Na tylnej ścianie gmachu kościelnego wmurowanych jeszcze było kilka nagrobnych kamieni, aby się im przypatrzeć i wiersz jakiś o którym Żelizo wspominał odczytać, zbliżyli się razem ku ruinie, do której podziemiów wiodły tu właśnie drzwi dawniej zapewne obwarowane, dziś stojące otworem. Wnijście to zasypane stosem obwalonych cegieł, zarosłe chwastami, korytarzem ciasnym spuszczała się w lochy grobowe....

Właśnie po nad niem i z boków były owe płyty kamienne, których napis wskazał Żelizo; na jednej z nich serce matki wypisało żal swój po dziecięciu takiemi słowy gorżkiemi i pełnemi tęsknoty, że czytającym łzy zakręciły się w oczach.

Stali powtarzając po cichu ów wiersz natchniony boleścią, gdy nagle z czarnej owej jamy wiodącej do podziemia, którędy ledwie ciasne zostawało przejście, dał się słyszeć szelest i w tejże prawie chwili przez otwór ciasny okazała się postać blada okurzonego, z rozczochranym włosem nieznajomego z ulicy Dworkowej.

Z obu stron spotkanie to było tak niespodziane, że Adela i Żelizo nawet z krzykiem się cofnęli jakby ujrzeli upiora, a nieznajomy wstrząsł się cały na widok jakby tam umyślnie dla śledzenia go postanowionych świadków. W pierwszej chwili chciał nawet cofnąć się szybko żeby poznanym nie być, ale oczy jego padły na osłupiałą Podkomorzankę, i wzrok obojga spotkał się, zatrzymał, długiem wejrzeniem badając wzajemnie. W rysach twarzy kobiety malowało się niepojęte zdumienie, przestrach i rozczulenie, na twarzy mężczyzny zrazu gniew, potem uczucie jakieś niewyczytane, wpół szyderskie, pół przejęte — ale z obu twarzy łatwo było poznać, że nie samo niespodziewane zjawisko gościa z podziemiów, nabawiło strachem i przerażeniem, ani schwytanie go na tajemniczej grobowej przechadzce....

Podkomorzanka stała nieruchoma ze wzrokiem wlepionym w twarz nieznajomego, drżąca, z usty jakby do krzyku otwartemi, Poroniecki nie spuszczał z niej oka, skamieniały i zbladły. Adela po dziecinnemu się wylękła, chciała uciekać ale widząc ciotkę odrętwiałą nie śmiała jej porzucić, Żelizo rzucił się także na ratunek Podkomorzanki, która powoli przechodząc z tego stanu dziwnego osłupienia, krzyknęła, posłoniła się i omdlała. — W chwili kiedy się ku niej, by ją ratować rzucono, postać nieznajomego znikła im z oczów nagle. — Żelizo pobiegł po wodę do sadzawki, Adela odeszła już ze strachu, przyklękła przy ciotce usiłując do zmysłów przywieść rozcieraniem i wołaniem. Ale Podkomorzanka

tak była silnie zemdlona, że ledwie chłodną wodą potrafili się jej dotrzeźwić nierychło.

Nareszcie otworzyła oczy powoli, ale zaczęła się śmiać serdecznym śmiechem boleści, który przeraził równie Adelę jak Żelizę, nieumiejących poradzić sobie, a wzrok jej wlępiony w jedno miejsce świadczył o nieprzytomości. Nie wiedzieliby może co począć, gdyż Żelizo obawiał się odejść i Adelę samą porzucić przy chorej, gdyby na głos przerażającego śmiechu tego nie zjawiła się nagle Andzia, której głowa pokazała się z za krzaków naprzód, a w tejże chwili sama dziewczyna przypadła na ratunek Podkomorzanki.

— Co to jest? — zawołała żywo, — przestraszyła się pani czegoś?....

I nie czekając odpowiedzi poczęła zdjętą z szyi chusteczką silnie rękę przewiązywać.

Śmiech ustawał powoli i łzy potoczyły się po twarzy Podkomorzanki, milczące, obfite, oko oprzytomniało, słaby głos począł niewyraźnemi słowy się odzywać.

Andzia ze zręcznością ludzi przywykłych radzić sobie samym w każdym przypadku, powoli podniosła jej głowę, posadziła i palcem na ustach położonym zaleciła Adeli milczenie. Wszyscy przelękli skupili się dokoła czekając końca tej kryzys, która ich przeraziła swą gwałtownością.

Usta Podkomorzanki wciąż jeszcze niezrozumiale szeptały:

— On! on!

— To nasz sąsiad z Dworkowej ulicy, — odezwał się wreszcie Żelizo, — ów nieznajomy o którym pani słyszałaś.

— On się tu nieustannie włóczy! — dodała Andzia.

— To on! — powtarzała obłąkanym wodząc wzrokiem Podkomorzanka.

— Wszyscyśmy się przestraszyli — szeptała Adela prawie rozpłakana tem ciotki położeniem, ale nigdy się nie spodziewała żeby ciocia tak okropnie przerazić się mogła.... Co za nieszczęśliwy przypadek....

Znajomy głos Adeli, krzątanie się Andzi która ży-

wo zajmowała się chorą, wywiodły ją nakoniec z tego przykrego stanu nieprzytomności.

— Chodźmy do domu — odezwała się cichym głosem.

Ale powstawszy z ziemi na którą upadła, tak się uczuła złamaną im bezsilną, że z jednej strony Oktaw z drugiej Adela ręce jej podać musieli. Andzia poszła przodem wskazując im drogę już o mroku coraz gętszym niepewną. Co chwila potrzeba się było zatrzymywać dla spoczynku, tak silnie Podkomorzanka tem wstrząśnieniem nagłem dotkniętą została; brak jej oddechu, jakieś obezwładnienie ją ogarnęło, a na mnogie pytania towarzyszących, ledwie się słowem niewyraźnem odzywała, niekiedy jeszcze cicho do siebie powtarzając: — To on!

Dla tych co znali ciocię wesołą, panią siebie, przytomną zawsze i nieulegającą nigdy wrażeniom strachu, wypadek cały był niepojęty.

Wprawdzie zjawienie się nagłe tej postaci wychodzącej z grobów, wybladłej, dziwnej i do upiora podobnej, mogło bardzo przerazić, ale przestrach już był minąć powinien, a Podkomorzanka co chwila zdawała się słabsza i silniej jakiemś wrażeniem wewnętrznem przejęta. Adela nie poznawała ciotki, Żelizo gubił się w domysłach.

Tak wszystko czworo dowlekli się powoli podtrzymując przestraszoną do uliczki Dworkowej a tu Żelizo zostawiwszy ją w ręku kobiet pobiegł po matkę na ratunek; gdy Andzia silnie ująwszy słabą, wraz z Adelą przeprowadziła do domu.

Oktaw tłumaczył to sobie samym przestrachem, ale nigdy w życiu podobnego jeszcze nie widział, obawiając się więc o skutki pospieszył do matki.

— Kochana matko! — zawołał wpadając wzruszony do dworku w którym właśnie odbywała się wieczorna modlitwa, — Podkomorzanka zachorowała nagle!...

Stary Żelizo na głos syna w którego dźwięku poczuł wzruszenie głębokie, przerwał pacierze.

— Co się stało, moje dziecko?

— Podkomorzanka z przestrachu zachorowała, ledwie-

śmy ją osłabłą do domu potrafili przeprowadzić, spieszcie na pomoc, bo tam głowy potracą.

— Jakże? z czego? — zawołała matka już wdziewając chustkę — co się stało?

— Poszliśmy na przechadzkę do murów jezuickich.... znacie z tyłu kościoła napisy grobowe gdy jest nagrobek dziecięcia. Staliśmy i czytali, gdzie ten dziki człowiek Poroniecki niewiedzieć zkąd zjawił się nagle u wejścia do lochów, i jak upior stanął przed nami. Podkomorzanka dostała mdłości, serdecznego śmiechu, i jeszcze do siebie przyjść nie może.

— Cóż on tam robił w lochach? — zapytał Żelizo.

— Bóg go wie, całe życie tajemnicą, a mówią że się tam nieustannie włóczy po tych zwaliskach.

— Biegniejże Jegomość, a ty Oktawie idź za matką i dawaj im znać.... Jużciż to bardzo przelęknąć się nie mogła żeby ją to aż o chorobę przyprowadziło! Ale cóż tam robił ten człowiek?

I starszy począł się modlić zaraz na intencję chorej wracając po chwili do tego spokoju, który był stanem zwyczajnym jego duszy.

Żelizowa z synem wyszli spiesząc do dworku. Mijali właśnie uliczkę wiodącą do ruin, gdy Oktaw uczuł się pociągnionym za rękę i o mało nie krzyknął znowu ujrzawszy Poronieckiego, który go wstrzymał gwałtownie.

Twarz nieznajomego była bledsza niż zwyczajnie, oczy obłąkane, usta drżące, a wyraz cały okazywał niepokój i dziką jakąś namiętność wzburzoną.

— Co się z nią stało? — szepnął Oktawowi.

— Przestraszona widokiem pańskim omdlała, — rzekł młody człowiek — ledwieśmy się ocucić jej mogli.... ale bo też potrzeba wam było ukazać się tak nie w porę....

— Powiedz mi — ktoż to jest ta kobieta? gorąco począł Poroniecki.

— Panna Podkomorzanka!! przecież widywać ją lub słyszeć choć o niej pan musiałeś....

Panna... powiadasz... a imię jej? — pytał nieznajomy natarczywie.

— Ludwika!

Poroniecki stał wrosły w ziemię, oczy mu się tylko iskrzyły.

— Tak! — rzekł do siebie uśmiechając się — fatalność... ukazałem się wychodzący z grobów... bom dawno umarły! — los jest logiczny zawsze.

— Ale cóż tam pan robił?

— Żywi z żywymi, umarli muszą z umarłymi przystawać, co dziwnego? Nie uważasz, że ja upiorem jestem? Za karę tylko noszę zeschłe ciało i pogruchotane kości po świecie. Zresztą? — ale idź, — przerwał, dowiedz się co się z nią dzieje, i przyjdź mi oznajmić, jakeś... dobry, a raczej jakeś młody.

To mówiąc niepewnym krokiem Poroniecki skierował się ku swojemu domowi, a Żelizo za matką do Podkomorzanki.

II.

Gdy się ujrzała znów w swoim cichym saloniku, otoczona znanemi twarzami i ścianami biedna chora, powoli odeszła jej zupełnie odrętwiałość i zesłabienie, rumieniec powrócił na twarz, oczy nabrały blasku i rozdrażnienie tylko jakieś po tem grobowem widzeniu pozostało.

Żelizowa znalazła ją już uśmiechnioną łagodnie i usiłującą uspokoić przytomnych, a Adela u nóg klęcząca, szczebiotała, starając się ciotkę rozweselić i cały wypadek w żart obrócić.

— Wszyscy tu znają tego dziwaka, — mówiła, — a Andzia kilka razy o nim wspominała...

— Bóg go tam wie co on robi, ale ja go nie sto razy spotykała u Jezuitów, — dodała dziewczyna. —

I mnie on nastraszył nie raz wychodząc nagle z jakiejś kryjówki, bo się nie boi w najciaśniejsze wciskać kąty... ale to musi być chyba czarownik jaki lub szalony... bo cóżby on tam raz wraz robił? W miasteczku od czasu jak tu przybył z nikim się nie poznał, a Szambelana co go śledził, oduczył od tego podobno dosyć niegrzecznie... chodzi sam, nie żyje z nikim. Raz tylko, i Andzia się zarumieniła trochę, — podobno zaczepił Żelizę... gadali z sobą z pół godziny.

— A gdzież Oktaw? — spytała Podkomorzanka, — niechbym mu podziękowała za jego staranie.

— Mój syn — odpowiedziała staruszka — musi być w ganku, czeka tam na mnie.

— Poproścież go tu, poproście, — żywiej odezwała się chora.

Andzia wybiegła po Oktawa, pierwsza, korzystając z chwili tej aby się zbliżyć do niego, a gdy młody chłopak wszedł do saloniku, smutna przypadła na ławce w ganku zająwszy jego miejsce.

— Przepraszam cię kochany Oktawie, — obracając się ku niemu przemówiła Podkomorzanka — nastraszyłam cię bardzo? nieprawdaż, ale to już przeszło! Tak poczciwie krzątałeś się koło mnie, pozwól sobie podziękować.

— Gdyby nie Andzia którą tam Pan Bóg nam zesłał, niebardzobyśmy sobie dać radę potrafili, — rzekła uśmiechając się Adela, — pan Oktaw ma tylko tę zasługę wraz ze mną, że się okrutnie ciocinego strachu przeląkł.

— Ty słyszę znasz tego upiora? — zapytała Podkomorzanka.

Ja?

— Andzia mi mówiła żeś raz z nim rozmawiał dosyć długo...

— A tak! — przebąknął Żelizo pomieszany nieco przypomnieniem okoliczności w jakich się to trafiło — — w tych samych ruinach zachwycony burzą zetknąłem się z nim i miałem to szczęście, że sam mnie zaczepił...

— A o czemżeście mówili?

— O ludziach, świecie... znać w nim zbolałego i zmęczonego życiem człowieka, niewiele przecie nauczyć się mogłem... Dziwak i nieszczęśliwy...

— Prawda, — zawołała śmiejąc się już Adela, która od kolan ciotki nie odstępywała, — że doskonale się dobrał, do miejsca i wypadku z tą swoją twarzą bladą, oczyma zbłąkanemi, włosem rozczochranym... i okropną fizjognomją.

— Moje dziecię; — cicho dodała Podkomorzanka całując ją w czoło — nie śmiej się nigdy z bladej twarzy i obłąkanych oczów, są to piętna żywota i boleści, które poszanować potrzeba, któż wie ile razy zblednąć musiał cierpieniem ten, komu na wieki krew do serca uciekała? ile razy płakały te oczy, które dziś bez łzy suche i straszne są obłąkaniem?

— Żal mi go serdecznie, ale po cóż tak straszny,— mówiła Adela, — i chodzi po jamach żeby ludzi przerażać swojem zjawieniem? Nie mogę tego sobie inaczej jak szaleństwem wytłumaczyć.

— Dlaczegóż szaleństwem? — zawołała dość żywo Podkomorzanka — są tak długie godziny w pustych niezajętych niczem resztkach życia pod starość, że się dziwować nie godzi, jeśli fantazja zaprowadzi kogo na mogiły... do grobu, w gruzowiska i ruiny!... kto wie, co może powiedzieć podniesionemu duchem milcząca czaszka i proch znikłych ludzi... Biedny zaprawdę kto w śmierci musi szukać pokarmu, ale nie zawsze obłąkany i szalony.

— Ciocia tak dobra że go jeszcze tłumaczy, — odezwała się Adela, — bo co ja to mu tej chwili trwogi nie daruję! Byłyśmy w strachu śmiertelnym i gdyby nie poczciwa moja Andzia... Ale gdzież się już ten trzpiot podział? zapytała wodząc oczyma — przecież mnie choć dziś nie powinna opuścić?...

— Nie obawiajcie się panieneczko, — z za drzwi ukazując się przerwała Andzia, — jeżelim wam na co potrzebna, to mnie macie póki chcecie...

— Połóżmy panią żeby sobie odpoczęła, a same nad

nią siedzieć będziemy i bajki prawić choćby do białego dnia...

To mówiąc uśmiechnęła się i przystąpiła do Adeli, która ją pogłaskała po twarzy.

— Dobrze, dobrze, — odpowiedziała Podkomorzanka, — każecie mi leżeć położę się, ale niechże poczciwa Żelizowa powraca do domu i naszego starego uspokoi, że mi się nic nie stało. Dobranoc wam... bądźcie o mnie spokojni... Nic się staremu gratowi jak ja nie stanie, twarde to i zaschłe! jakby tak której z was młodszych możeby ciężko przestrach odchorowała, ale ja jużem niejednego w życiu doznała, nie jedno silniejsze od tego wzruszenie, dłuższa boleść biła o tę wątłą budowę, którą Bóg kruchą uczynił, aby świadczyła o jego sile... Przejdzie i to jak przeszło wiele innych w życiu przygód, utrapień i wzruszeń, jak przechodzi życie samo.

To rzekłszy uścisnęła Podkomorzanka Żelizowę, uśmiechnęła się do Oktawa i biorąc rękę Adeli powoli posunęła się do swego pokoju, ale pogrążona w zadumaniu i widocznie jeszcze nie rozbudzona z wrażenia jakiego doznała.

III.

Oktaw długiem wejrzeniem pogonił za odchodzącemi, a wzrok jego spotkał oczy Anny zwrócone nań z wyrazem uczucia, które się nieopatrznie zdradzało i wejrzenie spokojne, łagodne, ale niemniej przejmujące pięknej Adeli, które go badać się zdawało.

Wyszedł rozmarzony dziwnie temi dwoma promieniami które świeciły w duszy jego jak dwa słońca na jednem niebie, równego blasku, równej siły, choć barwy odmiennej.

— Która z nich? — pytał sam siebie i odpowiedzieć nie umiał. — Godziż się je porównać, a jednak urok prostego dziewczęcia jest li mniej potężny od czystej

aureoli tego niebiańskiego zjawiska? Jedna i druga piękne jak anioły... ale ta będzież mnie kochać kiedy jak Anna, a możeż co miłość zastąpić? Do tej zniżyć się muszę, tamta podniosłaby mnie do siebie... ku Adeli lecę wyobraźnią, tchnieniem poezji, ku tamtej ciągnie namiętność, wspomnienia, szał jakiś nieprzezwyciężony! przy jednej z nich zapominam o drugiej, gdy obu nie widzę, obraz ich w jednę całość się łączy! A! to coś niepojętego! Miał słuszność ten człowiek, potrzeba uciekać!

Przypomnienie Poronieckiego który czekał wiadomości o zdrowiu Podkomorzanki, zmusiło Oktawa odprowadziwszy matkę, zwrócić się nazad ku jego mieszkaniu. Uliczka którą przechodził jeszcze była ożywiona wieczornym ruchem przechadzających.

Już się tu była wieść rozeszła o wypadku Podkomorzanki, a że nikt z sąsiadów nie był przy nim i wzmiankę tylko jakąś z ust czyichś pochwycono, łatwo sobie wyobrazić jak przekształconą i powiększoną została.

Złapano zaraz Oktawa obrzucając zapytaniami, jak to było? czy prawda, że Poroniecki ukazał się im nagle z trupią głową w ręku i pochodnią, okryty białem prześcieradłem, sztylet trzymając w zębach... że Podkomorzankę chciał zabić! i t. d. i t. d.

Usłużny Szambelan pomimo szacunku jaki teraz okazywał dla nieznajomego, już chciał biedz wzywać pomocy urzędu i załogi prosić, a kobiety truchlały...

Opowiadanie Oktawa który cały wypadek jak był opisał, i odarł go nielitościwie z przyczynionych dodatków, jakkolwiek nieco uspokoiło, wydało się jednak mniej od bajki prawdopodobnem.

Wszyscy wzruszali ramionami domyślając się, że chłopak coś ukrywa i nie dopowiada, a Szambelan szeptał, że się zawsze sąsiada jakby przeczuciem obawiał i mocno go miał w podejrzeniu.

Pożegnawszy pannę Petronellę, Refendarza i wylękłego Szambelana który nie przestawał dowodzić, że nieznajomy wypadł ze sztyletem.

Oktaw pod pozorem przechadzki, przesunął się nie chcąc być widzianym przez ciekawych sąsiadów ku domkowi Poronieckiego.

Świeciło się tu w jednem oknie i furtka od ogródka była otwarta, jakby kogoś oczekiwano; wszedł więc, a słysząc z sieni żywy chód w sąsiedniej izbie, ku niej się zaraz obrócił.

Tu zastał Poronieckiego, który wielkiemi kroki latał, długie swe włosy zarzucając na tył głowy i oburącz trzymając się za czoło. Postrzegłszy wchodzącego, nieznajomy stanął i zapytał:

— Jakże się ma? zdrowsza?

— Lepiej, lepiej, ale jednak wzruszenie to mocno się jej czuć dało. Oddawna ją znam, zawsze silną i niełatwo ulegającą podobnym wstrząśnieniom... musiała się jednak niezmiernie przerazić!

— Czegóż? człowieka który się jej nagle ukazał! dziecieństwo!

— Nie pojmuję i ja...

— Możesz mi co powiedzieć o Podkomorzance? o tej kobiecie? — spytał po przestanku Poroniecki, — ten wypadek zajmuje mnie i radbym wiedzieć kto ona?

— Zdaje mi się żem już to panu mówił — rzekł Oktaw. — Jest to córka możnego niegdyś obywatela... dziś oddawna pani swej woli, niezamężna, osiadła u nas w miasteczku gdzie wiele czyni dobrego.

— A to dziewcze co z nią było?

— Panna Adela, jej kuzynka, siostrzanka, która wprzód wychowywała się przy babce... sierota równie... po śmierci swej opiekunki wzięta przez Podkomorzankę.

Poroniecki zdawał się myśli zbierać.

— Rodzice Podkomorzanki pomarli więc?

— Oddawna, kilkanaście lat temu.

Milczeli oba.

— Siadaj, chodź, rób co ci się podoba, — rzekł po chwili gospodarz chwytając się za głowę — nie umiem gości przyjmować bom ich rzadko miewał u siebie; alem ci rad żeś mnie odwiedził. — Ja także, — dodał,

czuję się nie dobrze, ten krzyk kobiecy przejął jakoś... nie swój jestem.... drżę i czuję gorąco na przemiany... Głupie życie — rozśmiał się w końcu, — siwe włosy nic nie znaczą i nie dają rozumu! dziecko się w starcu jeszcze odzywa!

Wstrząsał się tak i widocznie okazywał pomieszany i chory, że Oktaw chociaż mu pilno było do domu, nie chciał go opuścić.

— Ale pan także nie dobrze jesteś, — rzekł; coś na to poradzić by trzeba, położyć się, napić, spocząć!

— To wszystko dobre dla tych, którzy przywykli się pieścić, — odparł gospodarz z uśmiechem goryczy pełnym, ale dla ludzi od losu wypróbowanych ani rad, ani łóżka, ani medykamentów, ni spoczynku! Słyszałeś pewnie o tych biednych żołnierzach co na placu boju rzuceni z porozbijanemi łbami, po trzy dni i trzy nocy tracąc krew i nie mając czem ust odwilżyć, wyszli jednak z życiem samą siłą własną, bo nie wybiła ich ostatnia godzina... Tak nie jeden raz było ze mną, znam się z pobojowiskiem i chorobą. Nic mi nie potrzeba — ludzkie rady i pieszczoty więcej ciężą niż wspomogą. Jeśli jest siła w głębi człowieka — wytrwa, jeśli zabraknie jej — zginie... No, to zginie... a nieużyteczną gębę jedną mniej na świecie... cóż za szkoda?

— Każdy z nas przecie użytecznym być może!

— A! a! tak pochlebiamy sobie rzekł Poroniecki — jedni drugim niewieleśmy potrzebni, a częściej zawodni, Panu Bogu także nie bardzo służym na świecie, nam samym dosyć ciężko życie dźwigać, więc po cóż żyć? Za młodu, wam, co innego śni się — ale gdy troska twarz kryje, przekwitną nadzieje i serce w piersi stwardnieje, wierzaj mi, śmierć jest dobrą rzeczą.

— Przyszedłeś więc do tego! — zawołał Oktaw, — że możesz pan to szczerze powiedzieć?

— Nigdy nie kłamię, — odparł nieznajomy, bo to się też i na nic nie zdało — życia nie cenię bom go spróbował.

Na chwilę zamilkli oba. Oktaw poglądał na przechadzającego się Porenieckiego i śledził w jego twarzy

uczuć, które się na niej wypiętnowały długiemi powtarzając laty. — Dziwna też to była ruina ta twarz, na której obok śladów piękności, wszystkie burze serca i zniszczenie namiętności, nędze żywota i cierpienia wycisnęły swe szpony. Reszta niewygasłego życia błyskała jeszcze w oczach głęboko pod czaszkę wsunionych, a niekiedy iskrzących ogniem, który stare ich płomienie przypominał.

— A! i ja... i ja byłem w Arkadji! — odezwał się po chwili wciąż chodząc i ruchem gwałtownym ciała usiłując zburzenie wewnętrzne opanować gospodarz — i jam był młody... i mnie uśmiechały się usta dziewcząt i ku mnie szły dłonie ich drżące i ja wierzyłem w wiekuistość uczucia, w nieśmiertelność szczęścia, w niezachwianą wierność serca, w cnotę i miłość ludzką, ale to wszystko dziś poszło w gruz i rozsypkę.

Ty stoisz na progu tego gmachu o wspaniałych portykach z którego ja odczarowany wyszedłem... i nie powiem ci jak ten co za dwa złote miał zobaczyć dziwotwór, a widział jakąś klejonkę oszusta, żebyś szedł i patrzał z kolei, zwodzić cię nie chcę, powiadam, nie idź i nie płać! — Wiem że słowa tu na nic, że wszyscy tą drogą przejść musiemy, a żal mi cię serdecznie. W twojej młodości ja widzę moją własną i dlatego jak od innych nie uciekam od ciebie... radbym napaść oczy widokiem tego w co już nie wierzę, a co kocham jeszcze jak pijak któremu wódka spaliła wnętrzności, a jednak drży gdy ją zobaczy.

Tyś jeszcze szczęśliwy, pudełko Pandory masz w piersi całe i nienaruszone... nadzieje wszystkie, wiarę wielką... śmieje ci się co mnie goryczą napełnia...

I stanął naprzeciw Oktawa założywszy ręce na piersi z uśmiechem politowania.

— Hej! hej! — rzekł, gdyby mi twoich lat dwadzieścia przy mojem doświadczeniu! Któż wie! na niby się i to może nie przydało, razem to nie chodzi, gorączka dwudziestoletnia pożarłaby nawet wspomnienia bolów i cierpienia.

I nie wiadomo zkąd i jak łzy nagle polały się po

twarzy nieznajomego, a on ich nawet ocierać nie myślał, pobiegły strumieniem po marszczkach twarzy wyżłobionych dawnym płaczem.

— Prawda że tu zimno, ubogo i smutno — dodał zwracając rozmowę — źle ci?

— Nie, — odparł Oktaw, — jam nie przywykł do pieszczot, nie zważajcie na mnie, ale wam?

— Mnie wszędzie i zawsze chłodno! muszę latać aby się rozgrzać nieco... słońce albo pali lub nie grzeje wcale... powietrze ostudzone... żyć trudno... nawet ciałem walczyć potrzeba aby wyżyć i przeciągnąć nędzę naszą... cóż duchem?

— Któråż z nich dwóch kochasz tymczasem? dorzucił śmiejąc się i zwracając do Oktawa.

— Jakto? — zawołał młody chłopiec.

— No! bo Andzia ciebie kocha i kusi... a tamta? to śliczne, czyste dziecię... jakże ją zowiesz? Adela?

— Nie śmiałbym na nią podnieść oczów!

— Masz słuszność! doprawdy rozumniejszy jesteś niż sądziłem... w miłości szukamy serca; dlaczegoż ma być koniecznie oprawne w brylanty? Nigdy wyżej sięgać nie trzeba i na palce się spinać, bo wówczas lada szczutkiem cię kto wywróci.

Nieznajomy zdawał się w ciągłej gorączce która się co chwila wzmagała, głos jego coraz stawał się żywszy, silniejszy, oczy jaśniej pałały, usta poruszały się prędzej... ujął Oktawa za ręce.

— Mój młody przyjacielu, — rzekł — wzbudzasz we mnie jakieś uczucie, którego dawno nie doznawałem, czysty jeszcze jesteś i poczciwy. Widzę cię nad brzegiem przepaści... okrążonego niebezpieczeństwy, chcesz li posłuchać dla twej nauki a dla ulgi mojej, spowiedzi z życia biednego człowieka? Dawno, o dawno nie spowiadałem się już ni przed księdzem, ni przed kimkolwiekbądź... ciężą mi grzechy i boleści... będziesz li miał cierpliwość posłuchać długiej powieści?

— Byleś mnie godnym zaufania osądził!

— Ja młodości ufam, bo w niej są siły Boże... pó-

źniej człek sobie obcina te skrzydła, by chodzić o kulach...

Wysłuchawszy dziejów, lepiej zrozumiesz dziwaka, który ci się wydał zrazu obłąkanym, lub jednym z tych fanfaronów cierpienia, co rany swe produkują prosząc o jałmużnę litości... Jestem tem czem mnie życie uczyniło... jak Bóg stworzył, a nie kłamię nic.. i litości zresztą więcej się obawiam niż pragnę. Litość jest doskonałą dla tych co ją dają, ale co ona tym którzy ją przyjmować muszą? ciepłą wodą... bez woni i smaku!

Słuchaj więc i ucz się, młody przyjacielu... bo to dzieje prawdziwe.

IV.

Urodziłem się pod dachem ubogiego szlacheckiego dworku, który zła dola częściej nawiedzała niż spokój i dostatek. Powoli z majętności, znaczenia, stosunków został zagon ziemi lichy, imię które ledwie podpisać umiano, i dokoła świat obcy i zimny. — Dziad mój mnie wychował, napół ze mną dzieląc się chlebem spleśniałym swej nędzy. Pamiętam go starym, zgrzybiałym, zaciętym napół, oślepłym od łez w chatce naszej pustej, zimnej i milczącej; wołającego do Boga o opiekę dla sieroty, której losu zapewnić nie mógł. Na tym zagonie i dachu które jeszcze do nas należały, tyle było długów, że i ztąd co chwila nas wygnać miano... wypraszał się starzec swoim wiekiem i ślepotą. Jam go w ostatnie czasy wodził i był jego oczyma gdy sam jeszcze dobrze patrzeć nie umiałem.

Niegdyś był to wojak i żołnierz odważny, posiekany cały, blizen więcej miał niż włosów na wypełzłej głowie; kiedy nam chleba brakło, karmił mnie piersią starych czasów. Ale codzień gorzej nam było w zimnej chacie już nie naszej, nareszcie jednego pamiętnego

dnia, zjechało dużo ludzi, wrzawa się stała ogromna i ja z dziadem znalazłem się bez przytułku.

Wprawdzie nowy dziedzic ofiarował mu komorę w pustej chacie sąsiedniej, ale stary żołnierz wziąwszy kij w ręce, drżący cały nie chciał być na łasce ludzi co go na starość wygnali z jedynego schronienia.

Pamiętam łzy moje gdy przyszło opuszczać dworek nasz i surowe wyrazy starego i pierwszy dzień słotnej jesieni, któryśmy przepędzili wlokąc się po błocie bez celu i kierunku.

— Idźmy! idźmy! — mówił dziad przyspieszając kroku, — jak najdalej od tej przeklętej ziemi gdzie siwych nie szanują włosów, gdzie pamięci ni serca nie mają, chodźmy do dzikich, na pustynię..... Tu powietrze zabijać musi bo trupy mieszkają. Ale przecież cały ród ludzki nie przegnił do szczętu, przecież gdzieś jest litość i Bóg i ludzie warci tego imienia? Mnie już nic nie potrzeba, mówił, — położyć się pod płotem i umrzeć, ale dziecko! nie byłożby komu dziecka powierzyć?

— Do pierwszych wrót kołataj, — powtarzał mi, — aleśmy nie rychło pod wieczór dwór jakiś napytali, dziad kazał mi się wieść wprost do izb, a tak był przejęty, że nie patrząc osób począł wołać od progu:

— W imię Chrystusowe jeśli Chrystusa znacie? stary żołnierz i sierota... nie kawałka chleba ale przytułku żebrzę dla dziecka. Jest li między wami litościwe serce? Ja nic dla siebie nie chcę, potrzebuję tylko umrzeć aby świata waszego nie nosić na piersi kamieniem... Kto z was przytuli sierotę?

Stary płakał i padał na kolana, mnie klękać kazał, ale nas zbyto groszem, a on jałmużnę rzucił im pod nogi.

— Daję wam dziecko, — wołał, — nie chcę pieniędzy ni chleba, toć to syn Boży bo ochrzczony, brat wasz w Chrystusie, dacież mu się zwalać nikczemnie!!

Dziad wyglądał im na szalonego i przerażające jego wołanie ludzi tylko powystraszało; a gdy poczuł że od niego pouciekali, starzec jął kląć okropnie.

Jeszcze dziś włosy powstają na głowie, gdy sobie przypomnę wyrazy jego...

— Bądźcie przeklęci wy co odrzucacie starość i sieroctwo od wrót waszych, bądźcie przeklęci wy i plemie wasze i groby i pamięć wasza niech będzie przeklęta... Bogdajbyście dzieci zostawili sierotami na lasce obcych, bodajbyście służyli bydlętom, a próżno wołali zmiłowania Bożego..... Przeklętą niech będzie ziemia co was zrodziła, powietrze którem oddychacie, kraj co was wyhodował... bogdajbyście sierotami konali na własnych progach, wy co zaparliście się brata i odepchnęli sierotę...

Starzec naprzemiany płakał, modlił się i wpadając w rozpacz znowu rozpoczynał rzucać klątwy. Noc spędziliśmy w lichej gospodzie gdzie nam litościwa kobieta kawałek chleba i trochę słomy dała na posłanie, a do świtu dziad jęczał i rzucał się jak w chorobie, dopytując tylko ażali już dnieje.

— To być nie może, — wołał, — by cały już kraj skamieniał i ogłuchł, żeby im wszystkim serca wydarto z piersi; trzeba iść, szukać, znajdzie się brat i człowiek, chybaby byli dziećmi szatana!

Ze dniem poszliśmy w dalszą wędrówkę, ale nas wszędzie tak samo przyjmowano, jałmużną, chlebem, a sieroty nikt nie podjął się wziąć od starca i zbywano różnemi wymówki.

Ku wieczorowi trzeciego dnia dziad co dotąd nadzwyczajną jakąś pchany siłą szedł, żem za nim ledwie miał mocy dosyć, by przez izbę się przewlec — upadł mi nagle przed wrotami domostwa, które opuściliśmy właśnie.

— Dość tego, — zawołał — ludzi niema, czas umierać... i przycisnął mnie do serca z takiem łkaniem rozpaczy, którego do śmierci nie zapomnę. — Gdy będziesz głodny idź do psów, — rzekł, — nie do ludzi... idź między wilki prosić ochłapa... niema braci, niema ludzi!... Krzyże stoją, ale Chrystusa z nich zdjęli żeby na niego nie patrzeć, żeby go nie naśladować... Ziemia

przeklęta... w bydło nas Bóg przemienił... umrzeć, umrzeć by nie patrzeć!

I tak wołając, miotał się biedny dziad mój aż krwawa piana stanęła mu na ustach, oślepłe wywróciły się źrenice i skonał z jękiem przeraźliwym w konwulsjach... za rękę mnie cisnąc tak, żem w skrzepłej dłoni pozostał przy trupie przestraszony i wpół ledwie żywy.

Że to było pod samemi dworu wrotami, zbiegli się zaraz ludzie, wrzawa stała się wielka, przestraszono się trupa i sądu a nad ciałem jeszcze niezastygłem na żebraku, miotano przekleństwa że się tu umierać ośmielił.

Z tego wszystkiego pozostało mi tylko jedno głębokie wówczas wrażenie, że ludzie byli nieprzyjaciołmi moimi, że od nich uciekać i chronić się należało. I gdym tłumy ciekawych ujrzał gromadzące się dokoła trupa, wyrwałem dłoń z ręki starca zsiniałej i zimnej myśląc instynktowo o własnem bezpieczeństwie.

Miałem wówczas około dziesięciu lat gdym tak na szerokiem rozdrożu pozostał samiuteńki jeden i własnym zostawiony siłom. Szczęściem dla mnie, dziad opuszczając chatę naszą, porwał był papiery, w których był ślad i dowody naszego pochodzenia i wcisnął mi je za nadrę, sądząc, że mnie gdzie potrafi umieścić, a polecając bym ich strzegł jak najpilniej. Miałem więc przynajmniej jakiś ślad kim byłem i jako włóczęga lub zbieg pochwycony być nie mogłem. Ale w pierwszej chwili tak byłem przerażony ostatniemi wypadkami, przekonany że jestem prześladowany i ścigany, że odbiegłszy trupa dziadowskiego, rzuciłem się oślep drogą nie myśląc gdzie pójdę i co z sobą zrobię. — Pierwszą noc przebyłem w pustem polu pod gruszą, na deszczu, od którego mnie tylko szmata przemokła już broniła. Jak na brzask wybrałem się dalej i od drzwi do drzwi żebrząc zziębły szedłem nie wiedząc dokąd idę. W myśli tylko miałem odejść jak najdalej, gdzieby o mnie i o dziadzie nie słyszano...

Trzeciego dnia ze strachem przebywszy ogromny

bór dębów i sosen, znalazłem się w kraju zupełnie dla mnie obcym i od tego który opuściłem odmiennym.

Dzieciństwo moje upłynęło na szerokim stepie, wpośród którego gdzieniegdzie mały gaj zieleniał, a parowami płynęły srebrne rzeczułki i u brzegów ich tuliły się wioski; pierwszy raz w życiu widziałem niezmierne lasy stare i wydało mi się żem zaszedł na drugi koniec świata. Ziemia nawet pod stopami mojemi była inna, jaśniejsza, żółta, piasczysta, a te olbrzymy wiekowe, dęby i sosny potężne, ze swym szumem poważnym przestraszały mnie i nęciły zarazem.

Po słotach zaświeciło słońce, ociepliło się powietrze, strach powoli ominął, a żem był dzieckiem, począłem z ciekawością rozglądać się w tem co mnie otaczało. Byłbym może daleko większego strachu doznał w tej puszczy, gdyby nie to że wiodący przez nią gościniec był bardzo ludny i co chwila spotykałem to pieszych, to konnych, to wozy które w tę samą stronę co ja dążyły. Niektórzy z ludzi zapytywali mnie dokąd idę i dziwili się widocznie widząc dziecko tak opuszczone i same, chłopek jakiś wsadził mnie na wóz i podwiózł pół dnia, użaliwszy się nad bosemi nogami, które pokaleczyłem do krwi nieprzywykły będąc do chodzenia.

Nareszcie tak trzeciego dnia gdy się las przerzedził i coraz częstsze na brzegu jego pokazywały karczemki; odsłoniła się równina wielka i wśród niej w dole nad rzeką pokazało się szeroko rozłożone miasto. Ja com nigdy nie widział nic prócz lichej żydowskiej mieściny w której był nasz kościołek parafialny, dokąd z dziadem w pogodną porę chodziliśmy, stanąłem osłupiały, postrzegłszy niezmierną przestrzeń całą zabudowaną ściśniętemi domami, strzelające wyżej błyszczące wieże kościołów, i taką liczbę ogromnych budowli.

Strach mnie przejął myśląc co to tu ludzi być musi, i jak ja mały i biedny wśród nich dam sobie radę, żeby nie zginąć i na nieprzyjaciół nie trafić. Śnili mi się już wrogi i prześladowcy! ot, jak rozpoczynałem życie!

Długo nieśmiałem ruszyć ku miastu i zbliżyć się do tego mrowiska, z którego już zdala pomieszane głosy dzwonów, turkot powozów i gwar ludzi mnie dochodził; aż nareszcie zmorzony głodem i zmęczeniem, pchany jakąś nadzieją, posunąłem się za drugimi.

Tu już wozów i wieśniaków, żołnierza i żydów coraz więcej było, a na pagórku zasadzonym wśród skał resztkami sosen z wyrąbanego lasu, napotkałem naprzód kilku mojego wieku dzieciaków ochoczo i wesoło bawiących się w piłkę.

Śmiechy ich i wesele wstrzymały mnie, i stanąwszy z boku nieco, jąłem się przyglądać zabawie, której nigdym jeszcze nie kosztował.

Świat to był dla mnie nowy, bom oprócz wychudłych pastuszków wiejskich, do których zbliżyć się nie miałem czasu, nie znał nigdy rówieśników, a wesołości i śmiechu nie wiele się w życiu napatrzył. Dziatwa ta więc pociągnęła mnie ku soibie i wlepiłem w nią oczy myśląc że oprócz nędzy jest jeszcze coś na świecie... że są sieroty któremi się ktoś opiekuje, i dzieci niegłodne.

Usiadłszy tak pod sosną na pagórku, spoglądałem to na miasto, dziwując mu się, to na chłopaków blizko latających za piłką, która niegdy aż ku mnie się zataczała, alem ja jej tknąć nie śmiał. A że mnie głód wielki morzył i chleba jeszcze oschłego miałem kawałek w szmatce, począłem gryźć mój suchar przypatrując się dzieciom, których wesele i mnie orzeźwiać zaczęło.

Chłopcy nie spojrzeli nawet na mnie, tak zajęci zabawą i sobą, ale po chwili zbliżył się stary już mężczyzna w długiej ciemnej sukni, którego zrazu nie postrzegłem, bo stał pod drzewami na uboczu. Wziąłem go za nieprzyjaciela i chciałem uciekać, ale łagodna jakaś i spokojna twarz uspokoiła mnie wkrótce; on popatrzał na mój chleb suchy, na podartą i obłoconą odzież, na pokaleczone nogi, którem był kawałkami od koszuli odszarpanemi poobwiązywał, i w końcu zapytał:

— Zkąd jesteś moje dziecko?

— Ja nie wiem, — odpowiedziałem — jestem sierota.

— Dokąd idziesz?

— Nie wiem, za jałmużną...

— Nie masz więc ani rodziców, ani nikogo?

— Nikogo, — odparłem, — obawiając się wspomnieć o dziadzie.

— Nie tutejszy jesteś?

— O! z daleka.

— A jakżeś się tu dostał?

— Jak widzicie, piechotą...

Jegomość ten począł mi się przypatrywać bacznie, łzy jakoś zakręciły mu się w oczach.

— Biedactwo, — rzekł, — któż byli twoi rodzice?

— Nie wiem...

— Ale jakże się zwało miejsce zkąd wyszedłeś?

Nie śmiałem mu powiedzieć.

— Czegóż się ty boisz? — szepnął mi z serca pochodzącym głosem ów jegomość — mów, mów, ja ci pomódz może potrafię... nie lękaj się...

— Boję się...

— Czego?

— Wszystkiego się boję, — rzekłem, — i zacząłem płakać wspomniawszy dziada i wygnanie nasze...

Pogłaskał mnie po twarzy ów człowiek i uspokoił jakoś, bo głos jego miał siłę pociągającą dobroci, której skłamać nie można.

— Mów, — rzekł, — bo inaczej ja ci nie potrafię być pomocą, otwarcie i szczerze mi gadaj. Szczęście twoje, żeś nie dostawszy się do miasteczka trafił na mnie, tamby cię co złego istotnie spotkać mogło... ale mi powiedz szczerze coś za jeden, zkąd i jak tu przyszedłeś?

Nie wiem jak, ale mimo przestrachu ów człowiek takie we mnie wzbudził zaufanie, żem po krótkiej chwili nietylko mu powiedział co o sobie wiedziałem, alem nawet ukryte papiery pokazał.

Dziwnie począł ramionami ruszać i mruczeć coś pod nosem, aż wreszcie rzekł mi:

— Jeśli nie chcesz zginąć, słuchaj mnie, nie obawiaj się niczego i idź ze mną... Sam jeden zginiesz i zwalasz się w miasteczku... ja może potrafię cię poratować... A potem odwróciwszy się do dzieci bawiących zawołał:

— No! mości panowie, pora do domu!

Dziatwa rzuciła się ku niemu, a ja za nią w ślad z tyłu się sobie powlokłem.

V.

Takie było pierwsze moje ze światem spotkanie i mało komu pewnie na pierwsze danie los taki kęs przygotował. Zwykle miękko ludziom w kolebce, trochę słodyczy jest choć na brzegu kielicha, mnie troskliwe przeznaczenie zwodzić nie chciało, i dziecku dało skosztować sieroctwa, nędzy i głodu.

Były to życia początki nie zwiastujące wcale uroczystych godów...

Za owym jegomością o którym wspomniałem, z wielką powagą wiodącym za sobą całą gromadę moich rówieśników, poszedłem tedy i ja zdała, ostrożnie, uważając, że poczciwe człeczysko często się oglądał czy też ja idę. — Chłopcy ciekawi wkrótce poczęli zbliżać się do mnie, ale młodsi szczególniej z figlami i żarcikami, które nie oszczędzały nawet mojej widocznej nędzy i znękania — Często tak w pierwszych latach rozpieszczone zwłaszcza dzieciaki, zamiast instynktu litości, mają tylko zwierzęcy popęd do prześladowania słabszych — wina to pierwszych wrażeń i wychowania. — Krew nawet na szmatach, któremi nogi moje były obwinięte śmiech ich pobudzała, trochę mnie to przestraszyło i myślałem się pozostać i ukryć, gdy przewodnik nasz dosłyszawszy zapewne co tam się poza nim działo, długą począł do żaków perorę.

— A gdyby który z was, — rzekł, — był w jego położeniu, miłoby wam było, żeby z niego szydzono zamiast pomódz, i przedrwiwano, coby się miano litować? — a jesteścież wy pewni, że to jednego z was nie spotka! kto wie? Jutro może najbogatszy być na ulicy i bez chleba... Panu Bogu nic trudnego.

Chłopcy upamiętali się zaraz, bo też w tej ich napaści, więcej było swawoli niż złej woli, i jeden z nich nawet dobywszy z kieszeni jabłko obdarował mnie niem, za co, pamiętam, pocałowałem go w rękę, bo po suchym chlebie, zapach owocu świeżego zdał mi się cudownym... a tak byłem głodny, żem zaraz jeść począł chciwie.

Spuściwszy się z gliniastego pagórka, znaleźliśmy się u brzegu płytkiej, po ogromnych skał obłamach, płynącej rzeczułki, którą przebyliśmy po moście przy młynach, i ztąd weszliśmy już w ulicę, która się pięła do góry dość stromo i przykro.

Nigdy w życiu takiej jak tu wrzawy nie słyszałem jeszcze i zrazu wylękły stanąłem nie śmiejąc postąpić dalej; ulicę całą zajmowały wozy z ciężkością drapiące się ku górze, ludzie, pędzone konie, i powracające bydło... Bruk miejscami powybijany, po którym chodzić nie umiałem, dotkliwie ranił nogi moje, a że gromadka z przewodnikiem dość pospieszała i mnie trudno ją było napędzić zdyszanemu, nie wiem jak, nie chcąc ich z oczów stracić, przelękły tłumem, wpadłem między wozy i bydło.

Uczułem nagle silne uderzenie w bok prawy, krzyknąłem z bólu i padłem na ziemię, nie wiedząc co się ze mną stało... Oczy mi zasłoniło i straciłem przytomność.

VI.

Gdym przyszedł do siebie nieco, ujrzałem się leżącym z boku ulicy, na ziemi pod strzechą małego domku, otoczony wielkim tłumem żydostwa i gminu, a stary ów jegomość co mnie prowadził z sobą, krzątał się z chłopakami nademną. Mocny ból czułem w boku i na przebitej odzieży krew się pokazywała, starano się mnie uspokoić, a cyrulik z bliskiej kamienicy opatrywał uderzenie, które mi bydle rogami zadało. Płakałem pocichu przestraszony, ale gdy rana nie okazała się niebezpieczną, sparty na ramieniu jednego z rówieśników moich, ostatkiem sił powlókłem się za niemi. Szliśmy długo ulicą pod górę ciągle, co mnie zmęczyło niezmiernie, tak, że gdy potem w prawo w ciaśniejszy zaułek ku mieszkaniu mego przewodnika iść jeszcze przyszło czas jakiś, kilka razy siadałem na ziemi, tak mi się w głowie zawracało i oddechu brakło.

W ostatku dowlokłem się do progu dworku drewnianego, stojącego w dość obszernym dziedzińcu na ustroniu od miasta, a stary ów jegomość co mnie zabrał z sobą, pospieszył naprzód czegoś niespokojny. Gdyśmy za nim do ganku doszli, znaleźliśmy go rozmawiającego pokornie z jakąś tłustą jejmością, która się zżymała i ruszała ramionami.

— No! to go odesłać do szpitala do panien miłosiernych, — mówiła, — co ja tu z nim robić będę? mało my to mamy biedy z tymi co niby to płacą, a jeszcze będziemy daremnych brać na głowę, czy to ja wielka pani. Na to jest szpital! Mało to sierot szlacheckich na świecie. Pan wiesz panie Słonkiewicz, — dodawała, — wszystko teraz podrożało, za dwieście albo i trzysta złotych ciężko utrzymać, a nie bez tego, żeby dyrektorowi nie trzeba było prezentu, prefektowi także... ot i wasanu... a wszystko to z kieszeni mojej, która i tak nie bardzo wypchana.

Mruczała tak stara kobieta czegom ja wówczas nie bardzo zrozumiał, ale obaczywszy mnie okrwawionego

i bladego, ruszyła się pierwsza troskliwie na pomoc, łając wszystkich i gderząc ze starego nałogu.

Była-to wdowa Kulikowa utrzymująca studentów wedle ówczesnego obyczaju, u której ów jegomość w długim surducie, co pierwszy się do mnie zbliżył, zostawał jako korepetytor... Nigdy nie zapomnę poczciwego owego Słonkiewicza, jednę z istot najmniej pokaźnych, a najzacniejszych jakie poznałem na ziemi. Pan Teodor, gdyż zwano go pospoliciej tem imieniem, był synem ubogiego ekonoma i jak ja został sierotą od klasy czwartej, musiał więc w szkołach jeszcze na chleb zarabiać. Uczył się doskonale choć talentu nie miał wielkiego, ale za to serce złote. Dosyć wysokiego wzrostu, z długą szyją i włosem twardo najeżonym na głowie, twarz miał niepospolicie brzydką i o dziesięć lat starszą od siebie; a mimo to pełną takiego wyrazu spokoju i uczciwości a dobroci, że ku sobie pociągała każdego. Niepodobna go było niekochać. — Z powodu ciężkich zapewne ruchów i powolnego obejścia, w szkole jeszcze przezwano go wielorybem, a że pozostał w miejscu gdzie dokończył nauki, nazwisko to poszło z nim w świat i pospolicie studenci nawet inaczej go nie mianowali. Łagodny i powolny, pełen uszanowania dla starszych, nigdy nie narzekający na nic, nie wiedząc jak się pomieścić po ukończeniu szóstej klassy, został korepetytorem i biedny kawałek chleba zapracowywał w pocie czoła na kwaterze pani Kulikowej, która choć gderała, narzekała, gniewała się na sługi i chłopców dzień cały, w gruncie była poczciwą i litościwą kobietą. Ciągła tylko bieda, walka, niepokój, nauczyły ją nieustannie się skarżyć, kląć i od rana do wieczora jakieś sobie powody zmartwień wymyślać. Najczęściej były to rzeczy błahe, gdyż w większych razach Kulikowa jak ów niedźwiedź w bajce, traciła mowę i pocichu tylko płakała.

W pierwszej tak chwili wyłajała Wieloryba za to, że mnie przygarnął i sprowadził, hałasowała, że jej kłopot przymnożył, odgrażała się, że mnie do szpitala miłosiernych odeśle, ale obaczywszy położenie moje,

zaraz jęła się krzątać koło mnie. Znalazła i starą bieliznę i szmaty na obwinienie rany i kątek w alkierzu z łóżeczkiem dla mnie, a koniec końców zburczała znowu Słonkiewicza, że tak nieostrożnie prowadził i na uderzenie bydlęcia naraził. Biedny Wieloryb milczał z głową spuszczoną i uśmiechał się widząc, że jejmość do serca wzięła położenie sieroty.

Ubodzy pierwsi mnie na świecie przygarnęli, nie było tam słów i obietnic, grzeczności i nadskakiwań, rozpadań się obłudnych, owszem trochę utyskiwania i gderstwa, ale zarazem poczciwy uczynek płacił za gorżkie słowo, a starania Kulikowej były prawdziwie macierzyńskie. Miała ona swoich dwóch chłopaków, którzy chodzili do szkół, utrzymywała ich, siebie, małą córeczkę, z okruszyn studenckiego chleba, często w domu grosza brakło, jednak miłosiernie przygarnęła sierotę. Rana moja opatrzona zagoiła się prędko, choć ból w boku na całe życie pozostał, zwlókłem się z łóżka i już znalazłem, że mi Kulikowa i Słonkiewicz obmyślili dalszą przyszłość.

Wdowa nie była w stanie wziąć na siebie ciężaru jednego więcej dziecięcia, ale gdy Wieloryb oświadczył się, że ze swej pensyjki coś na rzecz mojego utrzymania ustąpi, oboje targując się i dumając jakby to uczynić aby szlacheckie dziecko nie zmarniało, znaleźli jakąś poczciwą duszę, a nazwiska nawet nie wiem kto to był, co na cel ten maleńką jakąś kwotę zaofiarował.

— Już za strawę nic nie wezmę, — mówiła Kulikowa, ono to się pożywi i przy moich chłopakach, ależ odziać potrzeba... a możeby go i do szkoły posyłać, to zaraz i książki i papier i odzież trzeba dać przystojniejszą, bo odartusa do klassy prefekt nie przyjmie.

— No, to już ja, to już ja obmyślę, — dodał Wieloryb.

I tak zostałem w tym kątku ubogim, zrazu pół posługaczem, bo Kulikowa nikomu próżnować nie dawała, potem już uczniem szkoły. Wieloryb uczył mnie w wolnych godzinach trochę czytać i pisać, abym do pier-

wszej klassy mógł być przyjęty. Niełacno to mi szło, bom zapóźno musiał nakładać się do tego rodzaju pracy, ale Słonkiewicz dopilnowywał i nieustannie mi kładł w uszy, że od tego przyszłość cała zależy.

Nie bardzom to ja rozumiał wówczas co ona znaczyła, przecież na sobie mi wskazując przykład, trafił Wieloryb do mojego przekonania.

— Widzisz mój kochany, — mówił — i ja jak ty byłem sierotą bez kawałka chleba, odumarli mnie rodzice, a przecież ucząc się, ot do czego doszedłem...

W istocie położenie Wieloryba zdawało mi się wówczas jeśli nie szczytem szczęścia, to jednem z najwspanialszych na świecie. Nawet pani Kulikowa szanowała go i niekiedy była dlań grzeczną, do stołu siadał na pierwszem miejscu, miał władzę sądowniczą i wykonawczą, dwa surduty, buty zawsze całe, parasol czerwony, i izdebkę przy naszych osobną.

To pewna, że on ani marzył ani zapragnął więcej, a przy maluczkich jego potrzebach i oszczędności, czasem nawet mógł kupić książkę pod kościołem, co dla niego najwyższą było rozkoszą. Mało mu czasu pozostawało na czytanie, ale godziny swobodne spędzał nad staremi szpargałami, które odarte kupiwszy sam oprawiał, kleił, numerował i o ile wiem, doszedł był do siedmdziesięciu tomów bibljoteki, którą miał za wielce szacowną. Spoczywała ona w kuferku pod kluczem, zastrzeżona od wilgoci panującej w całym domu, cegłami na których skrzynka sparta była; a co kilka miesięcy Wieloryb suszył ją w swojej izdebce.

Rzadkiej to był skromności, cichości i dobroci człowiek, o ile go dziś sobie przypominam, milczący, potulny, nie umiał sobie dać rady ze swawolną młodzieżą, ale go tak kochali wszyscy, że najbardziej rozbrykani uspokajali się jednem jego zaklęciem: — jak mnie kochacie!

Postać miał niemiłą zrazu, nawet surową na oko, ale wpatrzywszy się w niego, poczciwą duszę, cichą i świętą, czytać było można z wejrzenia czystego i skromnego. Najmniejszej w nim zazdrości, ani chęci wy-

wyższenia, zawsze rad z wszystkiego, spokojny, przyjmował życie jak mu je Bóg zsyłał, w pokorze dziękując za nie.

Kulikowa gderała na niego, ale go też szanować umiała, truchlejąc nieustannie aby jej kto tej perły nie napatrzył i nie odmówił ofiarując korzystniejsze warunki. Próżna to była obawa, gdyż Wieloryb tak był niepozorny, że niktby się nań nie skusił, nie poznawszy go bliżej.

W kilka miesięcy przy usilnej pracy Słonkiewicza i starszego syna Kulikowej, który mnie pokochał i mną się opiekował, byłem jako tako przygotowany do szkoły, sprawiono mi buty, surducinę, czapkę i Wieloryb wdziawszy odświętne odzienie, poprowadził mnie do dyrektora.

Powziąłem już straszliwe wyobrażenie o tym potentacie na odgłos imienia którego, co tylko należało do szkoły, chowało się w mysze jamki, do którego Kulikowa przystępowała z adoracją i złożonemi rękami, którego Wieloryb bez czapki przez dziedziniec przeprowadzał schylając się przed nim do kolan, gdy więc iść przyszło osobiście się stawić przed majestatem dyrektorskim, ledwie mnie bladego, wylękłego i trzęsącego się jak w febrze, wepchnął do pokoju poczciwy Słonkiewicz..

Dyrektor szkoły był maleńki człowieczyna gdzieś z daleka przybyły, czupurny, czarniawy, żywy, trochę zezowaty, zresztą podobny do innych ludzi chodzących po ulicy. Może w skutek tego że taki był maleńki, chodził zawsze mocno wyprostowany, głowę do góry, poważnie bardzo, i głos sobie wyrobił dyrektorski, to jest dyktatorski. Widać było spojrzawszy nań, że na tych barkach spoczywała troska o wychowanie przyszłych pokoleń, bo niepospolicie się puszył, nadymał i usiłował być wielkim człowiekiem. Order na szyi, którego nigdy nie zdejmował nawet chodząc w szlafroku, czynił go jeszcze świetniejszym, a czub najeżony wzrostu mu dodawał.

Co robił, nie wiadomo, to pewna, że krzyczał wiele, machał rękami, i gdzie się pokazał, przestrach paniczny

rozsiewał. Udobruchać go jednak zdaniem Kulikowej która ludzi znała, było łatwo. Tajemnicę tę znali i sami klienci. Przynoszono mu na ofiarę począwszy od głów cukru aż do brzęczącej monety, od mąki do wazoników z kwiatami, a jeśli on nie przyjął, żona po cichu przygarniała te datki do spiżarni. Były jednak fakta w których dał dowód niezłomnego charakteru i odmówił darów zbyt lichych lub w biały dzień przyniesionych przy gościach. Straszne te przykłady bezinteresowności trafiały się najczęściej z tymi, którzy długo opierali się i kurczyli, aż w ostatku prześladowaniem przyciśnieni przynosili ofiarę na ołtarz zapóźno. Dyrektor odrzucał ją z oburzeniem, zgrozą, łajaniem, a niekiedy konfiskował na rzecz szpitalów. Mówiono o tem głośno, tak jednak by na przyszłość od przyjacielskich darów nie zrażać innych...

W ogóle ten naczelnik wychowania publicznego, ubogich też rodziców i uczniów nie lubił, przyjęcie do klas każdego charłaka szło z wielkim z jego strony oporem.

— Na co się im uczyć? — mawiał — niech idą do rzemieślnika.

Szukano różnych pozorów aby nie przyjmować biednych, nawet w niedostatecznej odzieży, w braku książek, papierów udowadniających pochodzenie i t. p. Dla majętniejszych ułatwiało się wszystko cudownie i prawo tłumaczyło inaczej — ubogich odpychano bez litości, niekiedy z szyderstwem. Dla tych egzamen był publiczny, twardy, ostry i obwarowany jak najściślej, inni odbywali go osobno w mieszkaniu dyrektora lub przy obfitem śniadaniu wydanem przez rodziców. Wiedział i Wieloryb dobrze, że dyrektor był nieprzyjacielem oświaty dla ubogich i miał swoję po temu teorję, przeczuwał zatem jak ciężkie będzie przyjęcie moje do szkoły, ale w imię Chrystusowe poświęcał się na nieuchronną przykrość, która go tu spotkać miała.

Wepchnięto mnie tedy do wielkiej izby dosyć ciemnej, po której z długim cybuchem w ustach, przechadzał się ów mały ale ważny człowieczek, od którego

na teraz przyszłość moja założała. Wieloryb stanął równie pokornie jak ja u samych drzwi i począł od ukłonu pełnego namaszczenia.

— No! co to tam takiego? — żywo począł dyrektor.

— Jestto, proszę Jaśnie Wielmożnego pana — (tytuł ten wprawiał zawsze w dobry humor pana radzcę stanu) jestto biedny sierota, dziecko szlacheckie, które Kulikowa przyjęła z litości, chcielibyśmy go oddać do szkół.

— Do szkół! a to poco! — odezwał się stając potentat — po co! wszyscy do szkół! do czego im ta nauka! Wszyscy do tych szkół się cisną! szkoły są dla majętnych dzieci szlachty! Ma rodziców?

— Sierota zupełny i bez żadnego funduszu.

— No! to oddajcie go do majstra... wiecie, klasy i tak zbyt liczne...

— Na jednego toby się tam jeszcze miejsce znalazło — pokornie prosząc rzekł Słonkiewicz i zbliżył się całując w łokcie dyrektora i dodając drugi raz Jaśnie Wielmożnego, a prosząc za mną abym mógł być przyjęty.

Pokora jego ujęła widać dygnitarza, który nadąwszy się mocniej, ale łagodniejąc dodał w sposobie kondolencji.

— Niepotrzebnie i wy i Kulikowa jakimś włóczęgą się obciążacie, a książki? a mapy? zkąd on to weźmie kiedy bez funduszu?

Popatrzał na mnie surowo, nie podobało mu się żem stał ręce założywszy na piersi i sam raczył mi je spuścić i pokazać jak się przed zwierzchnikiem stać powinno.

— No! no! — rzekł w końcu — niechże zdaje egzamen, zobaczymy, a papiery ma?

Słonkiewicz jeszcze raz w łokieć go pocałował, a ja odetchnąłem gdyśmy wyszli z przybytku, do którego dopuszczony zostałem. Poczciwy Wieloryb musiał potem ze mną obchodzić po kolei, prefekta i nauczycieli wszystkich polecając mnie ich łasce i prosząc o lekki egzamen. Przyszła nareszcie chwila próby stanowcza, a skutkiem zabiegów Słonkiewicza, choć nie bardzo

byłem przygotowany, a przytomność mnie całkiem odbiegła gdy odpowiadać trzeba było, zostałem przyjęty do pierwszej klasy.

VII.

Pobyt mój w szkołach żywo jeszcze do dziś dnia pamiętam, a choć położenie stawiło mnie w dosyć przykrej zawisłości od ludzi, ubóstwo narażało na prześladowanie, bo ci co stali na czele wychowania, pierwsi dawali przykład niecny poszanowania dla grosza a nieposzanowania ubóstwa; — jednakże są to może najmilsze lata życia mojego. Nie myślałem o przyszłości, otaczający towarzysze byli życzliwi, lepiej mi było niż u dziada, i tu dopiero żyć począłem.

Byłem pod opieką Wieloryba który kochał we mnie moje sieroctwo i opuszczenie, i żywo się zajmował moim losem. Kulikowa posługiwała się i gderała, ale także przywykłszy, niemal na równi ze swemi dziećmi mnie pielęgnowała, studenci widząc cichego i pokornego nie bardzo się znęcali nademną. W klasie wprawdzie siedziałem daleko i nikt się mną szczególniej nie zajmował, ale też nie prześladowano. Potrzebę nauki wpoił we mnie Słonkiewicz stawiąc się nieustannie za przykład, i wziąłem się do pracy zrazu ciężkiej i nudnej z usilnością wielką. Były dnie nudy i utrapienia, ale święta, ale przechadzki nasze nad brzegiem rzeki, gry, zabawy, wieczorne śpiewy i rozmowy — jakże dziś jeszcze uroczo się wydają!! Szczególną dla mnie woń mają dotąd jeszcze te wspomnienia lat pierwszych w szkołach spędzonych, z wytartemi łokciami i często dziurawemi butami.

Zrazu wypłacałem się Kulikowej myjąc talerze, czyszcząc odzienie współtowarzyszów i zastępując chłopca do usług, ale w trzeciej już klasie Słonkiewicz mój opiekun, uznał mnie zdatnym do pomagania mu w ko-

repetycjach i kazał próbować się z pierwszą klasą, której dozór mi powierzył.

Tak z dziecka prawie rozpocząłem zawód pedagoga i do czwartej doszedłszy staraniem poczciwego Wieloryba otrzymałem tak zwaną kondycję. Pierwsza była bardzo licha, rzucił bowiem okiem na mnie pan dyrektor i kazał przychodzić do swojego syna dla powtarzania z nim matematyki, za co, rozumie się, nie dawał nic prócz wysokiej protekcji swej i drogocennych uśmiechów kiedy był wesół....

Niedługo jednak wybyłem u niego, bom utrapionemu pieszczochowi piatej z rzędu konsolacji Jaśnie Wielmożnego, ochoty do nauki wpoić nie mógł i wybijaniu okien w klasach przez niego zapobiedz nie potrafił, usunięto mnie więc jako niezdatnego od zaszczytu karmienia regułą trzech ukochanego Benjamina pani dyrektorowej. Kulikowa zaś choć byłem jej przydatny, widząc że gdzieindziej zarobić sobie coś potrafię, sama nastręczyła mi miejsce u równie ubogiej wdowy Pacewiczowej, która także kilkunastu utrzymywała studentów.

Gdy przyszło opuścić dom Kulikowej (bo do dyrektora od niej tylko chodziłem na godziny, utrzymywany będąc przez nią) — gdy rozstać się trzeba było z zacnym panem Teodorem i towarzyszami, młode jeszcze naówczas serce mocno mi się ścisnęło. Byli to pierwsi ludzie na świecie z którymi dobrze mi było, do których się przywiązałem wdzięcznością i wspomnieniami, Kulikowa łając płakała przy rozstaniu, pan Teodor nieustannie mi kładł w uszy przepisy postępowania z doświadczenia czerpane, towarzysze żegnali nie bez smutku i łez.

Do tych izdebek nizkich i ciemnych, do tego podwórka ocienionego dwojgiem lip starych, równie jak do ludzi, przyrosłem był i choć nie dalej jak na drugą wynosiłem się ulicę, zdało mi się, że w całkiem obcy świat i nowe wędruję kraje.

Życie wszakże nie wiele się odmieniło, z tą różnicą żem tu stanął na wyższym stopniu z podwładnego wy-

chodząc na dozorcę; przybyło z władzą troski, odpowiedzialności i kłopotu, a mniej miałem czasu na własną naukę. Ale młodość ma siły niepojęte.... spałem wówczas ledwie parę godzin w nocy pracując dla siebie, we dnie trzeba było swawolników dozierać, nieraz się gryść, a w dodatku często nie dojeść, bo Pacewiczowa sama była uboga i ubogich tylko miała u siebie — a jednak wszystkiemu się jakoś podoływało.

Nowa gospodyni moja równie poczciwa jak Kulikowa, wcale innego była temperamentu, modliła się, zalewała łzami, a rady sobie dać nie mogła do zbytku będąc powolną i miękką. Studenci robili z nią co chcieli, profesorowie zmuszali do ciężkich ofiar, wszystko ją drożej niż innych kosztowało i na każdej rzeczy oszukaną była. A żem ochotnie jej służył i zastępować się ją starał, nie dziw żem się stał potrzebnym. Ale z czynniejszem życiem niemało przybyło utrapienia, bo nawet gospodarstwem domowem zajmować się musiałem, gdy i w tem Pacewiczowa rady sobie dać nie umiała. Tak przebiedowałem czwartą i piątą klasę nie zawsze w całych butach, ale wesoło i bez troski o przyszłość która mi się już po przebytem łatwą wydawała.

W obu tych latach dostały mi się nagrody, chociaż nic za sobą nie miałem oprócz usilnej pracy, a tu jak na świecie nie koniecznie premia dostają się najgodniejszym. — Obok mnie wzięli je wprawdzie najgorsi uczniowie, których rodzice datkiem i przyjęciem ujęli nauczycieli i JW. dyrektora, ale dano i mnie ulegając konieczności. W piątej klasie już, choć książkę mi przeznaczono, uważałem że dyrektor surowy był dla mnie i dawną stracił przychylność. Wiele do tego było powodów których ja wówczas jasno widzieć nie mogłem, stało się że raz na ulicy o mroku nie zdjąłem przed nim czapki, co u nas za *crimen laesae majestatis* się uważało, potem świsnął ktoś na lekcji profesora historji którego nie lubiono, a ja powołany do wydania winowajcy, wraz z innymi złożyłem się naturalnie niewiadomością.

W piątej więc już klasie nie bardzo byłem dobrze położony u dyrektora, a szósta pogorszyła jeszcze ten stan nieszczęśliwy. Gromy co chwila spadały na mnie, podwoiłem usilność, nic to nie pomagało. Kto chce psa uderzyć o kij mu łatwo, a władza nasza nie zbyt dobierając kija, używała i kułaka w potrzebie. — Wołano mnie nieustannie do kancelarji dyrektora objawiając groźno nieukontentowanie za dziurawe buty jednego, za nabitego guza u drugiego, za nieumianą lekcję innego z uczniów moich; mnie samego egzamenowano surowo, a nauczyciele wszyscy pod dyktatorską władzą potentata zgięci pokornie, przypodobać mu sie usiłowali prześladując tych dla których niechęć okazywał. Padałem więc ofiarą nie umiejąc sobie wytłumaczyć czem na gniew taki zasłużyć mogłem i przebłagać go nie będąc w stanie. Trafiają się takie antypatje i w szkołach, a znać władzca nasz czuł ją dla mnie. — Musiałem więc podwójnie nad sobą i swoimi pracować, a chodziło mi wielce o to, by niechęć jawna nie zaszkodziła do wzięcia medalu przy kończeniu nauk który dla przyszłości mojej zdaniem Wieloryba był potrzebny nieodzownie. Uczyłem się wedle wyrażenia szkolnego, na medal, i współuczniowie już mi go zawczasu przepowiadali, ale przeznaczenie chciało inaczej.

VIII.

Mieliśmy w tejże klasie towarzysza, syna zamożnych rodziców, który siłą podarunków, objadów i wieczorków, śniadań i balików, przeszedł kurs cały. Ojciec kochający jedynaka, nie szczędził kosztów na podtrzymywanie go w szkołach, wszyscy nauczyciele byli od niego płaceni pod pozorem lekcji prywatnych których nie dawali, kilka razy do roku przyjmowano Jaśnie

Wielmożnego szampanem i kolacją, podarki płynęły z okoliczności każdych świąt i uroczystości, a Porfirek przechodził z klasy w klasę tryumfująco przed innemi, przez wszystkich wychwalany jako dziecię największych nadziei.

Byłto chłopak żywy, próżny, rozpieszczony, ale nie bez zdatności. Obdarzony wielką przytomnością umysłu, w najkrytyczniejszym razie umiał sobie dać radę i wywinąć się z niebezpieczeństwa. Lekcję umiał czy nie, mówił niezmiernie śmiało, szybko, bez zająknienia, tak że słów jego pochwycić nie było można. Śmieliśmy się z tych jego improwizacji zuchwałych, ale nauczyciele przyjmowali je za dobre. Największą brednię, wiedząc o tem, recytował bezczelnie, pośpiesznie, głośno i ani oka zmrużył choć sam był przekonany, że niedorzeczeństwa wyplatał

Porfirek ilekroć przechodził, głaskany był przez wszystkich, a nie mogąc w nim czego innego pochwalić, unoszono się nad jego przytomnością umysłu, rokując dlań wielkie powodzenie w świecie. Miał i to za sobą, że choć czuł rodzicielskie objady i podarki, uniżonością i pokorą zbytnią ze swojej strony jeszcze do reszty jednał względy władzy, którą szanował w oczy, za oczy zręcznie jej język pokazując.

Filut jakich mało, gładko się wykręcał ze wszystkiego i nie bardzo był przez nas lubiony, ale też nie wiele dbał o to nie żyjąc wcale z towarzyszami. W ostatniej klasie ojciec, który dotąd łożył na przeprowadzanie syna coraz wyżej z honorami nagród i pochwał których mu nie szczędzono, postanowił wyrobić dlań medal koniecznie i od początku roku sprowadziwszy się do miasta, co niedziela dla nauczycieli dawał objady, woził naszego władzcę swoim powozem na podwieczorki, słał prezenta i powiększał dozy czując że po nich on i syn na laurach spoczywać będą mogli.

Zdania nasze, moje usilną pracą wymożone, jego opłacone sowicie, były prawie jednakowe w księdze

nauczycieli, choć Porfirek nic prawie nie umiał. Potrzeba więc było mnie koniecznie zgnieść stojącego na przeszkodzie, aby jego postawić na mojem miejscu.

Nie było to trudnem wcale do uczynienia przemocą, ale i najpodlejsi z ludzi mają wstyd jakiś, a radziby tak swoją robotę ubarwić, aby miała pozór przynajmniej sprawiedliwości. Szukano więc do mnie przyczepki, nie mogąc jej znaleźć rok cały i tak doszliśmy oba do ostatecznych egzamenów rocznych. Dyrektor dał był słowo że ulubieniec medal wziąć musi przedemną i dotrzymał go pod pozorem krnąbrności i zuchwalstwa, pisząc mi w rubryce obyczajów zdanie wątpliwe. To mnie oburzyło niezmiernie, bo w atestacie pozostać miał ślad wieczny mojego niedobrego prowadzenia się, wolałbym był niesprawiedliwe ocenienie nauki, niż rzucenie plamy na całą może przyszłość. I choć poczciwy Wieloryb hamował mnie jak mógł przekonywając, że trzeba uledz w cichości lub pokorą starać się przebłagać dyrektora, przejęty niesprawiedliwością poszedłem publicznie upomnieć się o moją krzywdę.

To pogorszyło jeszcze sprawę moję, gdyż zręczny człowiek samo znalezienie się moje, przedstawił jako dowód charakteru krnąbrnego i usprawiedliwienie swojego zdania. Zamiast więc medalu, zaledwie otrzymałem świadectwo szkolne, w którem że mi złej noty nie postawiono w obyczajach, winienem to był poświęceniu Słonkiewicza. Wieloryb bowiem potajemnie wyrobił to pocałowaniem w łokcie dyrektora i napomnieniem o mojej skrusze i żalu. — Porfirek z powszechnym aplauzem otrzymał żądany medal i tegoż dnia po egzamenach, władzca szkoły, nauczyciele i całe ciało gimnazjalne na wielkim balu u ojca jego zapili zgryzotę sumienia libacjami szampana, a w kilka dni potem parę siwych koni i faeton znany bardzo, ukazał się w stajni i wozowni pana dyrektora.

Chociaż z innymi współuczniami zaproszony byłem i ja na tę medalową uroczystość, nie poszliśmy na nią ze Słonkiewiczem i sami jedni w ciemnej izdebce

przesiedzieliśmy wieczór ten smutnie gwarząc. — Wieloryb starał się we mnie wpoić tę cnotę, którą miał w wysokim stopniu, pokorę i rezygnację, usiłował mi dowieść, że potrzeba było pojednać się ze wszystkiemi, przebłagać gniewy i dalej jeść chleb korepetytorski.

— Mój kochany, — mówił, — nie w szkole tylko, ale tak jest wszędzie na świecie: możniejsi kupują sobie co chcą, my powinniśmy im ustępować z drogi i milczeć aby nas nie zgnietli. Wojna z nimi próżna, bo sprzymierzeńców nie znajdziesz, a cały świat pójdzie za groszem i siłą, przeciwko prawdzie i sprawiedliwości. Jeżeli rozpoczniesz wojnę, powiedz sobie z góry że paść musisz, a masz-że ty siły na męczeństwo?

— Ale to oburza! — wołałem.

— I mnie to oburza, — odpowiedział Wieloryb, — ale ja cierpię cicho, pomodlę się, Panu Bogu ofiaruję i dalej biedę klepię. Co my biedni przeciw sile i liczbie! Próżnobyśmy wołali i porywali się, ci nawet co w duszy jak my czują, słowem się za nami nie odezwą.

Według tej teorji swojej czarnym kawałkiem chleba kontentując się Słonkiewicz, został przy Kulikowej i uczniach swoich, nie pragnąc więcej nadto co miał i pokornie zastósowując się do woli przeznaczenia, ale mnie mimo usilnych przekonywań do podziału swojego losu namówić nie potrafił. Postanowiłem opuścić miasteczko, szkoły i pójść w świat szeroki dobijać się niezależności.

Wieloryb słuchając marzeń moich, uśmiechał się z litością i może miał słuszność... wielem ucierpiał tylko a nic się nie dobił, cierpienie zostało najczystszym zyskiem tej walki, która mnie doprowadziła do stanu w jakim dziś widzisz...

— Cóż z sobą poczniesz? — pytał niespokojny Słonkiewicz — gdzie pójdziesz szukać i jakiego chleba mając tu choć biedny ale gotowy? myślisz że tak łatwo o pracę nawet?

Zpełna i ja nie wiedziałem co z sobą zrobię, ale mocne miałem postanowienie opuścić miasteczko i do-

zór studentów, przewidując że mnie tu nadal przy każdej zręczności prześladować nie omieszkają, a zbyćby się radzi niepotrzebnego świadka popełnionej niesprawiedliwości. Po rozjechaniu się uczniów, zostałem jakiś czas u Pocewiczowej, która mnie błagała napróżno abym jej dalej nie opuszczał, potem przeniosłem się do Wieloryba i z nim spędziliśmy kilka tygodni wakacyjnych czytając, chodząc po pięknej okolicy, rozprawiając o życiu jak ci co go jeszcze nie znają.

Wiecznieśmy z sobą sprzeczali się różne mając pojęcia, ale te spory jeszcze nas lepszymi czyniły przyjaciołmi. Dotąd w szkołach oprócz naukowych, żadnej książki prawie nie miałem w ręku, teraz dopiero zacząłem czytać pożyczając z kolei od Słonkiewicza z kufra drogocenne jego księgi jedna po drugiej, i pożerając je chciwie. — Bóg wie co to tam było na dnie tego zbioru najdziwniej zebranego, przypadkiem zawsze i bez żadnego planu. Słonkiewicz bowiem nie mógł wybierać i nabywał co najtańsze dzieła wszelkiej treści, tak że i słowniki i gramatyki i medycyna i botanika i polityka i romanse, równe w kufrze jego miały prawo obywatelstwa. — Ozdobą i najdroższą perłą był francuzki Plutarch pani Dacier, którego ja z zachwyceniem pożarłem, — po nim zaraz natrafiwszy na Djabla kulawego i Dykcjonarz filozoficzny!!

Niezatarte na mnie jednak wrażenie uczynił biograf stary, a świat ów greko-rzymski, wydał mi się w nim majestatyczny i potężny charakterem, daleko wspanialszy i idealniejszy od tego co mnie otaczało. Uwielbiałem pogański hart duszy tych bohaterów którzy nie mając przed sobą nieśmiertelności chrześcian, święcili się aż do śmierci dla utrzymania dostojeństwa człowieczego...

Często ze Słonkiewiczem siadłszy u stóp Sokulej skały, w pustej a uroczo pięknej okolicy, po kilka godzin aż do zapomnienia się spędziliśmy na czytaniu i rozprawach.

Tum go jeszcze bliżej poznał, tego najzacniejszego z ludzi, cichą cnotę nieocenioną, maluczko miejsca za-

bierającą na świecie, skromną, nic nie pragnącą, dopełniającą wszystkich swych obowiązków, a nie żądającą w nagrodę nawet czci i uznania. — Wieloryb ukrywał się z równą usilnością jak drudzy pokazywali, chronił od oczów, czynił maleńkim, obawiał wszystkiego i drugich ceniąc przesadnie, sobie ledwie poczciwość śmiał przyznać.

Jednego ranka zdziwiono nas niezmiernie poselstwem od dyrektora, który mnie do siebie wzywał. Nie byłem już od niego zależnym i nie mogłem pojąć o coby chodziło i na co mu mogłem być potrzebny; chciałem z razu nie pójść, ale Słonkiewicz zaklął mnie na wszystko w świecie najdroższe żebym szedł natychmiast. Ubrałem się więc i choć niechętnie udałem do dyrektora...

Kazano mi czekać w przedpokoju chwilę, gdziem miał czas czyjeś wielkie oglądać kalosze i wspaniały płaszcz aksamitem podbity; nareszcie dopuszczono przed oblicze władzcy, którego znalazłem na kanapie z fajką a naprzeciw niego wspaniałej postaci mężczyznę, z wąsami sumiastemi, usiłującego się z nim rozmówić, choć oba różnemi mówili językami, wzajem je kalecząc przez grzeczność.

Gdym stanął w progu, dyrektor wskazał na mnie ręką, wspaniałemu gościowi swemu.

— Otoż to jest *lupus in fabula*, — rzekł — o którym mowa, uczeń dobry, nie mogę powiedzieć, pilny, pracowity, obeznany z młodzieżą, bo od lat trzech korepetytorem był... mogę go panu Prezesowi zarekomendować.

Nie wiedząc czemum był winien tę łaskę, skłoniłem się grzecznie w milczeniu.

— Zdaje mi się, że życzyłeś sobie, — dodał, — znaleźć kondycję na wsi, oto właśnie się nastręcza u JW. Prezesa, który ma syna jedynaka i chce go do szkół przygotować.

Prezes oglądał mnie naprzód bacznie, i powstawszy rozpytywać począł o pochodzenie, nazwisko, familję, położenie.

Rozpowiedziałem mu szczerze życie moje, dodając że nie miałem całkiem familji i byłem zupełnie panem siebie.

Odprawiono mnie po chwili, wskazując mieszkanie Prezesa do którego dla umowy z nim udać się miałem za godzin kilka. Słonkiewicz gdym powrócił i opowiedział mu o co chodziło, razem się ucieszył i zasmucił; długo walczył z sobą usiłując odgadnąć co dla mnie lepszem być mogło, a ostatecznie zawyrokował, że wolałby mnie widzieć korepetytorem w miasteczku.

— Masz zaledwie rok osiemnasty, gdzie ci się samemu jednemu puszczać w świat, między ludzi! tysiące popełnisz niedorzeczności nie z dobrej woli ale przez nieznajomość stosunków... możesz sobie życie zwichnąć!

Gdym jednak oświadczył mu, że wypadek ten uważam za opatrzną ręką podany mi środek oswobodzenia się, Wieloryb smutny zamilkł i puścił mnie dla umówienia się z Prezesem.

Układ nasz przyszedł łatwo, gdyż ofiarowana mi nagroda za dozór przy synu Prezesa, zdała mi się niezmiernie i nadspodziewanie wielką, przyjąłem więc wszystkie warunki z wdzięcznością i we dwa dni potem ze łzami rozstawszy się z Słonkiewiczem, Kulikową i Pacewiczową, ruszyłem na wieś pełen najsłodszych nadziei.

IX.

Jestem do zbytku gadułą, — przerwał z westchnieniem nieznajomy, ciągle przechadzający się po izdebce, obróciwszy się do Oktawa, — ale te lata pierwsze człowieka i dziś jeszcze gdym plunął na życie, mają dla mnie urok wielki. Patrzę na nie jak na ciebie mój przyjacielu, z tą żądzą odżywienia się tchnieniem młodo-

ści, która napada nas przetrawionych spalenizną pod koniec życia utrapionego.

Jak widzisz nie było to tam wielkich rozkoszy i powodzeń, chleb czarny, nędza, ubóstwo, przemoc i niesprawiedliwość już w pierwszych latach, a jednak bije serce jeszcze na wspomnienie tych jasnych godzin pierwocin życia. — Śmieję się z tego siebie dawniejszego, który mógł naiwnie znajdować przyjemność w rzeczach co dziś oczówby nie odwróciły na chwilę, — a przecież kocham tego siebie lepiej niż dzisiejszego..

Wyjazd z miasteczka był początkiem drugiej epoki życia a raczej on dopiero otworzył na świat wrota.

Już w drodze poznałem Prezesa, który mnie wiózł, dostojnego obywatela wysoce ceniącego swą godność szlachecką i prezesowską, człowieka prawego zresztą ale obałamuconego tradycyjnem poszanowaniem dla swego stanu i jego przywilejów, wierzącego głęboko w to, że na szlachcica pracuje natura wieki aby go wydać, i że to drogie jej dzieło przewodniczy losom świata. Zresztą pojęcia jego szlacheckie były nawet uczciwe i piękne, bo przyjmował przynajmniej obowiązki, dopominając się przywilejów, i czuł ciężary jakiemi je okupić należało; ale też znowu idea chrześciańska braterstwa całkiem mu znikała z oczów gdy szło o stosunki społeczne. Mnie którego brał do domu za nauczyciela do syna, acz młokosa, jako szlachcica z pewnym uważał szacunkiem, ale wcale nie za równego sobie, a że szlachcica miał także kamerdynera, obu nas widocznie kładł na jednej szali.

Szlachcic bowiem bogaty i szlachta goła, stanowiły dlań dwie całkiem odrębne kategorje, a do ostatniej ja i lokaj należeliśmy. Nie powiem żeby mnie to poniżało, bo przywykłem był nikogo nie mieć za gorszego od siebie, i do innych zasług nie do położenia wartość człowieka przywiązywałem, ale pociesznie było widzieć jak prezes pilnie od razu zakreślił mi granice w których zdaniem jego powinienem był zostawać, nie dopuszczając się zbytnej poufałości. W drodze zaraz dał mi to do zrozumienia uprzedzając że po odbytych

w przytomności francuza lekcjach z jedynakiem, będę mógł zajmować się sobą, nie mając obowiązku mieszać do towarzystwa.

Podróż przeszła dosyć nudnie, gdyż odebrawszy instrukcje choć się z czemkolwiek odezwałem do Prezesa, zbywał mnie półsłówkami i siedział zamyślony i milczący. — Dziwnym trafem choć kilka wielkich lat rozdzielały mnie od mojej ucieczki z dziadem i śmierci jego, poznałem jadąc miejsca, któremi przebywał wprzód pieszo, okolicę naszą, nawet domek w któremeśmy mieszkali.

Niepodobna mi było od łez się powstrzymać przypomniawszy okropną śmierć starca i moje osierocenie, z którego cudem wyrwany zostałem przez litość Słonkiewicza. Ale powóz minął szybko okolicę i o milę dalej dopiero ujrzeliśmy dwór Prezesa bardzo wspaniały, na wzgórzu przy wielkiej wsi nad stawem pobudowany. Była to rezydencja nie tak dawna, gdyż w kraju naszym wyjąwszy prawdziwie wielkich panów nie stawiono pałaców, i ten sięgał tylko ostatniej epoki, nosząc na sobie cechy smaku Stanisławowskiego. Znać było że i pałace i budowle otaczające go, wedle jednego planu odrazu postawione zostały... na miejscu pewnie gdzie dziadowski poczciwy był dwór szlachecki. Tu już widocznie na coś pańskiego zakrawało, mieliśmy i herby na facjacie w maltańskim krzyżu, i galerje na małą skalę dom z oficynami łączące, i oranżerje wspaniałe, i figarnie i — pompatyczną rotundę kościoła parafialnego naprzeciw alei z napisem złotemi literami:

„Soli Deo!“

Zakrawała ta dedykacja trochę na Wolterowską a przepych tutejszy bardzo był wyblakły, ale mnie nowemu jeszcze na tym świecie, wszystko się przepysznie wydawało.

Ze drżeniem wszedłem wprowadzony przez Prezesa na dół do sal i pokojów codziennych, gdyż na górze inny apartament od uroczystości i gości, ale i tu wśród ogromnych komnat ciemnych, przyozdobionych

gdzieniegdzie złocistemi zegary i obrazami w szerokich ramach, zdało mi się po królewsku wspaniale, po izdebkach Kulikowej, i alkierzyku Pacewiczów.

Prezes był wdowcem, po żonie została mu córka mojego wieku i syn znacznie od niej młodszy, do którego trzymano francuza, ja byłem przeznaczony aby języka potrzebnego w obywatelstwie nie zapomniał i do niektórych pomniejszych lekcji. — Wszystko co żyło zbiegło się zaraz na powitanie gospodarza, który mnie dosyć lekko Franusiowi i jego nauczycielowi przedstawił.

Panienka która z Franusiem razem wyszła naprzeciw nas z towarzyszką już w wieku, nie była zachwycającej piękności, ale nie wiem dlaczego widok jej niesłychanie mnie zmieszał i wprost na mnie skierowane ciekawie oczy, zupełnie onieśmieliły. — Dotąd prócz Kulikowej i mojej Pacewiczowej a dziewcząt prostych nie widywałem nikogo, nie dziw że szykowniejsza i wdzięczniejsza twarzyczka i postawa takie na mnie zrobiły wrażenie. — W twarzy tej był wyraz dobroci i rozsądku niewysłowiony, coś sympatycznego i łagodnie poważnego zarazem.

Tu zatrzymał się nieznajomy i po chwili wahania patrząc na Oktawa, dodał:

— Na co mam kłamać lub kryć to co czułem, nie, potrzeba żebyś wiedział jak mała i drobna okoliczność rządzi ludzkiem życiem. To dziecię mojego wieku lub nieco młodsze, ta panienka na którą ledwiem śmiał podnieść oczy, miała złamać całą przyszłość inaczej pewnie mogącą się rozwinąć... gdyby! a! gdyby... cóż powiem! fatalność! — są przeznaczenia i wola przeciw nim nie pomoże!

Wiem że ta nauka nie chrześcjańska — i że mnie za herytyka poczytać możecie, ale obronić się jej nie umiem.

Dwór tedy, do którego wchodziłem, składał się z Prezesa, z córki jego Ludwiki, syna Franusia, w wieku już podeszłym krewnej gospodarza pani Fendrich, niegdy żony pułkownika w wojsku pruskiem, i francuza pana Le Bon, który w istocie był szwajcar, ale tak jak do

nas frankońskie wina za francuzkie przychodzą, tak i szwajcarowie za paryżanów przyjeżdżają, po naszemu mówiąc — służył on *za francuza.* Był to sobie dobry człowiek, uległy, grzeczny, nie orzeł wcale, pracujący dla grosza i powiększenia spadkowej winnicy, którą gdzieś miał koło Neufchatel'u, zresztą zimny, samolub ale nieszkodliwo bo tchórz... Jestem pewien że Pan Bóg wielu stworzeniom daje tchórzostwo jako zabezpieczenie aby nie robiły złego na świecie, dlatego też każdego prawie tego rodzaju człowieka, strzedz się potrzeba — byłby zły gdyby się nie obawiał

Pan Le Bon przy dosyć ogromnej głowie, niewiele umiejąc przywiązywał niezmierną wagę do tego co posiadał, uparty był trochę ale nie zaczepiając go, żyć z nim było można poznawszy słabostki.

Franuś był dosyć zepsutem dziecięciem jako jedynak, ojciec chował go do wielkich przeznaczeń i górne na nim budował nadzieje, w oczy go chwalił, niesłychane w nim upatrywał zdolności i wmówił w chłopca zarozumiałość. Pod rozmaitemi pozorami wolno mu było nie uczyć się, swawolić, nie słuchać nauczyciela, drwić z niego, grymasić, a ojciec zawsze znalazł coś dla uniewinnienia ukochanego dziecięcia.

— Niepodobna go tak obarczać znowu suchą nauką, — mówił, — umysł jego pewien jestem, póki dźwignie póty się starać będzie podołać, Franek lubi naukę, ale wiek jego i żywość! Potrzeba czasem i swawoli dla ciała, nie lubię dzieci zbyt posępnych i spokojnych, to dowodzi charakteru skrytego i niedobrych skłonności.

Nieposłuszeństwo względem nauczyciela tłumaczyło się wewnętrznem uczuciem sprawiedliwości, lub skutkiem rozumowania, do którego chłopiec miał zdolność szczególną, — żarciki ze starych wesołym humorem, dziwactwa stanem zdrowia.

Ale Franuś po prostu był zepsuty, rozpieszczony, a pan Le Bon uznając to, nie zadawał sobie pracy poprawiania go, obawiając się ojcu narazić.

Cale inaczej wychowaną była starsza córka Prezesa, której pierwsze lata zeszły pod okiem matki surowszej

nieco a sercem umiejącej opłacić to co czyniła z obowiązku, znać na niej było to tchnienie macierzyńskie, które jak promień słońca roślinie, daje dziewczęciu barwę i życie. Luzia dorosła już panienka, dojrzałą była może zawcześnie, ale osierocenie, które ją zostawujący samotną dopełniło lat, nie odjęło naiwności i żywości dziecięcej.

Śmiała, wymowna, pełna uczucia, nie umiejąca nic pokryć i skłamać, dla ojca była ona przedmiotem nieustannego przestrachu i niecierpliwości. Nie lubił jej wcale, a że Luzia obchodziła się jeszcze surowo z Fransiem, który ją przed Prezesem zaskarżał, do reszty straciła u niego łaskę. Była nawet zdaje mi się mowa o tem aby ją nakłonić do klasztoru w celu by posag znaczny powiększył majętność przyszłego dziedzica, ale gdy na pierwsze słowo o tem zakrzyknęła żywo, ojciec nie nalegając więcej, tajemnie tylko polecił pani Fendrich, żeby ją ku temu przygotowywać się starała.

Ale nikt mniej do klasztornego życia usposobiony nie był nad Ludwikę, która nieustannie walczyć z sobą musiała aby wybuchy swej szczerości i oburzenia powstrzymać..... Nie będąc piękną Prezesówna miała dla mnie przynajmniej wdzięk nadzwyczajny, cała jej świeża i rumiana twarzyczka oddychała szczerotą, uśmiech pełen był dobroci, oczy świeciły blaskiem duszy szlachetnej.

Pani Fendrich, jej towarzyszka, była to sobie osoba spokojna, cicha jak Le Bon, rada swemu położeniu w domu Prezesa, które jej chleb i wygody zapewniało, zresztą posłuszna woli pana i brata i zabawiająca się czytaniem starych francuzkich romansów. Mówiła niewiele, po większej części potakiwała każdemu, gdy nie mogła, milczała, lubiła kawę i konfitury, a w rozmowie często wspominała o Berlinie i Wrocławiu, w którym z mężem jeszcze znaczną część życia spędziła.

Zaraz nazajutrz wytknięte mi zostały ścieżki, po których chodzić miałem, naznaczone mieszkanie w oficynie przy panu Le Bon, godziny nauki, zabawy. obiadu i wieczerzy; z resztą czasu zbywającego mogłem robić

co mi się podobało. Franuś mnie pierwszego wieczora obejrzał i znalazł dosyć znośnym, co wywołało pochwały innych, gdyż dzieciak w istocie rządził tu ojcem, domem i wszystkiem; z pomocą jego otrzymałem indygenat w towarzystwie i wnijście do salonu.

X.

W tym to domu dojrzałem i przebyłem długich lat kilka, — mówił dalej Poroniecki, z których spowiedź cięższa jest dla mnie niżeli z reszty mego życia. Prezes zajęty był urzędowaniem i gospodarstwem, większą część czasu przesiadywał w mieście, myśmy w towarzystwie, o którem wspomniałem, pędzili dni i lata dosyć jednostajne, a jak dla mnie szczęśliwe. Nie umiałem się jeszcze, jak dziś, obawiać pomyślności, i nie wiedziałem że wszelkie szczęście ludzkie burzę zwiastuje.

Jak się stało żem śmiał spojrzeć na pannę Ludwikę i pokochać ją, dziś nie powiem... ale to przyszło nieznacznie i powoli, a z mojej strony nie mam sobie do wyrzucenia zbytku odwagi i natarczywości. Od pierwszego wejrzenia wydała mi się istotą jedyną, ku której ciągnęło mnie serce, czemś tak mi potrzebnem do życia jak powietrze i światło, ale nie pragnąłem ani się do niej zbliżyć, ani jej to powiedzieć, taką przejmowała mnie bojaźnią i poszanowaniem dla siebie. Długo spotykały się nasze oczy i niema ich rozmowa, kończyła się wprawiając mnie w nieopisane rozdrażnienie.

Ubogi sierota, wiedziałem dobrze, że w oczach ojca spojrzenie nawet na jego córkę za grzech nieprzebaczony by było miane. Nie ośmieliłem się ani zbliżyć, ani wyjść z zakreślonego mi ściśle obwodu codziennych stosunków. — Lubiłem patrzeć na Luzię ukradkiem,

śledziłem jej kroki, słuchałem rozmowy, ciągle zdaleka i zawsze oddzielony od niej przytomnem mi położeniem mojem.

Oswojono się ze mną prędko i nie wielkiemi obarczony byłem ciężarami, zrana odbywaliśmy lekcje z Franusiem, który uczył się jeśli chciał, lub zmieniał program dnia według fantazji. Pogodą wypraszał się na konne przejażdżki lub przechadzki, w deszcz zachciewało mu się zabawy jakiejś, a francuz musiał z nim używać nadaremnych środków dyplomatycznych aby go do pracy posadzić choć na godzinę. Chłopak nie był bez zdatności, ale nadzwyczaj zepsuty. Najmniejszy przymus oburzał go i skoro Prezes powrócił na jaki dzień do domu, skarżył mu się że go niegodziwie męczono, a humor ojca i obejście jego z nami gniewne, świadczyły że Franuś nas źle przedstawił.

Ludwika czując jakiem niebezpieczeństwem dla brata było to uleganie jego zachceniom, śmielej od nas z nim walczyła i codzień też Prezes zimniejszym był dla niej. Ona jedna w domu opierała się czasem bratu, który otwarcie mówił z dziecinną naiwnością, że chciałby żeby już sobie za mąż poszła i przestała mu dokuczać. Le Bon, pani Fendrich i cały dwór, nie mówiąc już o mnie, byliśmy powolnemi sługami Franusia, który się rządził jak zechciał, a najdziwniejsze jego pomysły wzbudzały tylko w ojcu rozczulenie nad nieporównanem dziecięciem. Znając jego władzę, służba, oficjaliści wszystko co chcieli przez Frania robili, a pochlebstwo i dogadzanie, czyniły go codzień swawolniejszym. Gdy siostra nie miała najmniejszego prawa żądać ni rozkazać, brat młodszy trząsł domem jak mu się podobało, a my stosować się zmuszeni byliśmy do jego dziwacznych fantazji.

Dzieciak nie miał złego serca, ale w nim zawcześnie rozwijało się wszystko co jeszcze spać było powinno i więcej go zajmowało gospodarstwo, konie, sąsiedztwo, odwiedziny, niż nauka, do której najmniejszej nie miał ochoty.

Staliśmy wszyscy, on, ja i francuz w oficynie, pani Fendrich z panną Ludwiką w pałacu, a na śniadania, obiady i wieczory schodziliśmy się razem. Nieszczęśliwa stara kuzynka była wówczas zwykle przedmiotem żarcików Franusia i znosiła je z cierpliwością przykładną, czasem podobało mu się drwić i ze mnie lub Le Bona, siostry tylko która mu nie przebaczała, obawiał się zaczepiać.

Wieczory wedle programu spędzać powinniśmy byli na czytaniu jakiemś, ale Franio rzadko na to przychodził i tak umiał przerywac pytaniami, uwagami, że w końcu książkę zastępowała rozmowa, a chłopak wyrywał się do przedpokoju, do sług, których towarzystwo nad nasze przenosił i tam dokazywał jak chciał. Naówczas najczęściej pan Le Bon nieśmiejąc ganić ucznia który z nim w cztery oczy bardzo ostro się obchodził, siadał przy pani Fendrich i rozpoczynał spokojną gawędkę o swoim Neufchatelu i państwie pruskiem, a ja mimowolnie zbliżałem się do panny Ludwiki z którąśmy albo pocichu rozmawiali lub czytywali razem.

Najszczęśliwsze to były życia mojego godziny i gdybym nic więcej nie zapragnął, nie posunął się dalej, dziś bym może jeszcze żył ich wspomnieniem spokojny. Wprędce panna Ludwika postrzegła zapewne jak wiele mi brakło do ukształcenia i jak pragnąłem wypełnić niedostatek mojego wychowania, ona mi pierwsza dała książki, otworzyła bibljotekę i wskazała co z niej wybierać. W dzień dosyć mając czasu na pracę własną, wieczorem potem jej zdawałem z niej sprawę, rozprawialiśmy, a umysł jej dojrzalszy i żywszy potężnie wpływał na mnie.

W pierwszym roku mojego pobytu u prezesa, choć czułem w sercu najżywsze dla niej przywiązanie i wdzięczność, i choć potrafiłem sobie zarobić na przyjaźń, nie dopuściłem nawet zuchwalszej myśli żadnej.

Stosunki nasze były braterskie, spokojne i czyste, czułem tylko że panna Ludwika codzień większą władzę miała nademną i że gdyby mi się ztąd oddalić przyszło, bolałbym srodze nad stratą jej jednej. Stara-

łem się też może z tej obawy być jak najposłuszniejszym Franusiowi, jak najmniej go obarczać, a pracując nad nim nieznacznie, przy zabawie, w rozmowie wpajać mu potrosze potrzebę nauki i ogólniejsze jej zasady, Tak mi się to szczęśliwie jakoś powiodło, że Franio mnie polubił, a znajdując towarzysza do wielu niewinnych rozrywek, zapowiedział ojcu że się nigdy ze mną nie rozstanie.

— Pana Le Bon to sobie papa może wyprawić kiedy zechce, — rzekł wskakując mu na kolana, ale poczciwego Poronieckiego ja sobie arenduję na zawsze....

Prezes skutkiem tego poświadczenia obdarzył mnie w końcu roku złotym zegarkiem i dopuścił parę razy do zaszczytu palenia fajki w jego obecności, na krzesełku u proga. Wpłynąłem nawet na postępowanie siostry z bratem, dowodząc jej z mojego dawniejszego doświadczenia, że taki umysł jak Franusia, siłą i groźbą nieda się pokierować, że potrzeba prowadzić go łagodnością i niemal uleganiem, obudzając tylko ciekawość, łechcąc próżnostkę, wmawiając ochotę do pracy. Luzia trochę też mniej była surową dla Franusia, a dzieciak i to przed ojcem wyśpiewał, bo się zaraz dopatrzył w tem mojego wpływu.

Po roku byłem już tu jak w domu i zdało mi się żem nigdy ich opuścić nie powiniem, Franuś nawet zapowiadał że mnie z sobą weźmie do szkół, do uniwersytetu, a potem osadzi mnie w oficynie na resztę żywota.

Jedną z najtrudniejszych w świecie jest historja takiej nieszczęsnej miłości jak moja, — rzekł wzdychając Poroniecki. — Dziś ja sam sprawy sobie z niej zdać nie mogę.

Zrazu kochałem sam o tem nie wiedząc, i panna Ludwika przywiązała się do mnie nie myśląc, by to uczucie na niebezpieczną namiętność urosnąć miało. Może byśmy w tym stanie przetrwali szczęśliwi do końca, gdyby nie traf który w drugim już roku, zbliżył nas do siebie niespodzianie.

Krewna i dawna towarzyszka młodości Ludwiki,

przybyła na dni kilka do nas; była to panienka nieco od niej starsza a wielce różna temperamentem, trzpiotowata, wesoła, swobodna i naczytana francuzkiemi romansami. Śliczne to dziecię poczęło od tego, że przy pierwszem śniadaniu zrobiło ogląd towarzystwa pilny, wycałowała Frania, rozruszało Le Bona który zaraz nową na obiad włożył kamizelkę, wyciągnęło z pani Fendrich całą jej życia historją, i mnie nawet zawsze dość ponurego rozweseliło i ożywiło. Franek zerwał lekcje ażeby być z panną Julją przed którą na dziedzińcu konno się popisywał i uganiał po pokojach — wszystkich nas oczarowała.

Dowiedziałem się później, że pierwszego dnia obejrzawszy mnie i wyśledziwszy wejrzenia nasze, powiedziała kuzynce, że się w niej kocham. We trzy dni potem na przechadzce, szepnęła do ucha mnie znowu, że widzi wszystko, ale że nikomu nic nie powie. Próżnom się zaklinał że nie rozumiem i nie wiem o co chodzi.

— Na co to tu kłamstwa! — dodała, — trzeba ślepego żeby nie widział jak się państwo kochacie..,. ale ja was nie wydam....

Trzpiot dziewczyna raz sobie to wbiwszy w głowę, nie miała spokoju póki nas oboje nie zbliżyła i nie uregulowała naszych stosunków jak mówiła. Przez ciąg jej pobytu dalej zaszliśmy skutkiem zabiegów panny Julji niż przez cały rok poprzedzający.

Może skutkiem tego że ona sama kochała się wówczas na zabój w ubogim chłopcu, o którym rodzice jej słyszeć nawet nie chcieli, choć później wyszła za bogatego sąsiada, Julka pragnęła mieć towarzyszkę w Ludwice. Ale o ile pierwsza była trzpiotem, druga nawet w młodych uczuciach poważną. Wymógłszy na mnie wyznanie podchwycone uwielbienia i czci dla panny Ludwiki, poniosła je z dodatkami swojemi do ucha towarzyszki, a w parę dni potem zaprzysięgła przedemną, że Luzia także mnie kocha, pobudzając i ośmielając abym z nią był otwartszym.

— Ale pani, -- rzekłem, — na czem się to wszy-

stko skończy? na wygnaniu z raju i wstydzie.... na męczarni dla mnie, na cierpieniu dla niej....

— A na czemże się zwykle kończy miłość? — odparła ze śmiechem Julja, — sama ona jest już szczęściem i więcej od niej wymagać nie potrzeba.... nad to co dziś daje.... a jutro!! co tam!!

XI.

To pewna, że po wyjeździe Julji zbliżyliśmy się nieznacznie ku sobie, i sam nie wiem jak przyszło do tego, żem jednego wieczora wśród swawoli Franusia i rozmowy Le Bona, powiedział jej że życie moje do niej należy.

— Słuchaj pan, — odparła na to smutnie, nie łudźmy się dziecinnie choć latami dziećmi może jesteśmy... nie sądź bym ja tak płochą była jak ta poczciwa Julka, ja nie pojmuję innego przywiązania tylko wiekuiste, i komu je poślubię, dotrzymam. Moje przywiązanie stać się może dla ciebie zawadą i ciężarem, prześladowaniem, ale ja dwa razy w życiu kochać nie będę.... Raz na wieki....

— I ja nie inaczej też pojmuję to święte uczucie,— odpowiedziałem, — ale mi łatwo przyjdzie dochować je do śmierci, łatwiej niż pani wystawionej na pokusy, zostającej pod władzą ojca.... dla której tysiąc się znajdzie ludzi ponętniejszych od biednego sieroty....

— Wieszże pan co dla mnie ponętą? to może nie ów świat większy, nie ludzie błyskotliwi, nie dowcip i ułożenie, ale poczciwe wierne serce które mnie nie zdradzi....

Od tego wieczora długich wyznań, byliśmy związani na wieki, a słowo Ludwiki, tak naówczas sądziłem i — nie zdaje się bym się omylił, starczyło za największą przysięgę. — Opowiedziałem jej życie moje,

sieroctwo, opuszczenie, ale położenie to nie wpłynęło na jej uczucie i nie zmieniło dla mnie, owszem zdawała się tem czulszą im z większej niziny dźwigała mnie ku sobie. Nie sądzę by kto naówczas dostrzegł naszych stosunków, które się mało zmieniły wzajemnem wyznaniem. Ludwika była spokojną i pewną siebie, ja posłusznym jej kierunkowi. Stara kuzynka i francuz nie posądzili nas o nic, a Franuś po dziecinnemu prześladując choć mu się coś śniło, nie bardzo rozumiał jeszcze na jak straszną nadeptał tajemnicę. Życie szło ciągle trybem jednym i płynęło niepostrzeżone dla nas pędem strzały. Czekaliśmy wieczora, zasiadali do czytania a książka służyła za pośrednika... Franuś wybiegał do przedpokoju, Le Bon zasiadał przy staruszce, my byliśmy przy świadkach a sami. W lecie na długich przechadzkach równie nas swobodnych zostawiano, i często dziecię z francuzem puszczało się daleko, staruszka pozostawała w tyle, my jedni szliśmy przy sobie niewyczerpaną prowadząc rozmowę.

Nie będę ci rozpowiadał dziejów tych znanych dwojga serc i dwojga ludzi — miłość jest to także ziarno gorczyczne maluczkie, a wyrastające na drzewo rozłożyste, niepostrzeżone w sercu się zasiewa, obejmuje, zalega, i gdy je wyrwać potrzeba, już zbyt głęboko wpiło się w piersi i opasało człowieka. Tak stało się z nami, a położenie moje w tym domu, nieustannym napawało mnie strachem. Ludwika śmielsza była odemnie choć lepiej może znała ojca i widziała niepodobieństwo otrzymania jego pozwolenia, ale przywiązanie jej mniej gwałtowne napozór, nie obawiało się ani walki z ludźmi ani z czasem.

Upływało już lat dwa mojego w tem miejscu pobytu gdy jednego wieczora sobotniego Prezes nie jak zwykle sam, ale w towarzystwie młodego jakiegoś człowieka powrócił do domu. Gości u nas bywało nie wielu, oprócz blizkich sąsiadów i Julii, która kochając się raz trzeci, dziwiła się mocno Ludwice i mnie żeśmy dotąd trwali w statecznem i rosnącem codzień przywiązaniu do siebie. — Dało to wielce do myślenia, że Prezes

przybywszy zaraz posłał do pani Fendrich oznajmując, aby srebra dobyto i wieczerzę podano wystawnie w górnym salonie. Oprócz imienin Prezesa nigdy się to jeszcze za mnie nie trafiło, mocno więc byliśmy wszyscy zaciekawieni przybyłym, gdy Franuś, który pierwszy do ojca poleciał, doniósł nam, że z nim przyjechał pan Bolesław M.... i szepnął na ucho mnie: — To już pewnie do Ludwisi, a czas żeby sobie za mąż poszła....

Chociaż nie brałem tych słów dziecka na serjo, wstrząsłem się jednak i pobladłem, a Franek postrzegłszy to dodał:

— O! o! pan byś temu nie rad, ale to nic nie pomoże, przecież Ludwisię za mąż wydać musimy... a jak papa każe to pójdzie choćby nie chciała... Pan Bolesław bogaty, prawda że zająkliwy i ojciec jego świniami handlował... ale ma piękny majątek...

Po samem podaniu herbaty widać było że Prezes przyjmował nie bez zamiarów, dobyto stare srebra, oświecono pokoje, pannie Ludwice kazano się ubrać i my nawet odświętne przywdzieliśmy stroje.

Choć domyślała się bardzo o co chodziło, biedna ofiara ukazała się ze spokojem, który i mnie dodał odwagi, bardzo skromnie ubrana, smutna zresztą i zrezygnowana. Pan Bolesław był przyzwoitej powierzchowności i dosyć ładny mężczyzna, otarty widać w świecie, ubrany wykwintnie bardzo, trochę może zawiele noszący błyskotek, ale zająkliwy szkaradnie i nie wielkich zdolności. Ojciec dorobkowicz chodzący w kapocie, zyskawszy majątek w handlu bydłem i karmnemi wieprzami, starał się dając mu fortunę znaczną, stosowne też obywatelskie, jak mówił, dać wychowanie. Powiodło mu się to co do formy, gdyż pan Bolesław mógł wszędzie pokazać się przyzwoicie, ale na głowę ciasną nauczyciele publiczni i prywatni środka nie znaleźli. Lubił hulać bo mu to nieco język rozwiązywało, polował konno, jeździł doskonale, a w towarzystwie kobiet ciężko mu szło jakoś i nie bardzo w niem sobie podobał. Przybycie jego do domu Prezesa na które stary ojciec nakłonił, miało w istocie na celu staranie o pannę

Ludwikę, ale chłopak posłuszny rodzicowi swemu, miał na myśli z niego się później wykręcić. Nie wiele też sobie zadawał pracy aby się podobać z początku, i więcej mówił do ojca niż do córki, aż dopiero przy wieczerzy posadzony przy pannie Ludwice, lepiej znać się jej przypatrzywszy, nieco stał grzeczniejszym.

Ja płonąłem ze strachu i niepokoju, a choć mnie wejrzenia jej podtrzymywały, nie umiałem być panem siebie i skryć co się we mnie działo.

Prezes występował nie tylko ze srebrami i salonem, ale w rozmowie z przodkami, stosunkami, znaczeniem w obywatelstwie i wielkością swoją zręcznie się popisując, co jednak na chłodnym gościu nie zdawało się wielkiego czynić wrażenia.

Panna Ludwika jednak mimo chłodu i obojętności prawie pogardliwej jaką mu okazywała, podobała się widocznie, gdyż nazajutrz został jeszcze na obiedzie i jąkliwą swą bawił ją rozmową.

Po wieczerzy gdyśmy się rozeszli, dowiedziałem się od Franusia, że ojciec nie rad znalezieniu się córki, powołał ją do siebie i surowo zgromił, zalecając jak największą grzeczność dla pana Bolesława; z dodatkiem, że go sobie życzy za zięcia.

Franek, który podsłuchiwał pode drzwiami swoim zwyczajem, wygadał mi się, że Ludwika śmiało ojcu odpowiedziała, że Prezes mocno się gniewał, że w końcu trzasnąwszy drzwiami, odszedł grożąc i piorunując.

— Papa jak chce to umie być zły — dodał — ze mną to nie, bo ja się zaraz rozpłaczę i rozchoruję, a on się tego boi; ale z Ludwiką — to strach! ażem ja się zląkł.

Nic to wszakże nie pomogło i nazajutrz ujrzałem ją z wczorajszym pokojem i chłodem przyjmującą pana Bolesława, który widocznie zdziwiony był obojętnością córki, równie jak nadskakiwaniem ojca. Odjechał wreszcie nie wiem w jakich usposobieniach tą razą, ale Prezes nie szczędził mu grzeczności i odprowadził

go aż do ganku, zapraszając, aby jak najczęściej go odwiedzał.

XII.

Gdyśmy po odjeździe ojca znaleźli się znowu sami, a ja przerażony począłem pytać co począć mamy, panna Ludwika odpowiedziała mi z zimną krwią ściskając moją rękę. Cierpieć i czekać.

— A jeżeli ojciec zmusić zechce? — zapytałem jej.

— Któż może zmusić człowieka? — odpowiedziała — ja tego nie pojmuję, on sam tylko jest panem swoich czynności, jak skoro ma pojęcie ich znaczenia.... Bądź spokojny...

Położenie, moje wychowanie, nawet charakter, uczyniły mnie daleko słabszą od niej istotą, alem energji nabierał z tego szacunku i przywiązania, jakiem mnie natchnęła. Byłyby rzeczy pozostały w tym jeszcze stanie szczęśliwym stosunkowo dla nas obojga, w jakim dotąd trwały, gdyby nie Julja znowu, która poszedłszy już za mąż za trzeciego ulubieńca, zawsze się jeszcze mocno sprawą sercową kuzynki zajmowała, i postanowiła sobie namówić do stanowczego kroku. Miałem już wówczas lat dwadzieścia kilka, a prawie tyleż panna Ludwika, w obliczu więc prawa, byliśmy pełnoletniemi, a Julja jęła nas oboje silnie namawiać do zawarcia potajemnych ślubów.

— Mów ty sobie co chcesz, to jedno może wam przyszłość zapewnić — powtarzała. Prezes będzie musiał przystać... inaczej wynajdzie tysiąc sposobów na znęcanie się i przymuszanie i dokona waszego nieszczęścia...

Luzia oburzyła się na samą myśl potajemnego związku, ale Julja tak nam to umiała pięknie tłumaczyć, tak przekonywająco przemawiała, tak silnych uży-

wała argumentów! Zresztą myśmy oboje widzieli w tem jedyny środek zabezpieczenia przyszłości.

— Pobierzcie się tylko — mówiła przyjaciółka; — niech to stosunków ni życia waszego nie zmienia bynajmniej, a zapewni w razie nacisku...

Ale projekt ten dziwny, zdawał się nie do uskutecznienia; wynaleźć księdza coby chciał dać ślub tajemny, wymknąć się obojgu niepostrzeżonym... nie widzieliśmy do tego sposobu...

Julja w ręce klaskając wszystkiego się podjęła...

Właśnie w majątku, w którym mieszkała z mężem, był proboszczem ośmdziesięcio-letni zdziecinniały staruszek, na niego więc rachowała Kostarska, że odmalowawszy mu nieszczęsne położenie dwojga prześladowanych kochanków, nakłoni go do dania ślubu. Mąż jej naturalnie pomagać w tem musiał. Luzia miała przyjechać w odwiedziny z panią Fendrich, towarzyszkę można było na czas jakiś usunąć, ja mogłem dostać pozwolenie do miasteczka i przybyć wcześnie do plebanji i t. d.

Przyznaję że osnuty plan choć ziszczał moje nadzieje, był mi już wówczas straszny i kazał przeczuwać złe jakie miał wywołać; miałem wstręt do takiego podstępu, do ukrywania się i kradzieży które położenie moje w domu czyniło w najwyższym stopniu ohydnem. Zrobiłem tę uwagę Ludwice, ale ona nie widziała w tem nic zdrożnego.

— Jestto tylko ponowienie tych przysiąg, któreśmy dawno sobie uczynili — rzekła — uroczystsze może ale nie świętsze od pierwszych. W oczach ludzi ono nas łączy nieodzownie i jako środek przeciw nim użyć go musimy, inaczej wiem, że ojciec by nigdy nie pozwolił.

Zdziwiło mnie przyzwolenie Ludwiki, ale nie mogłem już się opierać, skoro ona tego zdawała się żądać — zgodziłem się na to czego Julja tak gorąco dla zabawki swej — może — pragnęła. Myślałem jednak że marzenie przyjaciółki ziścić się nie będzie mogło, że zajdą przeszkody a rzecz się rozchwieje. Kochając z całej

duszy czystą i zacną istotę, nie chciałem jej pozyskać podstępem i zdradą skrytą, a im miłość moja dla niej była większa, tem przykrzejsza ta ostateczność.

W niepokoju oczekiwaliśmy nowin od pani Julji, a ta tak się gorliwie krzątała, że w przeciągu kilku tygodni potrafiła ułożyć wszystko, namówić księdza staruszka, wynaleźć dyskretnych świadków, urządzić zaprosiny do siebie.

Obojgu nam brakło czasu do namysłu, bo przekonany jestem, że Luzia byłaby sama oparła się temu potajemnemu ślubowi. Julji potrzeba było tajemniczych zajęć, intrygi, dramatu, a nie mając ich dość we własnem życiu, stwarzała je, by się rozerwać i długie już godziny pożycia małżeńskiego wypełnić. Ona zajmowała się wszystkiem, obmyśliła, przewidziała i na dany dzień najętemi końmi ruszyłem do miasteczka pozornie, a w istocie tylko na plebanję do Z...

Wieczorem nadjechała Ludwika śmielsza odemnie, spokojna i oboje nas wprowadzono wraz ze świadkami umówionymi, (z których jednym był mąż kuzynki), do małej ogrodowej kapliczki. — Ksiądz staruszek choć przekonany zawczasu, robił jeszcze cokolwiek trudności przed ślubem, ale wreszcie bardzo pospiesznie i nie bez obawy, drżący, połączył, nas i pobłogosławił, poczem podpisał ze świadkami akt którego dwie kopje mnie i żonie mojej oddane zostały.

Julja była tryumfująca, ja szczęśliwy ale smutny, Ludwika spokojna jak zawsze, i gdyśmy wyszli z kaplicy a ja do nóg się jej rzuciłem, podniosła mnie z ziemi i rzekła głosem odwagi pełnym.

— Teraz, śmierć chyba nas rozłączy!!

Nie było czasu bawić i choć gospodarze chcieli bym dłużej pozostał, obawiając się podejrzeń, ruszyłem zaraz do miasteczka, a ztamtąd nocą powróciłem do domu. Ludwika przyjechała dopiero nazajutrz, i nic w pozornych stosunkach naszych nie zmieniło się, a ja po niejakim czasie odetchnąłem ze strachu.

Tymczasem pan Bolesław przyjechał raz, drugi i trzeci, przesiadywał po dni kilka, a Prezes coraz był

natarczywszy, a Ludwika wciąż mu odpowiadała że nie chce wychodzić za mąż. Franuś, który już wyszedł na chłopaka ale nie zmienił uczuć swych dla siostry i chęci pozbycia się jej z domu, pierwszy nas podsłuchawszy i podpatrzywszy gdyśmy się schadzali na długie rozmowy w ciemnej ulicy kasztanowej, powiedział przed ojcem.

— Wszystkiemu temu winien Poroniecki.

— Poroniecki? — zapytał Prezes.

— A tak — dodał Franuś — bo on się kocha w Ludwisi, a Ludwisia w nim, już nawet żoną i mężem się nazywają!

Prezes rzucił się na niego gwałtownie chcąc zapobiedz, by takich potwarzy nie powtarzał, ale chłopiec obstał przy swojem i wręcz powiedział ojcu, że mu ułatwi podsłuchanie naszej rozmowy, aby się na własne uszy przekonał, że go nie oszukuje.

Nie wiem jak tam się to stało, ale w pamięci mojej do dziś dnia ostatnia scena tego dramatu, którym omal życiem nie przypłacił. Bytność pana Bolesława wymagała narady z naszej strony, przywykliśmy byli oprócz tego schodzić się na krótką chwilę w ogrodzie albo w przedpokoiku Ludwiki po odejściu jej służącej, zgaszenie światła w jednem oknie a postawienie go w drugiem, było dla mnie znakiem, miałem klucz od drzwi dobrany do nich wśród starego żelaztwa... Było około północy, gdym się wkradł do pokoiku Ludwiki i ledwie miałem czas ucałować jej ręce, gdy szelest dał się słyszeć za drzwiami i tuż za mną wpadł Prezes tak zmieniony i straszny, żem go nie poznał.

Stanął, ale mu słowa na ustach zamarły, córka rzuciła mu się do nóg i wskazując na mnie zawołała:

— Mój mąż!

— Mąż? kto? ten żebrak! ten włóczęga, ten łajdak mężem mojej córki! kochanek, chcesz mówić bezwstydna — krzyknął — ale nie mąż!

— Panie Prezesie — rzekłem z kolei — możesz mnie zabić, ale nie masz prawa hańbić mojej żony.... ksiądz nas połączył!

— Ksiądz! ślub! co to jest! — ryczał starzec — gdzie, jak! moja córka bez wiedzy mojej poślubiona! Cóż to za ślub! jam przecie nie pozwolił i nie błogosławił... Rózeg na tego łotra.. na tę łotrzycę i precz z mojego domu...

Nie pamiętam zresztą jego słów, które były dzikim krzykiem; ale po chwili opamiętał się i przelękły aby go nie posłyszano, wyrzucił mnie za drzwi cisnąc za gardło.

— Słyszysz — rzekł stłumionym głosem — jeżeli noga twoja postanie na dziesięć mil w koło, jak psu ci w łeb strzelę... świadkiem mi Bóg, że to uczynię... jeśli piśniesz słowo struć cię każę lub ubić... jeśli twe imię posłyszę, zemstą cię gnać będę nieubłaganą... Idź i przepadnij...

Ludwika chciała udać się za mną, ale ojciec rzucił ją o ziemię i omdlała...

Nie mogąc jej tak porzucić, przyparłem się do drzwi i nieśmiejąc walczyć z ojcem żony, usiłowałem bezwładny stawić mu opór. Ale po chwili ocuciła się Ludwika, i sądząc że mi grozi niebezpieczeństwo, rozkazała ustąpić.

— Idź — rzekła — odwagi i męztwa, na tym lub innym świecie znajdziemy się, ja wiary nie złamię, idź i ratuj życie.

Prezes ściągnął mnie na dół zamknąwszy córkę, która iść chciała razem ze mną i dzielić los jaki mnie czekał, a u dołu wschodów powtórzył jeszcze:

— Nie zachodź nigdzie jeśli chcesz życia, płaszcz i czapkę rzuć nad stawem, zgiń ty i nazwisko twoje... lub się innym pozbędę cię sposobem...

Wszystko to odbyło się jak piorun pada w jedno mgnienie oka, tak, że gdym się znalazł w podwórzu i ciemności, długo do siebie przyjść nie mogłem, nie byłem w stanie utrzymać się na nogach, ni obmyśleć ratunku.

XIII.

Tak dla mnie skończyły się kilka lat jedynego szczęścia jakiego w życiu doznałem; kradzionego, podchwyconego losu i rozwianego jak sen który przerywa burza. U stopni tego domu który lat tyle był moim, stałem odarty, wypędzony, nie mając środka zaradzenia sobie, nie wiedząc co pocznę... Groźba starca tkwiła mi w uszach, a nie wątpiłem, że ją dotrzymać potrafi, nie wolno mi było nawet zajść do mojej izdebki, pożegnać ją, zabrać z sobą pamiątki moje i skarby...

Jak stałem pobiegłem po nad staw znajomemi drogami kierując się do wsi w której mieszkała Julja, i przybyłem znużony i nieprzytomny nadedniem. Noc ta będzie mi do śmierci pamiętną, bo trwała dla mnie wieki i zdawała się nieskończoną... o brzasku dopadłem do dworu w którym wszyscy jeszcze spali, zwróciłem się więc do plebanji staruszka, sądząc że go przebudzonym zastanę i rady zasięgnę... Świeciło się też w okienku, drzwi były otwarte... wsunąłem się po cichu, ale odrętwiały stanąłem w progu. Wśród izdebki pustej i ciemnej ubogi tapczanik pokryty kilimkiem stał na ziemi, wkoło paliły się kilka świec w cynowych lichtarzach, — na nim spoczywał staruszek ów co nam ślub dawał z krzyżykiem w ręku w czarnej wyszarzanej sutannie. Pilnujący ciała braciszek spał ze spuszczoną na stół głową... nikogo więcej nie było. .

Poklękłem powoli w progu widząc w tem zdarzeniu jakby znak losu który mi nie chciał przebaczyć i groźbą spotykał śmiertelną na pierwszym kroku; łzy mi się puściły z oczów, rozpłakałem się jak dziecko. Łkanie moje przebudziło znać śpiącego który się nieco wystraszył, ale przekonawszy się kto jestem, powrócił do przerwanych pacierzy. Gdy rozedniało dobrze, powoli poszedłem do dworu chcąc się widzieć z panną Julją. — Dopuszczono mnie nie łatwo, ale z twarzy

jej poznałem, że mi nie pomoże wiele tak była pomieszana i wylękła.

— Co pan tu robisz? — spytała, — ojciec się dowiedział, — wołała załamawszy ręce, mów jak to było? a Luzia?

Opowiedziałem jej wszystko, wzywając ratunku do którego niejako dawniejsze postępowanie ją zobowiązywało.

— Ale ja nic panu poradzić... nic zrobić nie mogę... odpowiedziała mi zmięszana — ściągnęłabym i na nas gniew Prezesa który nie przebacza nigdy... uciekaj pan jak najdalej i staraj się ukryć, a jeżeli się co tu zmieni damy mu znać...

Nieśmiałem jej powiedzić, że uciekać nawet nie miałem o czem i jak, a ona wcale się o to nie zdawała troszczyć i myślała tylko aby się mnie pozbyć jak najprędzej... wypchnięty więc prawie z tego domu bez grosza, w rozpaczy znalazłem się drugi raz w życiu na rozdrożu, rzucony losowi na pożarcie; nie mając w świecie prócz biednej Ludwiki, która równie cierpiała, nikogo coby się mną zaopiekował, coby mnie sercem wsparł lub dłonią.

Młody chłopcze któremu przy każdym odjeździe z rodzicielskiego domu na błogosławieństwach, groszu i łzach poczciwych nie zbywa, a co może nieraz przecie skarżysz się na srogość losu, gdy nie masz za co kupić rękawiczek — powiedz mi, jakbyś sobie dał radę?

Nie wiem jakim cudem pugilares w którym zawsze przy sobie nosiłem metrykę ślubną bojąc się wytrychów i ciekawości Franusia, razem z papierami familijnemi został przy mnie; znalazłem także zegarek mój i kilka złotówek w kamizelce...

Tak uposażony z rozpaczą w duszy myśląc co się dzieje z nieszczęśliwą Ludwiką, puściłem się na oślep do tego miasteczka do którego już raz uciekałem dziecięciem, zapomniawszy, że tyle lat oddalenia zmieniły w nim moje stosunki i pozbawiły przyjaciół. A żem się lękał i pogoni i zasadzki, bo Julja zapewniała mnie,

że Prezes na wszystko gotów gdy o honor domu jego iść będzie, musiałem skrywając się manowcami, mrokiem przedzierać piechotą... Nawet w miasteczku w którem on bywał często, nie czułem się bezpiecznym, ale nimbym wyruszył dalej, potrzeba mi było zasięgnąć czyjejś rady, bo nie miałem najmniejszego pojęcia tego co mi wypadło począć z sobą...

Późnym wieczorem jak złodziej wkradłem się znaną mi ulicą do miejsca tak dla mnie pamiętnego, tak mi dziś jeszcze przytomnego, że mógłbym w niem każdy kamień powitać. Budowy, ściany, dachy, wszystko to dziwnie nietknięte i niezmienione zostało jakem porzucił, ale zdawało się jakby zupełnie nowy lud zamieszkiwał domy stare... ani jednej twarzy znajomej... ludzie jacyś inni... życie nowym urządzone trybem. .. Mieścina znacznie się uporządkowała i rozrosła w głębi, i jedna może ulica owa pozostała jaką była od początku... błądziłem długo nim się dobiłem do dworku Kulikowej... Dopytując o Słonkiewicza i o nią, zetknąłem się z jakimś grubym jegomością który mnie nie chciał zrozumieć i wmawiał mi, że tu nigdy żadnej Kulikowej nie było i nie pamiętają, że pana Słonkiewicza imię jest przekręcone, że uczniowie nie stoją nigdzie w mieście ale w jakimś gmachu osobnym i tp.

Szczęściem wychodząc z podwórza na którem mnie o mało psy nie zjadły, spotkałem się z żydkiem roznoszącym dawniej jabłka i pierniki którego poznałem choć bardzo był postarzał, nosił on teraz katarynkę na zgarbionych plecach i długo musiał sobie przypominać nim mnie poznał. Spytałem go o Słonkiewicza, ale o nim nie potrafił nauczyć, o Kulikowej wiedział, że mieszkała w komornem na Katedralnej ulicy żyjąc z jałmużny tak była podupadła przestawszy utrzymywać studentów. Prosiłem go żeby mnie do niej zaprowadził, i dobiłem się wreszcie do staruszki, którą znalazłem w wilgotnej ciupce odgrodzonej tarcicami od większej izby gospodarzy, w łóżku, chorą, zestarzałą straszliwie i zbiedzoną. — Zaledwie poznać mnie mogła, a gdym się jej przypomniał, poczęła płakać rze-

wnie. — A! dobre to jeszcze były czasy moje dziecko, — zawołała, — kiedy Słonkiewicz był u mnie, jeszczem to ja była gospodynią i moje chłopaki byli przy mnie... a dziś... ze mnie żebraczka!

— A dzieci? — spytałem.

— Cóż dzieci, jeden służy na wsi, drugi podział się kędyś, że go dopytać nie mogę, jak pojechał nad granicę tak jak w wodę wpadł. Zostawili mnie starą na barłogu i gdyby nie litość ludzka z głodubym umarła dawno.

— Słonkiewicz?

— Już ja i nie wiem co się z nim stało, gdzieś go wzięli na wieś na nauczyciela... jeszcze rok temu przysłał mi trzydzieści złotych wiedząc o mojej biedzie... a teraz ani słychu...

— A Pocewiczowa?

— W szpitalu moje dziecko, dawno paraliżem tknięta... może umarła — nie wiem.

Nie śmiałem pytać o nikogo więcej i załamałem ręce.

— Gdybyś miał jaki grosz zbywający, — dodała Kulikowa... nie zgrzeszyłbyś dając mi go, bo często o suchym chlebie i odegrzanym krupniku po tygodniu żyję, a stara jestem...

Nie mając jej zostawić co innego, oddałam zegarek który miałem i wyrwałem się ztamtąd nie wiedząc dokąd pójdę i co z sobą zrobię.

Wybiegłszy ulicą, poszedłem gdzie oczy poniesą... wieczór był i w miasteczku zapalano latarnie, a ruch jakiś powozów oznajmywał zabawę. Znając życie spokojne tutejszych mieszkańców łatwo mi się było domyślić niezwykłego jakiegoś wypadku, widowiska, uroczystości, gdyż ludność cała i mnóstwo zaprzęgów były w ruchu na rynku. Piesi i jezdni kierowali się wszyscy jedną ulicą, którą i ja pociągniony tłumem poszedłem; i nie wiem jak znalazłem się u wnijścia maleńkiego teatru oświeconego kilką lampami przed którym wysiadali widzowie liczni i cisnęła się publika na miasteczko te nadzwyczajna.

Rzuciłem machinalnie oczyma na afisz wielki i przystrojony w rysunki, na którym stało jak dziś pomnę ogłoszenie następujące:

Towarzystwo małp uczonych
będzie miało zaszczyt
dać przedstawienie dramatyczne:

1. Arlekin i Colombina, odegra JMP Jack i Molla.

2. Wzięcie twierdzy Gibraltaru, przy którem małpy strzelać i walczyć będą, zakończy fajerwerk i ognie bengalskie....

Nie doczytawszy afisza zgłupiały mojem nieszczęściem, powtarzałem wciąż początkowe jego wiersze jakbym się ich na pamięć uczył i stałem potrącany przez przechodzących, gdy w tem ktoś mnie uderzył mocno po ramieniu.

Odwróciłem się zdziwiony, ale przed sobą ujrzałem twarz cale mi nie znaną z wielkiemi wąsami, draba cienkiego a wyrosłego jak tyka, który uśmiechał się tylko figlarnie poglądając mi w oczy.

— Poznaj kiedyś mądry! — zawołał wesoło.

Ale i po głosie niepodobna mi było przypomnieć go sobie.

— No! koleżko? wszakże jesteś Poroniecki? prawda? ale ty się wcale nie odmieniłeś, a ja podobno znacznie, bo mnie starzy znajomi wszyscy nie poznają.

— I ja także — rzekłem smutnie.

— A siedzieliśmy na jednej ławie w szóstej..... widzisz..... byłeś u Kulikowej potem u Pocewiczowej, prawda? widzisz? no! zgaduj!

Mnie w myśli ni w pamięci nie było odgadnąć, ktoby to był taki ten drab, który zresztą tak staro wyglądał jakby od piętnastu lat szkoły skończył. Nie miał też wcale pociągającej powierzchowności i los widać po wyjściu ze szkół nie nadto był dlań przyjaznym, z odzieży acz starannie opiętej i obciągnionej, znać było jej zużycie, kołnierzyka koło szyi brakło

rękawiczki całe były popruto, buty wykoszlawione, a kapelusz pogięty i miejscami do żywego jak koń pozacierany.

Rozmowa nasza zaczynała niepotrzebnie uwagę otaczających zwracać, obawiałem się żeby znowu mojego nazwiska nie wspomniał, i odsunąłem się nieco odedrzwi, ale kolega poszedł za mną powtarzając:

— No musisz sobie taki przypomnieć!

— Zdaje mi się że jeśli mi sam nie pomożesz....

— Przecież stałem u Horczyka, pamiętasz na rogu małej Wilskiej.... no! Samuel...

Ale i po imieniu nie mogłem go sobie jeszcze przypomnieć, dopiero gdy mi przezwisko swe szkolne powiedział, przyszedł mi na pamięć z całą swą historją przeszłą, dosyć zresztą nie ciekawą. Dobry to był chłopiec, zdatny, ale zawołany hulaka i niedający się ani karą, ani wstydem pohamować gdy chodziło o dogodzenie sobie; grosz cudzy i swój marnował, odzienie zastawiał, książki sprzedawał i już w szóstej klasie nie myślał o niczem tylko o kieliszku i ładnych twarzyczkach. Syn ubogich rodziców, udawał zawsze bogatego, komponował sobie stosunki i pochodzenie, familią, wielkie w przyszłości nadzieje i w tego rodzaju kłamstwach, niczem niezbity z drogi choćby go wyśmiano i przekonano że fałsz prawił, nazajutrz z nowej beczki rozpoczynał w najlepsze.

— Cóż tu robisz, — spytałem, — panie Samuelu?

— Ja.... jak widzicie.... mieszkam w mieście dla przepędzenia czasu, — rzekł, — nie mam co robić..... Lubiłem zawsze teatr, nieszczęsna jeszcze pasja do jednej z tutejszych aktorek.... ot co mnie tu trzyma...... Siedzę, bawię się, wiodę życie wesołe.... i przez amatorstwo.... czy uwierzysz? czasem grywam w teatrze. Rodzice moi, dodał po chwili, chcieliby mnie ztąd wyciągnąć, dają mi folwark w Kowelskiem, ale co jabym robił w tej dziurze? nudy śmiertelne! wolałem zostać w mieście. Trochę mnie za to prześladują, że się do ich woli nie stosuję, ale ja to heroicznie znosić umiem.

Wiedziałem zdawna jak mało można było dać wiary słowom Samuela, i mimo nieszczęścia mojego, trudno mi się było nie uśmiechnąć słysząc te słowa wyrzeczone z dobrą miną, przeciw którym świadczyły buty dziurawe i cała postawa.

— No! a ty? — zapytał — a ty?

— A ja! jestem na bruku bez dachu i kawałka chleba! — rzekłem otwarcie.

— Jakim sposobem?

— Pozwól mi to zamilczeć, dość że jak mnie widzisz, nie mam gdzie przenocować i nie wiem co jutro jeść będę!

Samuel miał zawsze dobre serce, choć w postępowaniu najmniejszego nie okazywał rozsądku, poruszyło go to wyznanie niezmiernie.

— Nie pozwalasz, więc nie rozpytuję nawet, — rzekł prędko, — ale przecie koledzy jesteśmy, pozwólże sobie być pomocą... my ci tu coś znajdziemy, a naprzód... zaprosiłbym cię do siebie.

Tu się zawahał nieco.

— Ale, — rzekł ciszej, — pocieszna historja, moje zwykłe mieszkanie na Kijowskiej ulicy na pierwszem piętrze restauruje się, kazałem porobić niektóre zmiany, stoję w tej chwili niezmiernie licho, a raczej nie mam mieszkania, bo sam ulokowałem się u Prezesa, przyjaciela rodziców moich, ale słudzy moi których teraz niema w mieście, mają liche pomieszkanie i te gdybym ci niem mógł służyć, nim co obmyślemy....

To mówiąc biedny kłamca ujął mnie za ręce i uśmiechał się przynaglając abym się nim posłużył. Prawdę rzekłszy, nie miałem nic do wyboru.

— Aleś ty stał przed teatrem, przerwałem ci widowisko — rzekłem.

— My dziś nie gramy, to jest, oni dziś nie grają — poprawił się, — jestem wolny, małpy tam pokazują, ustąpiliśmy im na ten wieczór teatru, a ja widziałem to kilka razy. Proszę cię, chodźmy.

I wziąwszy mnie pod rękę, puścił się ze mną na małą uliczkę dobrze mi znaną, nie przestając po drodze zabawiać rozmową.

— Osobliwsza rzecz, że ty tak regularny i nieposzlakowany, jesteś w takiem położeniu? co cię do tego doprowadziło? Co się tyczy mnie, powiem ci że jestem najszczęśliwszy, niema w świecic życia nad życie artysty dramatycznego....

— Jesteś więc aktorem?

— Nie, to jest grywam, przez amatorstwo. Wiadomo ci że mam familję możną i wielkie stosunki, nigdyby na to nie pozwolili, kryję się, ale niekiedy występuję na scenę, w małych rolach choć na afiszach gwiazdkami mnie tylko oznaczają.... Życie najrozkoszniejsze w świecie, — dodał, — kobiety wesołe, swobodne, miłe, mężczyzni przyjacielscy i dobrego humoru; — ciągle coś nowego, dramat nieustanny.

Gdy tak prawił, doszliśmy do lichego dworku na owej małej uliczce w którym i za dawnych moich czasów zawsze się mieściły wszelkie do miasteczka przybywające towarzystwa wędrujące, skoczki, akrobaci, małpy, przejeżdżający śpiewacy naśladujący słowika, młodzi koncertanci i w ogóle ci wszyscy którzy bez grosza jeżdżą i często furmanom nie mają czem zapłacić. Była to gospoda wszelkiego rodzaju biedaków utrzymywana przez znaną w miasteczku figurę oryginalną bardzo lichwiarza, który z tych nieszczęsnych nędzarzy ciągnął nielitościwe zyski. On za nich opłacał furmanów, koszta występu, ubiory, najęcie sali, a potem z procentami po swojemu obrachowanemi, wyzyskiwał najczęściej w ten sposób, że gołym przyjechawszy odarty artysta od niego wyjeżdżał bez grosza. Trzy domy tego osobliwszego spekulanta, który potrafił z nędzy najostatniejszej zysk sobie wyciskać, stały w błotnistej uliczce, i tak były urządzone, że w nich zawsze znajdowało się pomieszczenie dla przybywających.

Całe ówczesne towarzystwo dramatyczne mieściło się w nich spakowane w kilku ciemnych izdebkach od

dziedzińca, małpy stały od ulicy jako zamożniejsi lokatorowie.

Dziedziniec pełen był bryk owych długich w których się przewożą menażerje i artyści, wozów z których pozdejmowano paki różnych nierozgatunkowanych rupieci i śmiecia. Towarzysz mój przeprowadził mnie po kładkach i cegłach w głąb podwórza, potem wszedł na wschodki zewnątrz domu przyczepione, na drugie piętro, i otworzywszy drzwi które wprost z podwórza wiodły do owego mieszkania niby przez jego sługi zajmowanego, wszedł wraz ze mną do ciemnego schronienia gdzie musiałem chwilę stać w miejscu nie ruszając się póki nie rozpalił światła.

Gdy mały świeczki ogarek rozjaśnił wreszcie izdebkę, pokazało się żeśmy się znajdowali w bardzo nędznym alkierzyku pod strychem, ozdobionym dwoma połamanemi krzesełkami i stoliczkiem, łóżkiem w największym nieładzie zostającem, i rozmaitemi sprzętami dla mnie nieznajomego przeznaczenia. Na ścianach wisiała odzież z lekkiego ale jaskrawego materjału szyta, najdziwniejszego kroju.... wszędzie widać było nieład i ubóstwo.

— Jestto jakem ci mówił, — rzekł Samuel, — izba moich ludzi ale się to porozłaziło.... widzę że nieporządek wielki. No! siadaj! Ot, będziesz miał jakiekolwiek przytulisko tymczasowo.... radbym cię czem przyjął, ale tu nic nie mam, o wieczerzy jednak pomyślemy.

Tak byłem znużony żem padł bezwładny na pierwsze krzesło i słabo mi się zrobiło. Postrzegł to mój towarzysz.

— Bieda! ty bo nie bardzo zdrów jesteś, — dodał, — może doktora..... my tu wszystko mamy pod ręką w tym domu.

Nie byłem w stanie mu odpowiedzieć, taka ogarnęła mnie bezsilność, a wylękły Samuel że sobie biedę napytał, pobiegł zaraz po lekarza który w tym samym dziedzińcu mieszkał na kredycie u gospodarza.

Otrzeźwiono mnie solami i znać domyślono się żem oddawna nic w ustach nie miał, bo mi przyniesiono

ciepły bulion który nieco pokrzepił. Ujrzałem naówczas lepiej krzątających się koło mnie, doktora już szpakowatego krągłego niemczyka z okularami na nosie, w podartym szlafroku który mi w oczy zaglądał pilno, i drugą jeszcze figurę z fajką w zębach dosyć oryginalną.

Jegomość ten miał na sobie węgierkę ze złotem szamerowaniem wytartą i oszarpaną, spodnie płócienne przytem, na nogach pantofle, szeroko wywinięte rękawy koszuli dobrze wysłużonej i beret aksamitny na głowie obfitym włosem pokrytej. — Fizjognomia jego była wyrazista, ruchawa i dziwnie skłonna do przybierania najmniej zwyczajnych ekspressji, postać ekscentrycznie napuszona i pocieszna. Łatwo mi było domyśleć się w nim jednego z aktorów przyjaciela pana Samuela.

— Widzę światło u ciebie, — mówił przybyły, — przeczuwam żeś w domu..... nie na małpach, wchodzę i zastaję scenę z tragedji..... piękny nieznajomy osłabły ze znużenia, nie przypuszczam głodu — lekarz troskliwie krzątający się koło niego..... ty nareszcie.... Raczcie mi wytłumaczyć co to jest?

— Najprostsza rzecz w świecie, — odparł Samuel widocznie chcący się pozbyć przybysza dla którego jednak miał rodzaj uszanowania, jest to mój szkolny towarzysz, którego nieszczęśliwe okoliczności wymagające tajemnicy pod gościnny ten dach zawiodły. Spotkałem go pod teatrem..... a że nie miał co z sobą począć, tu go przyprowadziłem.

— A jeśli to jaki podejrzany człowiek? — spytał cicho mężczyzna w huzarskim ubiorze.

— Ale ja go znam i ręczę...

— Jak skoro znasz i ręczysz... dobrze... jednak powiedz co za jeden?

— Nieszczęśliwy! to dosyć! — odparł tragicznie Samuel.

— Nawet zawiele, — rzekł trzęsąc głową mężczyzna w węgierce — a więcej co?

— Ja sam nie wiem!

— Tak jak ja! — dodał zawsze z najlepszym humorem, a serjo przybyły, — a zatem radźmy oba co z nim począć. Doktor poznał, że mu potrzeba jedzenia, rzecz skończona, sprowadziłeś buljonu, bardzo dobrze, terazby może obmyślić gruntowniejsze jakieś lekarstwo... gdyby bifsztyk lub zrazy? jabym nie był od tego także? butelkę piwa! co? jak ci się zda, są to medykamenta uniwersalne, których skutki nieraz mi się widzieć zdarzyło najszczęśliwsze...

Niemiec, który się przysłuchiwał i znać zrozumiał, roześmiał się postępując do nich, ja tak byłem jeszcze zbity i nieprzytomny, żem słysząc całą rozmowę, siedział nie mając ani ochoty ani możności wmieszania się do niej.

W tem otworzyły się drzwi i od progu dał się słyszeć głosik kobiecy wesoły i jasny.

— Pewnie już mój mąż tutaj, a ja go szukam wszędzie.

To mówiąc wchodząca, postrzegła znać mnie obcego i ugrupowanych około siedzącego, zamilkła i stanęła. Była to młoda jeszcze kobiecina, chuda, blada, delikatna, pięknych rysów, ale dziwnie zmęczonych i noszących ślady ciężkich przejść życia, na twarzyczce jej dwoje tylko oczów czarnych świeciły nadzwyczajnym blaskiem. Strój jej tak był prawie zaniedbany jak męża, bo na sobie nie miała nic prócz koszuli i narzuconego lekkiego przyodziewku, nogi bose w pantofelkach, a włosy związane zaledwie i roztargane z boków zsuwały się na ramiona. Mąż dał jej znak. by milczała, a na widok nieznajomego, poprawiła instynktowo ubranie i spytała ciekawie:

— Co to jest?

— Jakiś bohater nieszczęśliwy! — szepnął mąż.

Nie mogąc się dopytać kobieta, przeszła poza węgierkę i szarpnęła pana Samuela, który jej coś pocichu włożył do ucha.

— A zatem posyła się po zrazy, kaszę i butelkę piwa, — rzekł przybyły.

— Zapomniałem pieniędzy! — rzekł cicho Samuel.

— Gdzie? — spytał drugi...

— Nie mam przy sobie...

— Ja także, ale to nic nie znaczy, kredyt mamy jeszcze do pewnego czasu... a zatem idę i Pawełka pcham.

Kobieta stała i wciąż wlepiając oczy we mnie, ciekawie badać się zdawała, położenie moje co chwila było przykrzejsze, w innym razie nie mógłbym go wytrzymać i uciekł, ale tak byłem zdrętwiały i bezsilny, że mnie to już nie obchodziło.

Po odejściu węgierki, doktór ruszył także lekko się nam skłoniwszy widząc, że na honorarja próżnoby czekał, a ja zostałem sam na sam z Samuelem i ciekawą kobieciną, która powoli zbliżała się do mnie ostrożnie.

— Co to panu jest? — poczęła nachylając się ku mnie poufale, — słaby jesteś?

Alem podniosłszy na nią oczy nie mógł odpowiedzieć.

— Odpowiedz-że mi pan jak to było? — obróciła się do Samuela i poczęli z sobą szeptać, naradzać się, aż nareszcie kobiecina zmierzywszy mnie jeszcze wzrokiem po cichu się wyśliznęła.

Widziałem po twarzy towarzysza, że mocno był mną skłopotany teraz gdym mu tak zesłabł i zaniemiał, a będąc sam na sam z nim, przemógłem się, żeby przemówić do niego.

— Ja wam zawadzam, — rzekłem, — jeśli chcecie odejdę.

— Dokąd? co? na to nie pozwolę! — zawołał powracając do swej fanfaronady dawny towarzysz, — jakkolwiek w tej chwili z powodu mojej familji, która mnie chce zmusić głodem prawie do objęcia dóbr i zajęcia się gospodarstwem w Kowelskiem, znajdujesz mnie w przykrem położeniu, zawsze mogę ci być użytecznym i nie chcę tak opuścić. Zresztą ci artyści, których lubię i proteguję to naród poczciwy, my ci tu coś obmyślimy, nie troskaj się proszę, ja cię biorę w moją opiekę.

Za powracającym mężczyzną w węgierce, który najdziwaczniej się krygował i przybierał postawę drama-

tyczną, wsunęła się teraz druga figurka niemniej oryginalna, nie młody już mężczyzna w okularach mosiężnych, łysy, zgarbiony, w szaraczkowym długim surducie, butach po kolana, z czerwoną chustką w ręku ciągnącą się za nim i każącą domyślać tabakierki. Ten przybiegł wprost do mnie, wziął świecę, podstawił mi ją pod nos i popatrzywszy chwilę, pokiwał głową.

— Co to jemu takiego?

— Tajemnica! — rzekł ów w węgierce.

Poczęli szeptać z sobą pocichu, ostatni przybyły widocznie miał tu jakąś władzę, gdyż rozkazywał i zdawali się go słuchać oba. — Nie wiem co tam postanowiono, ale mężczyzna w węgierce wyszedł i powrócił po chwili z butelką zieloną i kieliszkiem w ręku.

— Kropelkę, — rzekł do mnie nalewając, to nic nie zawadzi, zwilży usta, rozjaśni płuca, obudzi umysł, rozwiąże język, pokrzepi, spróbujcie.

Sam nie wiedząc co czynię, wypiłem pół kieliszka przyniesionej wódki i istotnie rozjaśniło mi się w oczach. Towarzysze moi użyli tego samego lekarstwa wszyscy, poczynając od starego aż do Samuela, który pił na ostatku.

Łysy usiadł zaraz na krzesełku naprzeciw mnie i wpatrując mi się w oczy począł mówić.

XIV.

Ponieważ mnie nikt nie przedstawia, prezentuję się panu sam, antreprener teatrów wołyńskich i podolskich, dyrektor towarzystwa artystów dramatycznych Jacek Mulka-Mulkiewicz Palengowski, weteran sceny narodowej i uczeń nieśmiertelnego Bogusławskiego, z którym miałem zaszczyt grać na jednych deskach....

— A ponieważ skromność naszego dyrektora, antreprenera, reżysera i dobrodzieja, zapewne mu nie do-

zwoli, — przerwał mężczyzna w węgierce, — przedstawić się w całem świetle i okazałości, niech mi wolno będzie dodać i to jeszcze, że jest razem autorem licznych powinszowań i strof do publiczności, i t. d. i t. d., bo liczba funkcji jego jest nieskończona, a prace olbrzymie! Jak go widzicie, zacny nasz pan Jacek mógłby już spocząć na laurach gdyby miał co jeść, ale wstrzymać się od jedzenia bardzo trudno, a darmo nigdzie dotąd niema zwyczaju karmić zeschłych artystów dramatycznych, rad nie rad zbiera laury, długi, kłopoty i pracuje na chleb powszedni tysiącznemi talenty jakiemi go łaskawe obdarzyło niebo.

— Tak jest, nieszczęśliwy i od losu prześladowany młodzieńcze, obracając się do mnie dodał dyrektor, — pracuj do zdechu dla niewdzięcznych współbraci w Momusie i Talij i dla oziębłej publiki.... Ale w zamian nie zechcecież nam zwierzyć się losów swoich? zkąd przybywasz? cóż się stało... Ej sluchaj! — mów otwarcie, goli jesteśmy, ale nie takie szatany za jakich nas po świecie mają... bieda biedę zrozumie.

— W dwóch słowach całe moje położenie, — rzekłem otwarcie nareszcie, — nie mam kąta ani przytułku, nikogo w świecie, ani grosza w kieszeni. Nieszczęśliwe wypadki o których zamilczeć muszę, wygnały mnie z domu gdzie dotąd miałem schronienie, będę pracował choćby z rydlem i siekierą.

— Doskonałe kwalifikacje ma na artystę: goły, sam jeden i desperat.... a czytać i pisać?

— Ale to uczony człowiek całą gębą! — przerwał Samuel urażony tem że jego przyjaciela posądzano o niepiśmienność.

— Jak z nieba spadł! — zawołał dyrektor, ale dajmy mu spocząć!

— Przedewszystkiem dajmy mu jeść! — rzekł w węgierce mężczyzna, posłaliśmy po zrazy i butelkę piwa, połączywszy kredyt mój i Samuelka.

— Nie od rzeczy! potwierdził stary, — i ja trochę głodny jestem....

Na wschodkach też dał się słyszeć chód Pawełka

który wszedł z talerzami i miską otłuczoną niosąc strawę z blizkiej garkuchni, a butelka piwa papierem zatknięta wyglądała mu z kieszeni.

Pomnę ten cały wieczór, tak mi się dziwne jego postacie i świat dla mnie nowy silnie w pamięci wraził — posiliłem się kawałkiem chleba i milczący siedziałem przy ich wesołej wieczerzy, którą i pan Samuel niby żartem i dla towarzystwa tylko jako niepyszny podzielał.

Gdy się później rozeszli a my zostali we dwóch tylko, Samuel przypomniawszy sobie że przedemną utrzymywał iż stoi u prezesa, a to jest tylko tymczasowe mieszkanie jego ludzi, zapowiedział mi że dla mego towarzystwa zanocuje ze mną. Nie chciałem przyjąć łóżka które mi ofiarował i położyłem się w kącie na przyniesionej słomie, a gdy nazajutrz zbudziłem się, było już dobrze po południu, a w izbie nikogo.

Zostawiony sam sobie miałem czas zastanowić się nad położeniem mojem, ale środków wybrnęcia z niego nie mogłem znaleźć w zbolałej głowie, pragnąc tylko śmierci i końca utrapionego życia....

Nad wieczór przyszedł stary pan Jacek sam, na ten raz w fartuchu zawalanym farbami gdyż przystawkę jakąś właśnie malował, zobaczyć co się ze mną dzieje, widząc mnie siedzącego w kącie na moim barłogu, zbliżył się do mnie z twarzą pełną poczciwej litości.

— Słuchajno Waćpan, — rzekł, — pogadajmy z sobą szczerze, coś to zrobił takiego? przyznaj się? nie zabiłeś przecie? nie ukradłeś?

Spojrzałem mu w oczy dziwnie, a widząc w nich oburzenie, pochwycił mnie za rękę i dodał:

— Jakaś kobieca sprawka.... rozumiem, gdzie djabeł nie może babę pośle.... stare dzieje! Ale to boli, boli i zaskorupieje! a żyć i jeść potrzeba.... co myślisz robić?

— Niewiem jeszcze.

— Cóżeś robił dotąd?

— Byłem nauczycielem prywatnym....

— Otóż to jest, łatwo się domyśleć, była panienka w domu. zwąchali się państwo, i bieda, tatko wypatrzył.... tak? nie?

Milczałem pomieszany.

— Coś pewnie w tym rodzaju, — dodał — nie dopytuję, ale co myślisz? co?

— Jeszczem nie przyszedł do siebie.

— Jeźliby w Waćpanu ochota się znalazła do naszego swobodnego życia? hę? możebyśmy z sobą się porozumieli... Między nami mówiąc, ja wykształciłem już ze stu znakomitych artystów nie licząc suflerów, maszynistów i dekoratorów których wyuczyłem także, i dziś mają chleb i sławę.... mam pasję zajmować się kształceniem młodzieży.... gdybyś chciał? Zawód trudny, talent rzadki, wymagania wielkie, ale przy głodnym żołądku i dobrych chęciach co niepodobnego? Ja sam wszystko winienem sobie, bo nieśmiertelny Bogusławski, który był moim przyjacielem, już mnie wziął gotowego i dojrzałego..... byle chęci! możesz zostać znakomitym artystą nawet! masz fizys przyzwoitą, czytać i pisać umiesz! możesz począć od lokajów i tłumu... zawsze to kawałek chleba, a jeśli ci się trzeba ukrywać, nigdzie lepiej jak u nas....

— Dobrze, dobrze, — rzekłem, — ale dajcie mi zebrać myśli, odetchnąć!

— Zbieraj! oddychaj! swoboda zupełna.... nic słuszniejszego, — dodał stary. — Ot patrz na Samuela, między nami mówiąc, urwipołeć, talentu żadnego, a że w towarzystwie niedostawało artysty, już na chleb zarabia i kto wie? może się na czarne charaktery wyrobi.... Waćpan miałbyś role drugich kochanków.....

Widząc że spuściłem głowę, stary dorzucił spiesznie:

— Ale nie nalegam, miej czas do namysłu, tymczasem ci jeść przyszlę.... a potem zobaczymy.

Jakoż Pawełek przyniósł mi znowu jadło jakieś, które zgłodniały pożarłem po zwierzęcemu nie wiedząc nawet czem było. Pod koniec mojego obiadu, ze śpiewką na ustach wpadł Samuel.

— Brawissimo! — krzyknął w progu, — posilasz

się, doskonale, z siłami powróci spokój duszy i desperacja opuści. Ale podziękuj Opatrzności, żeśmy się wczoraj spotkali i odrazu trafiłeś na port zbawienny, pod gościnny dach pana Jacka. Już jest mowa o tem żeby cię wziąć do towarzystwa naszego, o co się staram mojemi wpływy. Świeżo osierocili nas ucieczką swą dwaj zdatni artyści, uchodząc pieszo do Białej-Cerkwi, tak że trudno jest coś większego przedstawić a mamy wielkie zamiary.

To naleganie ze wszech stron przykrzyło mi się, ale Samuel nie postrzegając wyrazu twarzy z jakiem je przyjmowałem, mówił dalej:

— Ja ci powiadam, niema życia jak artysty.... swoboda, wesołość, kobiety śliczne i poczciwe.... trochę się z sobą kłócą, ale gdzież się one nie kłócą?.... aktorowie choć do rany, słowem raj powiadam ci ziemski..... Zbytku nie ma, czasem nieco dokuczy niedostatek ale to soli życiu dodaje.... przerywa jego monotonją. Ja naprzykład mógłbym śmiało mieć po uszy wszystkiego, gdybym się zgodził zamieszkać na wsi i objąć dobra w Kowelskiem, ale za nic nie porzucę tego zabawnego trybu życia. Ale, — dodał ciszej, — potrzebuję cię przestrzedz, że oni tu nie znają mojego położenia, familji i stosunków, udaję przed nimi biedaka, dla rodziców!! rozumiesz.... Nic nie wiedzą!

— I grywasz? spytałem.

— To jest, — rzekł — mało co, bo znowu zaprzęgać się do pracy co mi? kocham się w Antosi.... młodej córce p. Jacka z drugiego małżeństwa, dla zbliżenia się do niej dźwigam to, i podobam sobie w tem życiu.... ale gram tylko aby niby do trupy należeć!

Niemal cały wieczór gadał mi o sobie coraz inaczej Samuel, a nareszcie jął się uczyć jakiejś roli, i opuścił mnie samego dając czas do namysłu — wyszedłszy na próbę do pana Jacka....

XV.

Wcale nie do smaku mi był ten rodzaj życia, którego próbki miałem przed sobą i pragnąłbym był inny sobie wyszukać, ale to przeznaczenie co mnie już dało najdziwniejszych przejść skosztować, zmuszało teraz zaprządz się w jarzmo najprzykrzejsze. Nie powiem żebym jak inni pogardzał temi ludźmi w których i serce poczciwe i wiele znalazłem dobrych przymiotów, ale pomimo zalet, lekkość ich, nieopatrzność, nieustanne spory raziły mnie i odstręczały.

Były to jeszcze owe czasy o których wspomina Fredro:

Gdy na jednej scenie
Dziś klaskano Barbarze a jutro Syrenie.

Próbowałem wymknąwszy się na drugi i trzeci dzień znaleźć sobie gdzie cichą jaką pracę i schronienie, ale zmuszony się kryć, nie mając znajomych i opiekunów, wszędzie nieprzełamane znajdowałem trudności. Z głodu niemal musiałem przystać na wszystko i przyjąć ofiarowane mi miejsce przez pana Jacka.

Przez te dni poznałem bliżej ich wszystkich i zdumiałem się wesołości z jaką dźwigali brzemie nie lekkie nędzy, lekceważenia ludzi i trudnych z sobą samymi stosunków. Nic biedniejszego nad stan ich wymyślić niepodobna, sam dyrektor i antrepreneur, stary już dosyć, pracował za dziesięciu, oszczędzając grosza i zastępując wszystkich kogo mu brakło. Miał do utrzymania na głowie żonę, niegdyś znamienitą piękność, dziś otyłą i rozgrymaszoną kobietę, która z niczego rada nie była i nieustannie narzekała, dwie córki w liczbie których jednę ukochał kolega Samuel, dziewczęta miłe ale trzpiotowate bo młode, których musiał pilnować, syna z pierwszego małżeństwa ulubionego przezeń, a na nic nie przydatnego dla braku pamięci, a co najgorsza całe towarzystwo któremu nigdy dogodzić nie było podobna.

Przy każdem rozdaniu ról rozpoczynała się walka o ich wybór, na każdej próbie wywiązywały spory i kłótnie, a często w chwili występywania na scenę, ktoś otwarcie podnosił chorągiew buntu... Pan Jacek niczem nie zrażony z równą odwagą i zręcznością malował przystawki, toczył balaski, kleił kurtyny i walczył ze swymi artystami. Przywykły wszystkiego się spodziewać, zawsze był panem siebie, a że z wielką liczbą ludzi miał w życiu do czynienia, wiedział jak do kogo zagadać. Nie mieszał go brak rekwizytów w chwili wystąpienia ani rozdąsanie artysty, w zrozpaczonym razie sam zawsze gotów był moździerzem zastąpić złote naczynie, a kochanka własną naprędce zmetamorfozowaną postacią. — Grał jak Bóg dał, ale nie było roli którejby się w potrzebie nie podejmował, i w masce gotów był tańcować balet za piętnastoletnie dziewczę. Przyjęcie publiczności także go nie mieszało, oklaski, śmiech i sykanie, przyjmował ze stoicką obojętnością, ukłonem i niekiedy konceptem trafnym rozbrajał najnieprzychylniejsze dla siebie usposobienia.

Ile siły moralnej zużył ten niepospolity człowiek na swoje dyrektorstwo i coby on na innem w świecie stanowisku mógł dokazać — trudno sobie wyobrazić. Nie miał on chwili spoczynku i czem się trzymał, jest dla mnie tajemnicą największą: jadł mało, nie pił chyba z konieczności, spał ledwie parę godzin, nieustannie znosił skargi i narzekania, łajania i najdziksze ku sobie wymierzone zarzuty, pracował głową i ręką bez wytchnienia, a tak był rzeźwy i spokojny, jak gdyby najszczęśliwsze prowadził życie.

Żona jego eks-piękność, grywała dotąd kochanki, choć dawno roli tej porę przeżyła i powinna ją była zdać na córkę Antosię, ale mąż nie mógł jej tego wyperswadować. Córki obie wychowane za kulisami, nie były bez talentu, szczególniej ta w której się kochał Samuel, ale dla nich występowanie na scenie było nie zadaniem sztuki tylko środkiem przypodobania się, i drogą do romansowego jakiegoś zamążpójścia.

O tem tylko marzyły i mówiły jak na nie z krzeseł lub loży patrzał ten i ów, jak tamten klaskał i szeptał, a recytując role swoje, zapominały o ich znaczeniu szukając oczów zwróconych na siebie.

Obu nie uśmiechało się wcale zamążpójście za artystę, o świetniejszych marzyły losach, a wierzyły jeszcze nieboraczki, że miłość dokazuje cudów, i z desek teatralnych prowadzi na trony salonów!!

Nie będę tu Waćpanu opisywał całego składu naszego towarzystwa dosyć licznego, głównemi jego postaciami była rodzina pana Jacka, ów w węgierce z wąsami wesoły jegomość z żoną, zowiący się Halt, kilku jeszcze ludzi, a na ostatku kolega mój Samuel, którego położenie wcale było odmienne od tego co on o niem rozpowiadał. Przedemną uznał za potrzebne udawać syna zamożnej rodziny, plótł o mieszkaniach, o prezesie, o sługach, ale w istocie biedę klepał przyczepiwszy się do teatru, który z niego żadnego nie miał pożytku i dziury nim zatykał. Talentu nie miał żadnego na scenie, a choć w życiu nieustanną grał komedję, ta go wcale nie przygotowała do ról, które mu dawano. Zle się uczył ich na pamięć, dodawał swoje nietrafnie i obawiano mu się powierzyć cokolwiek, bo po kilkakroć był przyczyną niepowodzenia.

Duszą towarzystwa, którego miałem zostać członkiem, choć mi się nigdy nie śniło być artystą i najmniejszego w sobie ku temu nie czułem powołania — był jak widzicie stary Jacek... on i Samuel wychwalający swobodę żywota aktorów, nakłonili mnie do przyjęcia warunków i zapisania się w poczet towarzystwa nie mniej biednego jak owo Scarronowskie... Ale cóż miałem począć ze sobą? — ani się ukryć, ani zarabiać na chleb nie umiałem, z obojętnością więc zgodziłem się na co chcieli, i prosiłem o wyznaczenie mi roli. — Pierwszy to raz w życiu przyszło mi o zadaniu tego rodzaju pomyśleć, a przywykły do sumiennego spełniania obowiązku, naśmieszyłem ludzi kłopo-

cząc się wielce o pojęcie i oddanie charakteru, który mi wypadł z losu.

Jacek po mojem usposobieniu sądząc, przeznaczył mnie do tak zwanych czarnych charakterów... Pierwszy mój występ nie był bardzo szczęśliwy, starałem się być naturalnym i umiarkowanym, co sprawiło, że połowa publiki uznała mnie zimnym.

Pan Jacek niezrażony przyszedł do mnie tegoż wieczora.

— Chociaż nie mieliśmy powodzenia,— rzekł mi — ale już ja widzę talent... będzie dobrze! ręczę! Tylko na Boga, na co Waćpanu ta naturalność? natura mospanie jak powiadał nieśmiertelny Bogusławski: dobra na ulicy, ale na scenie ludzie nadnaturalnych rzeczy potrzebują.. Musisz Waćpan przesadzać tak jakbyś krzyczał, mówiąc do głuchych. Gdybyśmy mieli do czynienia z bardzo ukształconymi ludźmi, możnaby jeszcze być prawie naturalnym, ale z taką mieszaniną jaka do naszego teatru uczęszcza, cała rzecz krzyczeć, rzucać się, i jak najmniej do człowieka być podobnym. Oni tu nie po to przychodzą aby widzieć co codziennie w domu mają, ale żeby skosztować innej potrawy, czegoś nadzwyczajnego. Dlatego mało jest ludzi, którzyby poszli na dobrą komedję, choćby komik był najdoskonalszy, a na dramat najlichszy miejsc braknie.— Ale to rzecz naturalna zresztą, zmęczy się człowiek powszednią pracą i biegiem życia jednostajnym, radby choć z za kurtyny inny świat zobaczyć i wyższych ludzi i szlachetniejsze uczucia i coś niezwyczajnego.

Przyznać też potrzeba, że teorja pana Jacka przez jego współtowarzyszów ściśle była wykonywaną, i świat, który się na scenie przedstawiał, nie miał najmniejszego podobieństwa do tego, który o białym dniu widzimy. Halt szczególniej odznaczał się przesadą niekiedy tak dziwną, że choć śmieszną bywała, obudzała oklaski i porywała widzów niechybnie.

Strój jego, mowa, ruchy, wszystko było dziwaczne i spotęgowane, a czy grał dramat czy komedję, zawsze był pewien, że je utrzyma swym krzykiem i konwul-

sjami, z których potem pierwszy drwił ocierając pot z czoła za kulisami.

Ciężkież to zaprawdę było życie! a chleb gorżki i biedny, długów mieliśmy nieskończone mnóstwo, lichwa gospodarza pożerała pana Jacka, nieustannie uczyliśmy się rzeczy nowych, a lada wieczorek w miasteczku, opuszczał teatr tak, że często zamykać go musiano, bo ławki tylko nas słuchały.— Napróżno zmagano się na wymowne apele do publiczności, do tej światłej, łaskawej, protegującej sztukę i talenta publiki, do lubowników teatru, do mecenasów sceny... próżno wymyślano tytuły najdziwaczniejsze, obiecywano bengalskie ognie i dekoracje nigdy nie widziane jeszcze... oprócz kilku miłośników płci pięknej, mało kto przychodził do teatrzyku naszego.

Jeżeli jest nędzne i utrapione życie, to takiego nieszczęśliwego artysty na prowincji, który w złowrogiej życia godzinie połakomił się na chleb teatralny... nie mówię o niedostatku, bo to rzecz najpospolitsza, najmniej może ciężka do zniesienia, a tylu go cierpi w milczeniu, ale dla człowieka z uczuciem i instynktem prawdy i sztuki co za męczarnia być narzędziem do wypoczwarzania życia, stać się karykaturą dobrowolnie, grać rzeczy bez żadnej wartości, w ostatku cierpieć od nieustannie podrażnionych namiętnostek które ocierają się o siebie i bojują i sporzą i walczą o bańkę mydlaną.

Prócz mnie com sobie z góry powiedział, że cierpieć będę i milczeć niepodnosząc głosu, wszyscy codziennie obarczali dyrektora wyrzutami, własne dzieci, żona, przyjaciele..., najlichsi komparsi, każdy chciał pierwszej roli jak w życiu, upatrywał w towarzyszach chęć szkodzenia sobie, a ztąd nieustanne waśnie i spory. Ta powiedziała coś na tamtą, ów obrócił się do innego w sposób obrażający, dano rolę pierwszego drugiemu i t. d. i t. d.. a nie było dnia bez sprawy kryminalnej, narzekań, groźby oddalenia, czasem nawet rozstania artysty, który nazajutrz powracał. Mężczyzni nienawidzili się dostatecznie, ale kobiece waśnie przecho-

dzą wszelkie pojęcie... słupiałem patrząc jak po serdecznych pocałunkach wieczornych nazajutrz oczy sobie wydzierały i znów potem przysięgały przyjaźń wiekuistą... Świat to był dla mnie niepojęty, a po tych kilku leciech spokoju i wytchnienia zepchnięty znowu w warstwę od której odwykłem, cierpiałem męki czyścowe.

Ale z czemże się człek nie oswaja? powoli i ja przywykłem do tego co mnie otaczało, przestałem się dziwić i biedne życie nasze zdało mi się tylko szczerszym obrazem tego co gdzieindziej maskuje się i przykrywa.

XVI.

Towarzystwo nasze składało się z Jacka Mulki Mulkiewicza zarazem dyrektora, antreprenera, reżysera, niekiedy suflera, maszynisty, dekoratora, lampucera i w pilnej potrzebie grywającego ojców, z żony jego Marcybelli Mulkiewiczowej, występującej w roli kochanek, ciotek, dam poważnych i królowych, z dwóch córek pięknej Antosi i Michalinki subretek i dziewcząt wiejskich, niekiedy młode role męzkie przyjmujących z wielką publiczności uciechą, z obojga państwa Halt grywających co tylko było potrzeba, z Samuela, który nie wiele był użyteczny, ze mnie i kilku jeszcze osób dodatkowych. Tłumu i wojska w liczbie trzech do pięciu ludzi dostarczała ulica, i zawsze znajdowali się amatorowie gotowi przywdziać pancerze, ująć lance i wystąpić szeregiem na deski po dwa złote od głowy.

Teatrzyk drewniany, maleńki, licho oświecony, niezbyt opatrzony w dekoracje, był placem naszych popisów. Pomimo niedostatku środków, Mulka nigdy nie cofał się przed najstraszniejszem zadaniem, i porywał się na sztuki z walecznością bohatera. Żadna dlań nie

była niedostępną, a w razie niedostatku osób, trudności dekoracyjnych i kostiumowych, radził sobie z Napoleońską odwagą. Obcinał całe akty, przemieniał płeć, niepotrzebne wykreślał osoby, sceny eliminował, dodawał śpiewki, wnętrza pałaców przerabiał na skaliste okolice, słowem często trudno było znajomą rzecz poznać w tym nowym produkcie twórczej jego ręki, która z materjału wszelkiego umiała dla siebie wyrobić i stosowny i dostępny program widowiska. Ogień bengalski grał tu wielką rolę i obrazy ostatnie zawsze się nim kończyły, używaliśmy także burzy i piorunów obficie, a nic nas nie kosztowały owe szumne tytuły, do których taką miał wprawę Mulka, że niekiedy zdumiewać się i do rozpuku śmiać przychodziło, gdy afisz układał.

Każdy akt dramatu miał u niego osobne nazwanie, a najczarniejsze zbrodnie i najokrutniejsze poczwarne zjawiska, najupodobańszych materjałów do intytulacji dostarczały.

Nie wiem czem potrafiłem zaskarbić sobie łaski jego, ale po kilku miesiącach próby i nowicjatu, bardzo mnie polubił, zapraszał, posługiwał się mną, zwierzał z biedy, i w ostatku rzekł mi raz, gdyśmy sam na sam byli:

— Już teraz na pewno ręczyć mogę, że Waćpan masz istotny talent... ja się na tem znam, bom ich tysiące wykształcił, porozumiejmy się... podajmy sobie ręce, będzie chleba kawałek... rozpatrz się około siebie... zróbmy umowę.

— Masz mnie pan i bez kontraktu.

— Ale mi cię kto odmówić może...

— Znasz przecie, żem nie łakomy...

— Tak, ale wolałbym być pewniejszym... Popatrzno Waćpan na Michalinkę i Antosię, dziewczęta ładne, możeby ci się która podobała, jabym nie był od tego.

Roześmiałem się z boleścią na te słowa.

— Jestem żonaty! — rzekłem pocichu zamykając mu usta.

Mulka porwał się z siedzenia, chwytając za głowę.

— Doprawdy! i drapnąłeś od żony... rozumiem! no! cicho!... sza!

— A w Antosi — dodałem — kocha się na zabój Samuel.

— Ja to bardzo dobrze wiem, ale znać go nie chcę, szaławiła i do niczego, dziewczyna mi potrzebna, a jemu co dzień co innego w głowie... z tego nie będzie nic...

Uważałem, że po tej rozmowie poufnej, wiele straciłem u pana Jacka, który przestał na mnie rachować od dnia do dnia, spodziewając się, że mu się wyśliznę.

Michalinka, dobre dziecko, dosyć mię przyjaźnie wprzód widziała i zdawała się do bliższych wyzywać stosunków, ale po rozmowie mojej z ojcem postrzegłem, że coś jej powiedziano, bo się smutna oddaliła odemnie.

Żyłem ze wszystkiemi dobrze, a jako neutralna istota, używany byłem przez wszystkich do robienia często potrzebnej zgody, i nie ciężyła mi nędza, bo inne cierpienie dotąd silniejsze nad wszystko, myśleć o niej nie dozwalało. W tym samym domu nająłem sobie izdebkę od dziedzińca pod strychem, i w niej ukryty, spędzałem długie często dnie na uczeniu się ról i czytaniu. Pan Jacek przez ciąg swej artystycznej po świecie pielgrzymki, zgromadził na nieustanną potrzebę nowości, dosyć znaczny repertoar sztuk oryginalnych i tłumaczonych w drukach i rękopismach, a choć z tych bazgranin pełnych omyłek i pokreślonych czerwonym ołówkiem jego, niemiło było czytać, musiałem zabijać nudę przerzucając coraz nowe dramatyczne utwory. Nie wiem jakim przypadkiem na dnie kufra znalazły się niemieckie oryginalne dzieła Schillera, tłumaczone przez Wielanda Shakespeare i kilka sztuk Lessing'a, na nich przypomniałem sobie moją zaniedbaną niemczyznę. Mimowolnie wciągnąłem się w życie artysty, pokochałem sztukę i począłem pojmować, jakie ono stanowisko mogłoby sobie wyrobić w życiu społecznem.

Cierpienie zewnętrzne zmusiło mnie szukać silnego

zajęcia jako lekarstwa na nieznośną niepewność, znalazłem je w myśleniu i czytaniu. Samuel napróżno usiłował mnie wciągnąć w swój rodzaj życia goniący za wrażeniami i płochy, ale przeszłość poważniejsza, nieszczęście, nie dały mi w niem zasmakować. Lichy artysta, łakomym on był na życie, które bardzo pojmował poziomo; usiłował zabawić się, udurzyć, wcisnąć między ludzi, i wcale nie dbając o jutro, dzisiejszy dzień zawsze opłacał przyszłością, byle chwilowemu dogodzić upodobaniu.

Choć wiedział bardzo dobrze, że mu wierzyć nie mogę, zawsze przedemną grał rolę dziedzica wielkich włości wyemancypowanego z pod władzy rodziców dla czarnych oczów Antosi, kłamał stosunki swe, a czas spędzał po bilardach i cukierniach lub na poddaszu naszego domu.

Żyliśmy tak więcej roku, i ja jużem był przywykł do mojej doli zaczynając nabierać smaku do gry, bo mimowoli gorąco mi się robiło, gdy najmniej zdolna ocenić mnie publiczność, przyklasnęła wyrazowi wyszłemu z ust moich — gdy mi wypadło grać rolę kochanka w *Kabale und Liebe.* Jakkolwiek tłumaczenie tego arcydzieła liche było, a otaczający mnie artyści nie dopomagali wcale położeniem, pochwycony zostałem poezją tego dramatu, przebijającą się przez niedołężność przekładu stylem Schillera, jego namiętnością i gorączką i gotując się do roli, zapominałem, z kim i dla kogo grać ją miałem, myśląc tylko o jej znaczeniu i trudności.

Jacek naturalnie przysposobił afisz niezmiernie pociągający, w którym i nieśmiertelnego umieścił Schillera i pochwałę sztuki i dla każdego aktu osobne a straszliwe tytuły, tak że nad wszelkie nadzieje w ową pamiętną dla mnie niedzielę przed otwarciem kasy w przysionku teatru nie było już biletów do sprzedania. Na parterze przystawiono krzesełka, sztukowano ławki, i gdy zasłona podnieść się miała, Mulka zacierając ręce oświadczył, że na szpilkę miejsca nie ma w teatrze.

— Tylko mi grajcie jak należy, a dam wieczerzę Baltazara! — zawołał do nas.

Nie zważając na to, że moją Luizą była dzieweczka, która głębszego uczucia pojąć nie mogła i biła się z wyrazami miłości dla siebie niezrozumiałej, przejęty byłem wychodząc w pierwszym akcie jej widokiem, a niesłychanym cudem stało się z nią, co czasem dzieje się z ludźmi w stanowczych chwilach życia — Antosia nagle stała się artystką i poznać jej nie mogłem, takie uczucie głębokie, prawdziwe, rzewnie objawiała w scenie ze mną pierwszego aktu. Jak się to stało, nie wiem, ale wyszedłszy za kulisy tak byłem przejęty, żem usiadł nie chcąc rozmową pustą zgasić w sobie roztlonej iskierki.

Zapomniałem o wszystkiem, co mnie otaczało, gdy po krótkim przestanku przedzielającym dwa akty, Jacek dał mi znać, że pora wychodzić na scenę z Ledy Milford. W tej samej chwili, kiedym z ukłonem wsuwał się wymawiając wyrazy:

— „Przebacz mi pani jeśli jej przerywam...“ *) otworzyły się drzwi loży dolnej dotąd niezajęte i oczy moje spostrzegłszy z niewyraźnym przestrachem wchodzącego do niej Prezesa i żonę moją Ludwikę.

Można sobie wyobrazić położenie, w jakiem się uczułem, przestrach mój, boleść, przywiązanie, pomięszanie wybuchające zarazem w chwili, gdy chłodny, miałem dworskim tonem rozmówić się z faworytą.

Słów mi na ustach zabrakło, osłupiałem. W tejże chwili oczy mojej Ludwiki z loży padły na scenę, krzyk dał się słyszeć przeraźliwy i Prezes skoczył na ratunek córki, groźnem zmierzywszy mnie okiem. Zamieszanie z powodu wypadku tego przerwało na chwilę przedstawienie, a ja nie mogąc zdać sobie sprawy z tego co czyniłem, poleciałem przez kulisy, roztrącając wszystkich i łamiąc drzwi pozamykane ku korytarzowi, który do lóż prowadził. Prezes ze służącym

---

*) Wenn ich sie worin unterbreche, gnädige Frau...
A. II. 3 scena.

i kilku przyjaciołmi wyprowadzali właśnie Ludwikę z loży, gdym w ubiorze aktorskim, blady, nieprzytomny, przyskoczył do nich. Żona moja spostrzegła mnie i ruszyła się wyciągając ręce ku mnie, ale w tejże chwili Prezes stanął między nami groźny i trzęsący się od gniewu wołając na policję, aby ująć warjata.

Oparty o ścianę, zaniemiałem; koło mnie przesunął się pospiesznie jej ojciec, ciągnąc za sobą dziecię wpół omdlone i błagające litości; uczułem szelest jej sukni gdy mijali mnie, dłoń jej dotknęła mej ręki, a usta cicho szepnęły:

— Cierpliwości i wytrwania! uciekaj! uciekaj!

Potem wszystko znikło, a groźba uwięzienia zmusiła mnie co najprędzej szukać schronienia i oddalić się z teatru.

Słyszałem w sali wrzawę niezmierną i krzyki, musiano spuścić kurtynę, dyrektor sam niewiedząc co się stało, bronił się w sposób, który mnie potępiał, oświadczając, że artysta przedstawiający Ferdynanda, podlegał czasem napadom jakiegoś szału. Potwierdzony przezeń Prezesa wykrzyknik, czynił mnie obłąkanym, i w rzeczy postępowanie moje wielce prawdopodobnem to czyniło. Myśl, że mnie do domu warjatów zamknąć mogą, przeraziła więcej niż groźba śmierci; jak stałem więc, nie wracając już do mieszkania, puściłem się w miasto, byle się gdziekolwiek ukryć tymczasowo.

Szczęściem znane mi były wszystkie wchody i wychody, tak że niepostrzeżony wyrwałem się tyłem i przez ogrody i płoty wybiegłem aż za miasto. Tu dopiero postrzegłem, że ubiór mój, brak pokrycia, narażały na nowe niebezpieczeństwo, że potrzeba było koniecznie powrócić do izdebki i zrzucić odzież dziwaczną a przywdziać jak najpospolitszą. Musiałem więc wytchnąwszy nieco udać się do naszej gospody i postanowiłem zobaczyć się z panem Jackiem. Gdym się pocichu skradał do mego mieszkania, zdala już posłyszałem hałas wielki; drzwi od mojej izby stały otworem i światło w nich kazało się domyślać, że się tam właśnie współtowarzysze moi zgromadzili; w progu

stał pan Jacek i dowodził coś z wielkiem poruszeniem. Nie widząc nikogo obcego, któryby mnie mógł zastraszyć, podszedłem po cichu dla zbadania, co się tam działo i dosłyszałem następujące dowodzenie dyrektora:

— Dawno pewny byłem, że coś przeskrobał i że go ścigać muszą, a to nic innego nie dowodzi, tylko żem trafił... panicz postrzegł w loży tych, co go znali, krzyk się dał słyszeć i drapnął... tyleśmy go widzieli, a prawdę powiedziawszy, żal mi go — gdyby dłużej był kształcił się pod mojem kierownictwem, mógł zostać znakomitym artystą.

— O tem ani wątpię — rzekłem — że rady pańskie wielce pożytecznemi być mogły.

Okrzyk dał się słyszeć:

— Otóż i on! oto on!

— Cicho, na Boga! — zawołałem — przychodzę tylko zabrać moje rupiecie, zrzucić strój teatralny i pożegnać was.

— Ale cóż to było? — zakrzyknął Halt, jego żona, Samuel i pani Mulkowa.

— Co było, z tego tłumaczyć się nie mogę.

— Kompromitacja teatru ogromna! zgubiłeś nas Waćpan! — zawołał dyrektor — kto teraz pójdzie na najpiękniejszą sztukę, gdy myślą, że na drugim akcie się urwie; pieniędzy im nie oddałem, bom temu nie winien; zastąpiłem sam Ferdynanda... ale sykano!

— Darujcie mi — odezwałem się — to było nad siły moje, nie mogę i nie powinienem się tłumaczyć, ale wam ciężarem dłużej nie będę. Bądźcie zdrowi, mnie los gna dalej, nie wiem dokąd.

Stary się udobruchał.

— Skorom pieniędzy nie oddał, to się nie gniewam — rzekł — z publicznością wiedząc jak postąpić, wszystko posztukować można, ale mów co się stało? kto była ta dama, która krzyknęła i omdlała?

— Żona moja! — szepnąłem mu na ucho.

— Takem się domyślał! Będą cię ścigać i prześladować, dłużej tu być nie możesz, policja już się dowia-

dywała o Waćpana, dam ci list do mego wspólnika w B. i koniec. Nie ma ci co tu popasać.

Wszyscy patrzyli na mnie z niezmierną ciekawością, a Antosia zbliżyła się z uczuciem i w cichości uścisnęła mi rękę; widziałem łzy w jej oczach.

— Kto wie! — szepnęła — godzina dłużej, a byłabym może artystką!

I oddaliła się milcząca z głową spuszczoną. Zrzuciłem z siebie odzież coprędzej, stary dał znak towarzystwu aby odeszło, a sam na sam ze mną pozostał.

— Więc to był ojciec jej i ona! — rzekł zafrasowany — możni ludzie widać, nazywają go Prezesem! Pocóż ci było takiej sobie biedy napytać? Ale mówią, że ona jest panną? tak słyszałem.

— Małżeństwo zostało nieuznane.

— Nie ma co robić! musisz się Waćpan wynosić; masz jaki grosz? — spytał.

Miałem trzydzieści złotych całego majątku.

— Ja wprawdzie raz o piętnastu wyszedłem z Warszawy szukać szczęścia na prowincji, i to w dziurawych butach, ale Waści jeszcze coś dodać muszę — rzekł poczciwy sięgając po sakiewkę. — W B. znajdziesz nie tak dobrane towarzystwo, ale cię tam przyjmą ochotnie za poleceniem odemnie.

Spiesznie napisał list i nim godzina upłynęła, związawszy mój węzełek, udałem się nocą ku miejscu przeznaczenia, potrzebując się za ciemna z miasta wyśliznąć. Gdym gospodę naszą opuszczał, Antosia jeszcze raz zaszła mi drogę i pożegnała słowy Schillera, na które odpowiedzieć jej nie mogłem, tak prędko znikła mi z oczów.

„Cóżem ja winna, że ten sen był tak piękny, a — przebudzenie tak straszliwe!“ *)

---

*) Dein Kind kann ja nicht dafür, dass dieser Traum so schön war, und... so fürchterlich jetzt das Erwachen.
II. Akt, V. scena.

XVII.

Nie będę ci opowiadał drobnostkowie dalszych kolei życia mojego, dodał po przestanku i namyśle Poroniecki, ale nie mogę pominąć głównych wypadków, bo chcę ci się nietylko zwierzyć, ale użyć cię za pomocnika w wielkim zamiarze, który mnie tu sprowadził. Widzisz sterałem tak wiek mój włócząc się po świecie, a kto wie czy nakoniec nie stanę godnym tej ręki którą mi wyrwano; mogę być bogatym, niezmiernie bogatym i wówczas nie wątpię, że sierota nieznany stanie się bardzo zacnym człowiekiem. — Uśmiechał się: Gdyby mi się skarb o którym marzę zdobyć udało, stałoby go na nas obu, ale jam już za stary i takiego jak ty potrzeba mi sprzymierzeńca aby go opanować...

Oktaw słuchał nie rozumiejąc, a nieznajomy tak ciągnął dalej:

— Ale naprzód muszę ci dokończyć historji tego głupiego życia mego. Powlókłem się więc do B.... z pożegnaniem Antosi, dziwnie brzmiącem w uszach moich, z przestrachem aby mnie zdradzonego na drodze gdzie nie pochwycono. Szczęściem nikt podobno ścigać nie myślał i drugiego dnia przybyłem do małej żydostwem zaludnionej mieściny. Był tam teatrzyk także na wielkie zjazdy i jarmarki utrzymywany, a resztę roku obwożony przez entreprenerkę po kraju.

Miałem w myśli prosić ją o przytułek, ale pomiarkowawszy, że mnie rychlej na teatrze niż gdzieindziej szukać będą, wstrzymałem się od tego, zaszedłem do gospody i postanowiłem inny sposób zarobienia na chleb wynaleźć. W dobrą godzinę nastręczono mi dla jakiegoś kupca napisanie listu w obcym języku, potem znalazły się inne tego rodzaju korespondencje, utrzymywanie ksiąg handlowych, uczenie dzieci, i w parę tygodni nie obawiałem się umrzeć z głodu. Płacony byłem bardzo licho, używany ostrożnie, ale miałem co

jeść i nie walałem się na ulicy, więcej doprawdy nie śmiałem żądać.

Rok cały przesiedziałem w tej błotnistej kryjówce i byłbym tam może pozostał na zawsze, gdyby nie nadjechał pan Jacek Mulka, który mi przedstawił, że talent mój marnuję, że powinienem powrócić do teatru, i nie namówił do puszczenia się z sobą w podróż do Odessy z polskim wędrującym teatrem... Zapomniałem był o Antosi i jej pożegnaniu ze mną, licha mieścina nudziła mnie, uczucie niebezpieczeństwa przeszło, postanowiłem jechać, warując tylko bym w mieście gdzie mnie spotkał ów wypadek występować nie był obowiązany.

Znowu więc jakaś fatalność rzucała mnie na deski teatralne... Nie zdawało mi się żebym się wielce przywiązywał do towarzyszów mojej doli, a jednak gdy z tej pustki powróciwszy znalazłem się znowu w izdebce mojej na poddaszu, gdym zobaczył Halta, Antosię, Michalinkę, starą Marcybellę i szaławiłę Samuela, łzy mi się zakręciły w oczach. — Nic tak nie wiąże jak przecierpiana razem niedola, — szczęście rozprasza i czyni trudnymi ludzi, cierpienie ich spaja i przywiązuje. — Do miłego wrażenia jakie uczynił na mnie po pustce w B.... powrót do miasteczka które prawie za rodzinne przywykłem uważać, przyczynił się i nadspodzianie odebrany list od Ludwiki, pierwszy jaki od niej po wygnaniu z ich domu otrzymałem... i ostatni.

Przyniósł mi go stary oficjalista któremu był powierzony i podjął się wziąć odemnie odpowiedź. Ludwika zaklinała mnie na wszystko abym z wiarą i ufnością w Bogu cierpiał, donosząc że ojciec dotąd trwa w uporze, małżeństwa uznać nie chce, ale prześladować mnienie myśli chyba w razie gdybym mu się nastręczył sam lub poczynił jakie kroki; zapewniała o tem, że nigdy uie zapomni o mnie, ubolewała że się stała przyczyną cierpień dla mnie, których końca przewidzieć nie można. List jej napełnił mnie smutkiem i jakąś nadzieją, nabrałem otuchy i sił na wytrwanie jak życie

może długiego oczekiwania. — Odpisałem jej gorąco, szeroko, łzawo...

Tegoż roku ojciec ją wywiózł za granicę.

My ruszyliśmy z wędrowną naszą trupą ku Odessie, grywając po jarmarkach, zatrzymując się po miasteczkach, pielgrzymując jak niegdyś pierwsi aktorowie Grecji na wózku, który wiózł razem dramat i komedję, farsę i tragedję Shakespeara.

Coraz bardziej przywykałem do tego życia nędznego które ma swoje uciechy i dni jasne, nie mogąc się nadziwić niewyczerpanej czynności pana Jacka, i powołany będąc do nieustannego godzenia sporów jakie codzień prawie między członkami towarzystwa wynikały.

Poczciwa Antosia też którą kochałem jak siostrę, swoim humorem wesołym i szczerotą jakąś przywiązywała mnie do siebie. Z pociechą ujrzałem rozwijający się w niej talent który rozkwitł owego wieczora w pierwszym akcie Schillera Intrygi i Miłości, a teraz zdawał się z każdym dniem rosnąć. Dla mnie także pozbawionego innego celu w życiu, kształcenie się było potrzebą i gorączkowem zajęciem. Ucząc się roli, zapominałem o tej głupiej jaką grałem sam na świecie.

Wyprawa nasza nad wszelkie powiodła się spodziewanie, w Odessie jeszcze naówczas nowej dla kraju naszego i ponętnej, znaleźliśmy mnóstwo z Podola, Ukrainy i Wołynia przybyszów, a teatr nasz zyskał ich względy.

Tak znowu jakoś rok upłynął i skazówka zegaru posunęła się bliżej końca. Na nieszczęście rozwijającej się pomyślności naszego wędrownego teatru, tamę położyła nagła prawie śmierć poczciwego pana Jacka, który na drodze do kraju zachorował z przeziębienia, śmiał się z choroby swojej do końca, dostał zapalenia płuc i zmarł nam w nędznej gospodzie na gościńcu. Pochowaliśmy go na biednym cmentarzyku wiejskim, a sami po kilku dniach powlekliśmy dalej nie wiedząc kto go zastąpi. Pani Jackowa zostawała po nim dy-

rektorową, i chwyciła rządy wraz ze mną, przybranym opiekunem rodziny...

W tydzień po pogrzebie jużeśmy się musieli śmiać i wyłamywać na scenie, która pełna jeszcze była pamiątek po niezmordowanym Mulce, a nie czas było nosić żałobę i załamywać ręce, które na chleb zarobić musiały.

Nie wiem czy mi Wpan uwierzysz, gdy mu powiem, że większą część życia mojego spędziłem tak na scenie, nie pragnąc zmiany, nie widząc potrzeby dobijania się czego innego. Kilkanaście lat nie miałem wiadomości od niej i łzy zaschły w głębi serca, a jam się zupełnie na niedbającego o jutro, odartego aktora przerobił; pomagałem wdowie w jej ciężkiem gospodarstwie, wieczorami uczyłem Antosię która chciwie pragnęła się wykształcić i wreszcie stała się też ulubienicą publiczności, codzień więcej przywiązując się do tego dziecięcia, które mi się serdeczną i gorącą odpłacało przyjaźnią.

Samuel, mój towarzysz po kilkakroć łączył się z nami i od nas odłączał, pociągała go Antosia, zrażała jej obojętność, przechodził do innych dyrekcyj i wracał ku nam gdy tam skłócił, ograł i zadłużył, — ale niewielkiego wszędzie był pożytku. Jak wielu innych w życiu powszednim niekiedy miał iskry niby świetnego usposobienia, grał komedję bardzo dobrze, na scenie był sztywny, wymuszony i chłodny; w żaden sposób nie można było przekonać go, że o deskach należy zapomnieć wychodząc na nie, i nie ostudzać myślą widzów i oklasków. Za kulisami bywał wyśmienity, jak skoro podniosła się kurtyna, stawał nieznośny.

Nie będę cię nudził historją naszego towarzystwa, które powoli przybierając nowe żywioły, tracąc stare, całkiem się przeistoczyło, wdowa choć stara wyszła za mąż za daleko od siebie młodszego odartusa, Michalina zaślubiła oficera od piechoty i z nim na wózku jedno-konnym powędrowała w dalekie kraje nad Wołgę, Antosia wreszcie której się nadarzył przyzwoity chłopiec, uścisnąwszy mi rękę w milczeniu,

zapłakała i stanęła do ołtarza... Powoli poopuszczali mnie znajomi i towarzysze, przywlekli się nowi, ale już w sercu nie było sił tyle, by się do nich przywiązać.

W tej walce o chleb powszedni nędzny i spleśniały, z ludźmi cierpieniem starganemi i zgnębionymi, z nadzieją próżną usłyszenia jedynego głosu jaki mnie mógł pocieszyć, wałęsałem się lata długie z końca w koniec kraju, na lichych scenach jarmarcznych, przed publicznością pogardliwą wylewając gorycz, która mnie truła. — Życie wyrobnika może jest słodszem, a pewnie spokojniejszem... a cóż rzec o wyższych nieco pragnień i pojęć człowieku zaprzężonym w to jarzmo i zmuszonym zaprzeć się nieraz przekonań własnych dla przypodobania niewykształconemu tłumowi? Nieraz obmywając róż i bielidło z twarzy zżółkłej i pomarszczonej, z niemi zmywałem gorące łzy które wypalały mi oczy.

Nakoniec przyszła siwizna i chłód jesieni życia, zobojętnienie na wszystko, niesmak i pogarda ludzi... Otoczony gwarem, stałem jak otłuczony posąg w pośród żywych ludzi, milczący, zastygły, bez nadziei, bez celu... Głos którego oczekiwałem od Ludwiki, ani razu już nie doszedł uszu moich, świat murem stanął między nami i przedzielił nas od siebie.

XVIII.

I sił w ostatku zabrakło; te udawane namiętności jak prawdziwe pożerają człowieka, nie można bezkarnie przechodzić przez ognie i chłodnym pozostać. Sama walka, szyderstwo, niepewność chleba jutrzejszego, nędza malowana i szychem strojna, łamią powoli najtwardszą duszę i ciało.... uczułem i ja w końcu że dalej śmiercią przypłacić przyjdzie twardą pracę, której

nikt w koło nie widział i nie rozumiał. Nie miałem obojętności pana Jacka, jego wesołej rezygnacji i codzień obrzydliwszą stawała się dla mnie scena, która naigrawała się wewnętrznej boleści złamanego życia. Postanowiłem opuścić teatr, choćby pójść za jałmużną, dziwne myśli snuły mi się po głowie, aż dnia jednego wziąłem kij i puściłem się w pielgrzymkę daleką. Bytność w Odessie podała mi pierwszą do tego ideę, widziałem odchodzące statki i powiedziałem sobie patrząc na ubogich pielgrzymów jadących do Jeruzalem, że i ja mógłbym o chlebie i wodzie dostać się tam, a może z głodu i pragnienia o ucisku dusznym zapomnieć. Tą drogą też udałem się na wschód do Ziemi Świętej.... i mówić ci nie będę com przecierpiał w podróży, bo może nie dałbyś mi wiary jak ja sam nie łacnobym uwierzył, że bezkarnie tyle przetrwać można, z niewielkim sił zapasem.

Nie myślałem powracać do kraju wcale, i umieściłem się był w jednym z katolickich klasztorów na wschodzie jako braciszek, a możebym był umarł tam przywdziawszy suknię zakonną, gdyby najdziwniejszy w świecie wypadek nie rozbudził we mnie namiętności o której istnieniu w sobie nie wiedziałem nawet.

Na drodze do Jerozolimy w klasztorze samotnym, który jak wyspa wśród oceanu stoi na skale tuląc w sobie garstkę chrześcian otoczonych niewiernymi, nocując w ubogiej celi, zdziwiony zostałem niepomału usłyszawszy z ust starca zgrzybiałego mowę naszą, która całą mi przeszłość moją na myśl przywiodła.

Przywlókł się do mnie niedobitek ów życia zgarbiony, o kiju, aby raz jeszcze posłyszeć dźwięk macierzystego języka co mu pieśń śpiewał u kolebki....

Długi pobyt na wschodzie już go był prawie oduczył języka, ale w nim jeszcze odmawiał pacierze, śpiewał pieśni i marzył wygnaniec na skalistych wydmach Judei o zielonych dolinach naszych.

Lat swoich doliczyć się nie mógł czy nie chciał, to pewna, że w ostatnich czasach po kassacie zakonu

Jezuitów u których był braciszkiem, udał się na wschód i składem najprzykrzejszych okoliczności od dnia do dnia niemal przeciągając, pozostał, złamany latami, chorobą, niedołężnością która się czepia jak mech starości, wszystko z dziś na jutro odkładając, wówczas gdy najmniej jest jutra. — Starzec ten teraz czekał aby mu zbrzękłe nogi cokolwiek odeszły chcąc się puścić ku starym progom domu w którym już nie miał nikogo oprócz powietrza i wody. Ale nogi mimo ziół które pił i któremi je okładał, spuchłe były i jeśli jedna z nich odeszła, druga nabrzmiewała.

Istota to była pobożna i żyjąca w Bogu tylko i modlitwą, istny obraz anachorety starych wieków dla którego świat nie miał powabu, ni życie przyjemności. — Nie mogąc spać, wstawał z dniem i szedł czuwać na modlitwie do południa prawie, pokrzepiał się lekką strawą, a mało czasem spocząwszy na ławie cmentarnej pod kasztanami, wchodził znowu do kościoła i śpiewał a modlił się do późnej nocy, tak że często zamykający kościół, szukać go gdzie musiał w zakątku ukrytego aby wyciągnąć i do klasztoru odprowadzić gdy klęczeniem tak się znużył, że wyprostować się nie mógł.

Tu znowu pacierze wieczorne zajmowały go nim usnął na twardem łożu na chwilę. Nie wiedzieć jak i czem krzepiła się tam dusza w tem ciele wyschłem, zwiędłem i nie potrzebującem zda się pokarmu.

Kubek wody krynicznej, kawałek chleba, trochę jarzyny w wodzie ugotowanej, czarna kawa czasem i figa lub daktylów parę utrzymywały go dostatecznie. Mięsa nie jadał nigdy..... Z ludźmi był łagodny i powolny, nie umiejąc się pogniewać ni zniecierpliwić, znosił wszystko nie zmarszczony, pokornie, a w długich podróżach nieraz litość i poszanowanie u niewiernych wymógł siłą ducha i zwycięztwem nad sobą.

Oblicze staruszka było miłe, uśmiechnięte, oczy niebieskie głęboko wpadłe i blade, usta zawsze wesołe, twarz pomarszczona, skórą tylko pokrywała kości uwydatnione tak, że po nich każdy pręg żyłki przebiegającej był znaczny; każda wklęsłość czaszki gładkiej wi-

doczna. Odrobina siwych włosów u dołu, koronowała tę głowę piękną, ale martwą barwą i kształtem do zeschłej mumji podobną. Nosił suknię zakonu swojego czarną, pas podobny, kij prosty, biały, na nogach sandały tylko, kapelusz słomiany i w słotę szeroki płaszcz czarny z sierści wielbłądziej jakiego wszyscy używają na wschodzie. Całem jego mieniem był stary brewiarz, różaniec, wytarty pugilares i torebka płócienna połatana, w której chleb lub daktyle nosił.

Usłyszawszy polską mowę której był dobrze zapomniał między obcemi, starzec rzucił mi się na szyję i ze łzami uściskał; chciał do mnie przemówić, ale mu wyrazów nie stawało co chwila i zmusił mnie tylko wysłuchać pacierza, który kląkłszy czysto i bez omyłki z uczuciem wielkiem, głośno wymówił przedemną.

Taką była pierwsza nasza znajomość w celi dalekiego monasteru wschodniego, z człowiekiem który..... ale dowiesz się zaraz..... Pierwszego dnia oderwał nawet parę godzin od modlitwy dla mnie, i kazał sobie opowiadać dzieje życia w naszym języku, którym nie mogąc mówić, rozumiał go jednak wybornie. Dźwięk tej mowy budził w nim jakieś wspomnienia, bo słuchał go jak muzyki w upojeniu rozkosznem, a niekiedy rozpłakany ściskał mi ręce i błogosławił wpatrując się w twarz której rysy przypominały mu znać znajomych. Zbliżenie się do człowieka co świeżo kraj opuścił, odświeżyło w nim jakieś wspomnienia zastygłe, które żywo do serca przypłynęły, powoli przypomniał sobie wyrazy i sam słuchając mnie, mówić zaczął, a gdy przyszło się rozstać, zaklął na wszystko święte, abym z nim dłużej pozostał.

Całe dni spędzałem w kościele z nim lub na podwórcu klasztornem otoczonym murem i ocienionym platanami, kasztanami, kilką palmami i cyprysami. Siadaliśmy wówczas na ławie kamiennej w krynicy mruczącej i w cieniu długie prowadziliśmy rozmowy. Starzec co dzień się więcej przywiązywał do mnie; chciał nawet pod moją opieką do kraju powracać.

— Niechbym ja jeszcze, — mówił głosem drżącym, odetchnął tamtem powietrzem i popatrzył na ziemię naszą, a kości tam moje złożył przy ojcach.

Ale czuł, że sił mu nie stawało, i tak wybierając się ciągle siedzieliśmy w owym klasztorze, ruszyć się nie mogąc.

Jakby to silne wrażenie którego doznał wstrzęsło nim do głębi, braciszek ożywiony silniej z razu, potem widocznie podupadać począł i zaniemógł zupełnie na nogi tak, że bez mojej pomocy już i do kościoła przejść nie był w sile.

Widzieliśmy wszyscy spiesznemi kroki przybliżającą się śmierć której on nie zdawał się dostrzegać..... Czuwałem nad biednym nocami i dniami, odmawiałem z nim modlitwy.

Z kilku słów wprzódy wyrzeczonych widać było, że chciał mi jakąś powierzyć tajemnicę, ale się ciągle wstrzymywał, dopiero ostatniego wieczora gdy już i głos mu zesłabł i siły coraz gwałtowniej opuszczać zaczęły, kazawszy wyjść z celi wszystkim, tak począł mówić do mnie:

— Wiecie żem był braciszkiem niegodnym możnego i wielkiego zakonu.... ruina jego jak żywot świat napełniły rozgłosem..... Padliśmy jak wszystko na świecie rozsypuje się i upada. W chwili zagłady nikt się jej nie spodziewał, nikt w nią nie wierzył, schwyciła nas jak śmierć gdyśmy tylko o życiu myśleli. Nie potrzebuję ci objaśniać mocy potęgi zakonu, środków jakiemi rozporządzał.... byliśmy istotnie bogaci bardzo, a skarby mnogie różnemi tytuły przekazane nam i powierzone, spoczywały ukryte... o tych przełożeni ledwie i starszyzna wiedziała. W Kaniowcach gdzie mnie ów wyrok śmierci pochwycił....

— W Kaniowcach? — spytał Oktaw ciekawie.

— Tak jest, — mówił dalej Poroniecki, — w tych samych Kaniowcach.

— Zakon miał prawie wszystko zebrane czem prowincja tutejsza rozporządzała, sumy zapasowe, depo-

zyta, ofiary różne i grosz oszczędzony.... W chwili kasaty niepodobna było pochwycić wszystkiego, starszyzna więc postanowiła skarbiec w bezpieczne przeniósłszy miejsce, zakryć go od oczów ludzkich pozostawując straży losu.

My braciszkowie nic o tem nie wiedzieliśmy, aż gdy nas nocą jedną do rektora zawezwano i pod przysięgą kazano naprzód upewnić że tajemnicy nikt nie wyda do lat pięćdziesięciu, i to na łożu śmierci jednemu zaufanemu człowiekowi. Skarbiec ten naówczas miał się już stać własnością szczęśliwego znalazcy któryby go odkrył z warunkiem, aby część jego przynajmniej na ofiarę Bogu poświęcił....

Tak mówił starzec a choć zobojętniały i postarzały, chciwem uchem chwytałem wyrazy jego bojąc się, by mu śmierć nie przerwała zwierzenia które mi chciał uczynić — takie wrażenie na nas wszystkich czyni ten nieszczęsny grosz.....

Opowiadał mi potem jak z oczyma zawiązanemi przez rektora, zaprowadzeni zostali do sklepionej izby i z niej wory złota i srebra przez trzy noce w dziesięciu przenosili z zawiązanemi oczyma do drugiej tajniejszej kryjówki, którą potem starannie zamurowano i zarzucono ziemią tak, że istnienia jej nikt się domyśleć nie mógł. — Staruszek mniej więcej zdał sobie sprawę z miejscowości w której stary skarbiec był położony; i z drogi którą odbywał do kryjówki mającej się zamurować; za świeżej pamięci nakreślił drogę, wyliczył kroki i zostawił mi objaśnienie, jak mnie się zdawało naówczas, dostateczne do odkrycia zatajonego skarbu którym rozporządzenie mi przekazał. Ale ich było dziesięciu tak samo użytych i tyleż wiedzących, mógł więc jeden z nich powrócić na miejsce, odkryć loch zamurowany i unieść co się w nim znajdowało!

Nad ranem tego dnia kiedy mi oddał planik i opowiedział o skarbie, staruszek skonał spokojnie wobec całego zgromadzenia i pochowaliśmy go na cmentarzyku w cieniu starych cyprysów, a ja z umysłem dziwnie

rozerwanym, puściłem się w dalszą podróż pragnąc powrócić do kraju.

Skarb ten mnie niepokoił, palił mnie, musiałem wreszcie wstrzymywany, jakby naumyślnie tysiącem przeciwnych okoliczności, nazad do kraju dla poszukiwania go powrócić....

— Odkryłżeś pan go? — spytał Oktaw ciekawie.

Poroniecki uśmiechnął się.

— Zaczekaj, — rzekł, — nie koniec na tem jeszcze..... Wiesz, żem wyszedł o kiju a pielgrzymował o żebraninie, posłuchaj wprzódy jak los dziwnie ulitował się nademną, trochę zapóźno przypomniawszy sobie że żyłem. Już napowrót jadąc do kraju, przybyłem do Kairu, gdzie dla braku grosza musiałem się jakiś czas zatrzymać, tu mnie schwyciła febra i rzuciła o ziemię pozbawionego wszelkich środków, nietylko ratowania się, ale utrzymania życia.

W najostateczniejszej nędzy gdym nieprzytomny leżał w karawanseraju, anglik jakiś wziął mnie litościwie w opiekę i z podróżnej apteczki ratował chiną, której znaczna doza przerwała utrapioną chorobę. Nie dość na tem, wypytawszy co za jeden byłem, zostawił mi dostateczną sumkę napowrót do Europy. Z tem niewiedząc nawet imienia dobroczyńcy dobiłem się do Francji, ale na brzegu powitała mnie znajoma nędza, której już tylekroć doznałem, żem się jej przestał obawiać. Musiałem pracować w porcie aby na kawałek chleba zarobić, ale powrót znowu był utrudniony. Dziwnym trafem poznałem się tu z wdową po oficerze poległym w Algierze, a pochodzącym z naszego kraju, który toż samo co ja nosił nazwisko.

Nie miałem blizkich krewnych jak wiecie, nie wiedziałem nawet zkąd mógł pochodzić, ale poczciwa stara kobieta opłakująca zgon męża dotąd, uparła się koniecznie widzieć we mnie powinowatego nieboszczyka, upatrywała nawet jakieś w rysach naszych podobieństwo, w obyczajach i postaci. — Wzięła mnie więc w swoją opiekę, a że nie miała dzieci, zmusiła nieja-

ko bym pozostałość którą odziedziczyła po mężu, przyjął od niej jako spadek po krewnym. Własna jej majętność aż nadto wystarczała na życie. Opierałem się temu z razu nie chcąc zabierać co do mnie w żaden sposób należeć nie mogło, ale na ostatku musiałem uledz jej woli, a chęć powrócenia do kraju przynagliła mnie do tego. Tak, Bóg jeden wie jaką drogą na obcej ziemi z nędzarza stałem się jeśli nie majętnym, to przynajmniej niezależnym człowiekiem. Majątek mojego imiennika nie zbyt wielki, wynosił przecie kilkadziesiąt tysięcy franków, z temi już stanąłem tu w Kaniowcach. Możesz miarkować, — dodał Poroniecki, — jak niecierpliwie pobiegłem w ruiny klasztoru z planami braciszka i pamięcią pełną danych mi przezeń skazówek.

— I.... przerwał Oktaw?

— I dotąd grzebię się w gruzach napróżno — rzekł z westchnieniem Poroniecki, — ale teraz gdyśmy już we dwóch..... bo chętnie cię do podziału przypuszczam — lepszą mam nadzieję..... Robota, poszukiwanie, wymaga tajemnicy, potrzebuję pomocnika, oddawna kogoś mi tu należało przybrać, a wolę Waćpana niż innego.

Wiesz więc tajemnicę moją, — odezwał się wyciągając doń rękę, — nie potrzebuję cię prosić o milczenie gdyż słowo nieroztropne obu nas może w trudnem położeniu postawić i pozbawić tego czego szukamy...... Dla was, — rzekł, — to jeszcze coś więcej niż dla mnie — cóż mi przyjdzie ze skarbu? jak go użyję? czy mi on zwróci stracone lata, prrecierpiane bole i zmarnowaną młodość.....

— Ale wróciwszy do kraju nic-żeś się pan nie dowiedział o żonie....

— Dotąd.... tak jak nic, — rzekł wstrzymując się, jakby pragnął coś mówić i nie śmiał wyznać Poroniecki, — a kto zna serce ludzkie, — dodał, — pojmie, że się obawiam śledzić i pytać ażeby więcej nie boleć.

Na tej rozmowie brzask dnia ich zastał, a Oktaw postregłszy się za późno, że o niego w domu niespokojni być mogą, pożegnał gospodarza.

— A zatem, — dokończył z dziwnym wyrazem stary aktor, — jesteśmy sprzymierzeńcami i odbędziemy razem wyprawę do Kolchidy..... ale milczenie! — tajemnica i cierpliwość!

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

TOM IV.

I.

W kilka dni po opisanym wypadku Podkomorzanki, przestraszonej nagłem ukazaniem się starego aktora, słabość jej będąca skutkiem trwogi jakiej doznała, stopniowo odchodzić zaczęła, wstała z łóżka i powróciła powoli do swoich zwykłych zatrudnień. Ale niepokój jakiś nie opuszczał ją i teraz, dopytywała wciąż o owego nieznajomego, mówiła o nim, i dziwiła się, że nie uznał przyzwoitem przyjść do niej i choćby przeprosić za przestrach, którego był powodem.

Oktaw który teraz często znowu przebywał u Podkomorzanki, może dlatego że się tu z Anną spotykał, czy z Adelą? — przytomny temu żądaniu głośno objawionemu, z uśmiechem potrząsł głową.

— To zupełnie zdziczały człowiek, — rzekł, — trudno od niego wymagać zachowania form towarzyskich....

— Waćpan go znasz podobno lepiej od nas wszystkich? — spytała Podkomorzanka.

— Tak jest pani, przypadek nas zbliżył do siebie.... jakaś dziwna sympatja połączyła.

— Więc któż to jest taki?

— To tylko o nim powiedzieć mogę, że jest wielce nieszczęśliwy — dodał młody człowiek, — a chociaż mi życie swe opowiadał, nie dał prawa powtarzać tych zwierzeń poufnych.

Podkomorzanka spojrzała nań bacznie i milcząc do swojej siatki wróciła.

Oktaw był niejako ogniwem łączącem Poronieckiego

który trwał w swojem osamotnieniu z towarzystwem miasteczka, ciekawe zawsze obracającem nań oczy. Mało jednak obchodziło to zajęcie starego aktora, który się uśmiechał z zabiegów sąsiedzkich i odpychał garnących ku sobie, z wyjątkiem jednej Podkomorzanki. Oktaw uważał że o tę codzień prawie zaczepiał go i zapytywał.

— Ona? a ja komu na co się dziś przydałem? Waćpan mnie znasz i wiesz żem do niczego, jeśli odgrzebiemy nasz skarb.... ha! to przynajmniej groszem będę mógł służyć gdy sercem nie mogę, głową nie potrafię, a osoba chyba na strach w konopiach się zdała.

— Cóżby to Waćpanu szkodziło zrobić znajomość?

— A wiesz ty młody przyjacielu, co za sobą ciągną znajomości? Wam się zdaje, że są rzeczy obojętne na świecie.... a tu nic niema małoważnego.... twarz na którą patrzysz myśli ci wlewa, cóż dopiero usta które do ciebie mówią, pierś co przy nas oddycha? ludzie o których się ocierasz codziennie?

— Właśnie dlatego zdaje mi sie, — dodał Oktaw, — że z ludźmi żyć potrzeba, a odosabniać nie godzi... jedni na drugich wpływamy, wstydzimy się siebie i nie dajemy sobie upaść wzajemnie.

— Lub jeśli się jeden przewróci, całą kupą napadamy razem.

Nie przestawał jednak Poroniecki troskliwie się dopytywać o Podkomorzankę i udając obojętność, szydząc powracał coraz do rozmowy o niej i o jej domu.

Z swej strony ona także niepokoiła Oktawa zarzucając pytaniami o Poronieckiego, a choć student miał się na ostrożności, aby nie wygadać, gdy go raz zaczęły we dwie z Adelą brać na spytki, napomknął coś że był aktorem.

Podkomorzanka która robiła siatkę, nagle zerwała się z krzesła przelękła poruszona i krzyknęła:

— To on! to on!

Oktaw się przestraszył; Adela przybiegła ku ciotce zbladłej nagle i rozpłakanej, ale gdy ją dopytywać poczęli co się stało, gwałtownie przerwała, że sama nie

wiedziała co mówiła, i że właśnie ktoś przechodził przed oknami co jej widzenie straszne, będące powodem choroby przypomniał.

Tak się to skończyło, ale Adela i Oktaw nie mogli poznać Podkomorzanki codzień więcej widząc ją zmienioną, roztargnioną i niespokojną.

Wieczorem tegoż dnia poczęła znowu rozpytywać Oktawa o której porze Poroniecki powracał do domu, co robił, gdzie chadzał.... ale rannym wybuchem przelękły młody człowiek, milczał uparcie. Dnia tego na herbacie był ksiądz Herderski i siedział dosyć długo usiłując zabawić Referendarza który bawił Adelę, goście rozeszli się późno, a Podkomorzanka odprawiwszy swe dziecko na spoczynek, sama zamknęła się w swoim pokoju.

Wieczór był bardzo ciemny i deszcz prószył drobny tak, że ulice zawczasu się opróżniły, i jeden tylko Szambelan niewiadomo dla jakiego interesu, bez parasola nawet, przed furtkę dworku swojego wysunął się cichaczem. W chwili kiedy rozpatrywał się w uliczce czy go kto nie widzi, bo znać chciał przejść niepostrzeżony, zobaczył w dali od bramy domu Podkomorzanki zjawiającą się postać ciemną, okrytą płaszczem, która chwilę wstrzymawszy się u wyjścia, jakby dla rozpatrzenia w ulicy, poczęła powoli i ostrożnie iść w kierunku jemu przeciwnym.

Niewiadomo nam wcale dokąd i po co wybrał się był Szambelan, który później utrzymywał że dla dusznego w dworku powietrza, chciał nieco odetchnąć podwórzowem, to pewna że widok tajemniczo osłonionej postaci, wychodzącej z miejsca, w którem dwie tylko panie mieszkały, nadto był zajmującym faktem, by go stary mógł nie zbadawszy pominąć. Stanął więc przytuliwszy się do topoli, wstrzymywał oddech, i niesłychanie zaciekawiony, a potrosze szczęśliwy, że na wątek jakiejś historji trafił, czekał co też to będzie.— Ciemność nie dozwalała mu nawet rozeznać, czy idący cień ów był mężczyzną czy kobietą, pokrycie jednak głowy dozwalało wnosić, że to była pani jakaś z obawą

widoczną i strachem posuwając się uliczką stroną przy której stał dworek Poronieckiego. Szambelanowi zdawało się, że poznał salopę czarną Podkomorzanki, ale oczom własnym wierzyć nie chciał. Nagle cień ów zastanowiwszy się u furtki przy krzaku wirginji, nie wiedzieć gdzie się podział.... stary oczy otworzył, śledził, patrzał, ale nie mógł odkryć co się z nim stało, przypuszczał tylko, że ten ktoś musiał chyba wejść do dworku Poronieckiego.

Ten dziwny wypadek tak silnie zajął ciekawego staruszka i wlał weń odwagę tak niepohamowaną, że mimo wstrętu jaki w nim budził właściciel dworku od ostatniego spotkania, nie mógł wytrwać, by za cieniem tym nie pobiedz ku furtce i krzakowi wirginji. — Tu już nikogo nie zastał staruszek, ale słyszał wyraźnie chód cichy w sieni, otwierające się drzwi, a że w oknie u Poronieckiego się świeciło, dostrzegł jakby przesuwający się cień osoby, która weszła do pokoju. Nagle krzyk dał się słyszeć głuchy, stłumiony, dwa głosy zmieszane, płacz, łkania a potem cisza wśród której tylko szepty dziwne dochodziły uszów Szambelana, któremu reszta włosów siwych ze strachu jeżyły się na głowie. Usiłował on przez okno nizkie dojrzeć co się działo we środku, ale mętne szyby nie puszczały wewnątrz wzroku.

Położenie ciekawego staruszka wcale nie było przyjemne, z jednej strony chciało mu się bardzo po nitce schwytanej dójść do kłębka jakiegoś, z drugiej obawiał się własnego szpiegostwa, a przedłużony pobyt tajemniczej postaci, stawił go w bardzo przykrej konieczności przemoknienia do nitki na drobnym deszczu, który się ciągle powiększał; naostatek ostrożność radziła oddalić się od okna aby nie być schwytanym na podejrzanem wielce stanowisku.

Wszystko zważywszy, choć niekiedy pod oknem coś niecoś mógł dosłyszeć Szambelan, i zdawało mu się nawet głos Podkomorzanki rozpoznawać, choć piekła go niepomiarkowana żądza dobadania się tajemnicy najdziwniejszej, którą tak przypadkowo pochwycił, musiał

wszakże o niebezpieczeństwie swojem radząc, ustąpić aż do drzwi dworku i tu przysiąść na czatach. Ale długa upłynęła chwila, a z domku Poronieckiego nikt nie wychodził...,

Szambelan był jednym z tych ludzi upartych co nie łatwo rozpoczętą rzucają robotę, a zwłaszcza tak niesłychanie ważną, bo bliźniego się tyczącą.... Choć się więc trząsł i zimno mu było bardzo, a febra zagrażała, dostał placu mężnie i nierychło wśród nocy ujrzał zamiast jednej postaci, wychodzące dwie ze dworku sąsiada.

W towarzyszącej pierwszemu zjawisku łatwo mu było choć w grubych ciemnościach rozpoznać Poronieckiego, który z troskliwością przeprowadzał kobietę ową przez uliczkę i doszedłszy z nią do bramy jej domu, po chwili nazad powrócił.

Szambelanowi w głowie się zawróciło, tak pojąć nie mógł coby to znaczyć mogło ... serce biło, uśmiechał się do siebie, zacierał ręce, aż gdy wreszcie Poroniecki powrócił, umknął i on od swojej izdebki, nie mogąc się nacieszyć odkryciem jakie uczynił.

II.

Zdaje mi się, że wprawny czytelnik, który już nie jednę powieść w życiu przerzucił i niejednemu przypatrzył się dramatowi na scenie i w świecie, łatwo się domyśli tego, co dotąd z tak troskliwą pieczołowitością staraliśmy się przed nim ukrywać, półgębkiem mówiąc, w pół cieniu wysuwając przed nim postacie osłonione mgłą tajemnicy. Stary figiel dłużej już przeciągniony, zakrawałby na daremną mistyfikacją. Powiemy mu zatem niechcąc dłużej nadużywać cierpliwości jego niezmiernie do końca powieści potrzebnej, że najzupełniej odgadł...

Podkomorzanka była ową Ludwiką, córką Prezesa, który następnie nosił ten tytuł ostatni już z powiatowych podkomorzych, (*subcamerarius ultimus*, jak nawet na kamieniu jego grobowym wyrażono), a mężem jej był ów nieszczęśliwy Poroniecki, którego dzieje poznaliśmy z opowiadania poprzedzającego.

Po powrocie do kraju Poronieckiego, choć starał się ubocznie dowiedzieć o żonę swoją, żadna wieść o niej go nie doszła. W miasteczku osiadłszy, zdziczały i odosobniony stary aktor, nawet nazwisk sąsiadów nie dowiadywał się wcale. Zajęty był przytem tak gorąco poszukiwaniem swojem, a tak mało spodziewał się natrafić na Ludwikę, że o najbliższych nie wiedział sąsiadach. Dawno już pogrzebał on w swem sercu ten sen przeszłości, który mu się zdawał bezpowrotnie skończonym, i jak sen tylko dziwny czasem się w pamięci obudzał. Przebyte nieszczęście, cierpienie długie nie zatarły w nim przywiązania do kobiety, którą ukochał miłością pierwszą i ostatnią, ale wiek sam i znużenie przygasiły uczucie teraz zgorzkniałe i bolesne... zdawało mu się, że żona koniecznie zdradzić go musiała, że nie mogła poślubionej dochować mu wiary, i unikał bliższego dowiadywania się o nią, aby nie zatruwać nową boleścią i tak ściśnionego serca. Kto zna potęgę pierwszego uczucia przerwanego gdy rozkwitało, urok wspomnień, żal po młodości, pojmie łatwo jak często Poroniecki, pozbawiony innych w życiu węzłów i zajęcia, wracał do tego co snem swoim nazywał. — Miłość ta jedyna, wielka choć zeschła i uwiędła, jeszcze panowała nad nim i często łzy wyciskała mu z oczów...

Znamy zkądinąd Podkomorzankę, która jedynej w życiu poprzysiężonej wiary święcie dochowała do siwych włosów, mimo że świat nęcił ją do złamania. — Po wygnaniu haniebnem z domu tego, którego nazywała swym mężem, życie jej stało się ciężką pokutą za chwilę nierozważnej nadziei, ojciec ani myślał uznać małżeństwa zawartego bez jego wiedzy i jak on utrzymywał bez żądanych przez kościół i prawo form...

Nierozgłaszając wypadku, potrafiił w największej tajemnicy postarać się o rozerwanie ślubu, uznanie go nieważnym i postanowił córkę zmusić do nowego zamąż-pójścia. — Ale Ludwika z uszanowaniem i łagodnością oświadczyła mu, że dla niej raz wyrzeczona przysięga jest świętą i wiary ślubowanej dochowa do śmierci temu, któremu ją dała.

Próżne były usiłowania upartego starca, który wszelkich użył środków do zniewolenia jej napróżno. Tymczasem Franuś jedynak, ulubieniec, nadzieja rodziny, dziedzic imienia, zaledwie doroslszy, puszczony samopas na swobodę, wkrótce skończył życie wyczerpane, nim zakwitło... Tak tedy Ludwika została u Podkomorzego w pustym owym domu samą jedną, a trwoga starego powiększała się jeszcze o córkę i majętności, których nie chciał zostawić na los i oddać jakiemuś przybłędzie. Wybrany przezeń młody chłopak tegoż nazwiska i herbu, daleki krewny domu, został przeznaczony Ludwice, która i teraz stanowczo oświadczyła, że za nikogo nie pójdzie, bo jest żoną i drugi raz przysięgać nie może.

Stary Podkomorzy wyczerpawszy wszelkie środki przymusu, prośby, groźbę wydziedziczenia, zaparcia się, rachując na czas w ostatku, wywiózł Ludwikę za granicę sądząc, że kraju zapomni, i że uniknie nowego jakiego spotkania, podobnego pierwszemu w teatrze, które go było niesłychanie przeraziło... Ale z długich podróży odbytych w towarzystwie ojca i krewnego, wyznaczonego jej za męża, Podkomorzanka wróciła niezachwiana w postanowieniu. Wkrótce też ojciec jej umarł, a ona podzieliwszy się majątkiem z tym, którego jej za małżonka chciał narzucić, osiadła naprzód na wsi, a potem w miasteczku.

Nie miała już wcale nadziei zobaczyć kiedy tego, którego wspomnieniu była wierną; długie upłynęły lata, wiedziała o jego włóczędze po kraju w towarzystwie wędrownych artystów, dopytywała potem że się udał na wschód i pogrzebała go, dawno sądząc umarłym. Można więc sobie wystawić wrażenie jakiego

doznała, gdy nagle z rumowisk i grobów zjawiła się przed nią postać, w której mimo upływu lat tylu, jeszcze poznać potrafiła towarzysza młodości. Są twarze, które życie tak odmienia i przeistacza, że w nich starego nie odkryjesz człowieka, ale są też dziwnie świeże i młode, pomimo marszczek co je okrywają i noszące do śmierci wyraz, który na nich wypiętnowały pierwsze lata życia. Taką była twarz Poronieckiego, zorana troskami i nędzą, ale taż sama co w młodości. Cierpienie zniszczyło ją, wiek poorał, ale pod tym całunem zarysowały się kształty pierwotne, będące obrazem niezmienionego wewnątrz człowieka.

Tak samo Podkomorzanka postarzała niezmieniona i twarzą otoczoną siwemi włosy, przypominała, poważne dziewczę które miało raz kochać i za tę miłość cierpieć życie całe. Poznali się więc oboje, ale zrazu nie wierzyli oczom własnym, i potrzeba było wygadania się Oktawa, aby przekonać Podkomorzankę, że ten cień wychodzący z grobu, był żywym jej mężem.

Tegoż wieczora, jakeśmy widzieli, wymknęła się biedna z domu, pewna, że Poroniecki (który zresztą zmienił nazwisko) był jej mężem, domyślając się fałszywie, że przybycie jego do miasteczka przypadkowe, miało na celu zbliżenie się do niej, wyrzucając sobie, że natychmiast nie podała mu ręki. Z właściwą sobie odwagą, choć słaba i drżąca, Podkomorzanka wyszła po nocy z domu udając się do blizkiego dworku... pilno jej było powiedzieć temu, którego lat tyle nie widziała, że serce i rękę dochowała dlań choć o życiu jego nawet nie miała wiadomości; obawiała się by o niej nie wątpił.

Z bijącem sercem przestąpiła próg pustej izdebki, w której biedny wygnaniec stał właśnie zadumany, bijąc się ze wspomnieniami przeszłości i szydząc sam z siebie.

— A! to ty Adolfie! — zawołała rzucając się ku niemu — nakoniec! — I ledwie tych słów domówiwszy, musiała upaść na krzesło, bo nogi pod nią się zachwiały.

Poroniecki stał chwilę osłupiały i milczący, zbliżył się i w chwili gdy miał przemówić, potok łez zatamował mu głos, począł się razem śmiać i płakać...

Niepodobna nam opisać tej sceny, której uczucia nie każdy pojmie, bo iluż nas jest wiernych naszej przeszłości?

Dziwnemi zrządzeniami, na drugim brzegu znaleźli się oboje starzy już, a w sercach niezmiennemi dla siebie, i na przekwitłych tych twarzach zajaśniał promyk nadziei na resztkę życia. Długo płakali oboje i w łkaniu ledwie się im jakie wyrwało słowo bolesne...

— Widzisz Adolfie — odezwała się wreszcie Podkomorzanka — jeżeliś kiedy zwątpił o mnie, jak ciężki grzech popełniłeś! Po latach tylu znajdujesz mnie wierną tobie... Poznajmyż się dziś po tylu cierpieniach! chceszże mnie starą i biedną?...

— O moja najdroższa! — odezwał się Poroniecki— byłżem ja godzien takiego poświęcenia, i straconego życia twojego? Widzisz mnie zawstydzonym, upokorzonym, przybitym twoją wielkością, w prochu przed tobą... bo, przyznaję... jam wątpił, jam się nie czuł godnym tego... Ale czy dziś ofiara właśnie nie wyda ci się wielką i próżną? Czemże dziś ten komu poświęciłaś życie?... złamaną istotą, biedną, upadłą, zgasłą... promyk młodości co jakiś blask rzucił na nią, dawno zatarły ciemności,—nie poznasz może we mnie tego, który był twoim...

— A tyż mój drogi, inaczej mnie znajdujesz? — przerwała Podkomorzanka rumieniąc się — spójrz... ja dziś siwa, stara, zesmutniała i równie jak ty złamana...

— Oboje — mówiła dalej — przetrwaliśmy wiele, ale dzisiejsza chwila płaci za lata zabyte... Tyś był daleko jeszcze nieszczęśliwszy odemnie, przymuszony walczyć z nędzą, z głodem i z ludźmi co się nie poznali na tobie, ciebie nie podtrzymywało to uczucie jakie ja miałam... ta pociecha...

I wstrzymała się na chwilę Podkomorzanka jakby wyznanie kosztować ją miało.

— Ja miałam dziecię, nasze! — dodała cicho.

— Dziecię! nasze dziecię! — krzyknął Poroniecki — ono żyje!

— I jest przy mnie — odpowiedziała Ludwika. — Za życia ojca oddane było krewnym i nosiło nazwisko obce i wychowywała je babka, po jej śmierci nic mnie już wstrzymywać nie mogło, bym go nie odebrała nazad, teraz przyznamy je i posłyszę to imię matki, którego tak łaknęłam spragniona, któregom nigdy z ust mojego dziecięcia nie posłyszała.

— Widzisz Adolfie — rzekła — żem nie tobie jednemu była wierną, że mniejszą mam zasługę niż sądziłeś zrazu, bom żyła dla ciebie i naszej córki, której ty teraz dasz imię, przyniesiesz ojca...

— A! smutnego rodzica mieć będzie! — rzekł Poroniecki — i nie pochlubi się nim pewnie, któż wie czy nie lepiejby pozostać sierotą... Więc to śliczne dziecię?

I zaniemiał załamawszy ręce.

— Prawdaż to — rzekł jakby do siebie, że ja sierota od urodzenia, wygnaniec wiekuisty, nagle znajduję żonę, rodzinę, dziecię, świat co mnie przyjmie, czemżem ja na to u Boga zasłużył? — a! to sen chyba! to marzenie...

I znowu łzy przyszły na powieki obojga i poczęła się owa cicha rozmowa, spowiedź z całej przeszłości, opowiadanie splątane, w którem dwa razem życia objawiły się sobie i spotkały...

Po długich zwierzeniach, Podkomorzanka powstała nareszcie.

— Już więc się nie rozstaniem — rzekła — ale w oczach ludzi potrzeba teraz uznać to cośmy taili dotąd... a uczynić to jak najrychlej, bo chwili z tych resztek nie mamy do stracenia. Mnie zostaw staranie o to...

III.

Nazajutrz rano zdziwiona była Adela, gdy przy śniadaniu Podkomorzankę ujrzała choć znużoną, ale wesołą i rozczuloną jak nigdy jej nie widziała — oczy jej błyszczały dziwnie, ręka drżała gdy obejmowała dziecię, a nim posłany po księdza Herderskiego powrócił, z dziesięć razy spytała o niego i oknem wyjrzała, prawie dziecięcą okazując niecierpliwość.

Nareszcie odprawiwszy mszę świętą ksiądz dziekan z wesołą twarzą, wyświeżony i wcale się nie domyślając ważnej sprawy do której został powołany, zjawił się na progu dworku Podkomorzanki, która przeciwko niemu ożywiona wybiegła.

— Jakże mi pani dziś doskonale wyglądasz! — zawołał Herderski, — chwała Bogu! a zatem choroba już przeszła?

— Całkowicie, chodź dziekanie, mamy z sobą o ważnych pomówić rzeczach.

— O! o! — niedowierzająco odezwał się duchowny, — cóż tedy? słucham....

Podkomorzanka odprawiła Adelę, i gdy się zostali sami, nierychło mogła się zebrać na wyrazy.

— Ojcze mój, — rzekła wreszcie nabierając odwagi, — wiesz, czy nie cokolwiek o młodości mojej?

— Bardzo niewiele!

— Znałeś nieboszczyka Podkomorzego?

— Dopiero pod koniec życia....

— Ale przecie doszło cię coś może?

— Nie zwykłem cudzych śledzić tajemnic....

— Dowiedz się więc w jednem słowie tego, czego najmniej może się spodziewałeś.... ja mam męża....

Dziekan wcale nieprzygotowany do podobnego wyznania, niedowierzając uszom swoim, porwał się z krzesła i zawołał:

— Pani żartujesz ze mnie!

— Spodziewałam się że mi nie zechcesz uwierzyć, lat

temu przeszło dwadzieścia jakem tajemnie zaślubioną została....

— Pani tajemnie zaślubioną.... czyż to być może?

— Adela jest moją córką, — kończąc przykre wyznanie, dodała Podkomorzanka.

Dziekan zmięszany coraz bardziej, upadł na krzesło wlepiając wielkie oczy w gospodynię.

— Ojciec mój, — skończyła, — nie uznał tego małżeństwa, postarał się nawet o zerwanie go w konsystorzu... ale ja święcie ślubowanej dochowałam wiary.

— A mąż ten.... któż to jest? żyw? umarły? spytał dziekan zdziwiony.

— Miałam go dotąd za umarłego, żadnej o nim nie mogąc pochwycić wieści, dopiero kilka dni temu....

— Jakto? byłżeby nim....

— Ów wasz straszny nieznajomy.... Adolf Poroniecki.... Teraz, dokończyła Podkomorzanka, — radź mi co mam począć? Chcę nareszcie aby położenie moje wyjaśniło się, nie mam potrzeby nic taić, bo się niczego nie wstydzę, pragnę dziecko moje przytulić do piersi i podać rękę temu, komu serce moje wiernem pozostało.....

— Ale znasz-że go dziś pani? — rzekł nieśmiało dziekan, dwadzieścia lat zmieniają człowieka do niepoznania, czynią go prawie nową istotą.....

— Kimkolwiek jest, mężem moim być nie przestał, kochany dziekanie.... Wyznam ci wszystko, widziałam go wczoraj, człowiek życiem złamany, ale nie zepsuty, biedny.... należy mu się choć trochę pociechy i spokoju na starość....

Dziekan zamilkł — wyznanie to tak przyszło niespodzianie, dziwnie, tak go znalazło nieprzygotowanym, że myśli zebrać nie umiał.

— W jaki sposób mam go uznać moim mężem? co począć? — żywo mówiła Podkomorzanka, — śluby nasze zostały unieważnione, potrzebujemy ich odnowienia.

— Nie sądzę, rzekł kapłan — ci co je nierozważnie rozerwać usiłowali, byli widocznie w błędzie.... forma

jest dla ludzi, dla Boga dość słowa dwojga małżonków i błogosławieństwa kapłana u ołtarza.

— Jak mam go oznajmić Adeli? — mówiła dalej niepokojąc się Podkomorzanka.

— Ale na Boga nie spiesz pani, daj mi pomyśleć! niech ze zdumienia wyjdę i opamiętam się.... nic nie wiem i nie rozumiem.

— A ja czekać nie mogę! — przerwała pierwsza,— dosyć już cierpieliśmy...... pilno mi w oczach świata przebyć tę ciężką chwilę, która mi jeszcze pozostała....

— Otóż patrzcie, — rzekł jakby sam do siebie dziekan, — żeby mi był kto dziś rano powiedział co ja tu usłyszę, byłbym go dyscypliną przepędził jak oszczercę...

— Ale to nie dziwować się, tylko radzić potrzeba.

— A ja nie umiem, — odparł dziekan, — cóż? chyba po prostu posłać akt ślubny do konsystorza i ludziom powiedzieć, jestem żoną, a to mąż od lat dwudziestu. Naturalnie przygotować się potrzeba na zadziwienia, tłumaczenia, niedowierzania, pytania, przykrości.

— Wypiję się już kielich do dna mój ojcze, — zawołała Podkomorzanka, — chodzi o to jak go wziąć i z której strony zaczynać....

— Jeśli wiem, niech....

— A ja mniej jeszcze, — przerwała gospodyni, — chyba wprost pójść go tu przyprowadzić, i....

— Ot to będzie gwar w miasteczku!

— Prawda kochany dziekanie, ale mamże się go lękać?

— Część kanoniczną sprawy biorę na siebie, — dorzucił dziekan, — ale co pani uczynisz z towarzystwem.... doprawdy ani wiem, ani pojmuję.

Trwała jeszcze narada chwilę, a gdy Herderski wyszedł od Podkomorzanki, czekający nań Szambelan postrzegł na jego twarzy ślad tak dziwnego pomieszania, że się nie mógł powstrzymać żeby mu tego nie powiedzieć.

— Gdzież ja tam i czego mam być pomieszany, — co się też Wpanu dobrodziejowi przyśniewa?

— A ja właśnie także z ważną jedną rzeczą szedłem do księdza dziekana, rzekł Wędżygolski.

— Z ważną rzeczą? co to jest? — zatrzymał się Herderski.

— Nie do wiary wypadek! — mówił Szambelan, od niejakiego czasu tajemnice nas tu otaczają.... ja nie wiem na czem się to skończy.... Wystaw sobie Wpan dobrodziej są zgorszenia, które oburzają....

— Zgorszenia?

— Żyliśmy my tu lat tyle cicho, pięknie i nie było na co patrzeć, teraz co godzina to nowina.

Po takim wstępie z wielką powagą staruszek na ucho i pod pieczęcią tajemnicy zeznał przed dziekanem jakiej podejrzanej nocnej przechadzki był świadkiem. Zdawało mu się, że to rani księdza Herderskiego silnie i wywoła oburzenie, niedowiarstwo i zgrozę, gotów był nawet przysięgą popierać zeznanie.... ale jakże się zdziwił gdy dziekan powoli i bez najmniejszego wzruszenia, odparł.

— Wiedziałem o tem....

— Jakto? Wpan dobrodziej? wiedziałeś o tem?....

— Zapewniam pana kapłańskiem słowem, i mogę mu zaręczyć że jakkolwiek się to panu zda nieprzyzwoitem, jest zupełnie naturalnem i uczciwem....

Szambelan odstąpił kroków kilka i wydawał się jak człowiek ów, któremu kuglarz trzymany w garści złoty pieniądz w skorupkę od jaja przemienił.... usta otworzył, podniósł brwi i milczał.

— A za dni kilka, — dodał żegnając go dziekan, — sam pan uznasz, że w tem nic nie było ani dziwnego, ani zdrożnego.... Spodziewam się jednak że przez ten czas potrafisz dochować przyzwoitego milczenia, które nakazuje uczciwemu człowiekowi wszelki fakt niewytłumaczony, a źle przez złych tłumaczyć się mogący...

To mówiąc ksiądz Herderski, zdjął kapelusz i pożegnał staruszka, który pozostał wśród ulicy zupełnie zbity z tropu, oplątany nierozwikłanemi domysły, i zaciekawiony do najwyższego stopnia.

— Co on plecie! co plecie! to być nie może! Pod-

komorzanka i ten hołysz jakiś, cóż tu jest za związek, jaka być może tajemnica! nie pojmuję... koniec świata.

IV.

Po wielu latach zobojętnienia i rozłąki umyślnej, wezwany przez córkę p. Joachim Wielica, jechał do niej z uczuciem ojca, ale z obawą człowieka co w znanej mu niegdyś całkiem ma nową powitać istotę. Właściwie rzekłszy, mało on nawet znał to dziecię, odebrane mu w chwili dojrzewania i wprędce wydarte zamąż-pójściem, które ich stosunki całkowicie zerwało. Gdy w dali ujrzał dwór pański, serce mu zabiło i łza przyszła zwilżyć powieki... czuł, że go kosztować musi zbliżenie na nowo do własnego dziecięcia w innej żyjącego sferze i innemi pojęciami o świecie napojonego... nie wiedział jak potrafi podołać zadaniu...

Wiejskie mieszkanie hrabiny Tylmann, choć rzadko tu przyjeżdżała, stało na pańskiej stopie, i liczyło się do najpiękniejszych rezydencji w okolicy. Wielki dom piętrowy z oficynami, obszerny park, oranżerje, miały swą służbę, i choć nikt tu zwykle prócz rządzcy nie mieszkał, kosztownie dosyć się utrzymywały. Dla Wielicy miejsce to miało mnóstwo wspomnień przeszłości i sam widok je rozbudził... wzruszony wysiadł w ganku z biednej swej bryczki, na którą służba wygalowana poglądała ledwie nie z politowaniem, bo pan rządzca daleko porządniejszym zwykł był jeździć powozem.

Była to godzina wieczorna i kamerdyner warszawski hrabiny, otworzył wprost drzwi salonu Wielicy, gdzie piękna Ewelina właśnie u otwartych okien piła herbatę... Spodziewał się z listu zastać ją samą, we łzach, cierpiącą i niepomału się zdziwił postrzegłszy kilka osób

przy niej, a odgłos rozmowy przerwanej przekonał go, że się dość wesoło zabawiano.

Ewelina rzuciwszy wszystko, podbiegła ku wchodzącemu, z temi oznakami czułości, które na Bożym świecie tak niewiele kosztują ludziom do nich wyuczonym, że je trudno za dobrą wziąć monetę. — Śliczna jej twarzyczka mgłą tylko melancholji pokryta, strój niezmiernie wytworny, sam głosik wesoły, przekonały pana Joachima, że się napróżno może tak bardzo o córkę niepokoił...

W istocie nic tu nie znamionowało wielkiego cierpienia i nadzwyczajnych wypadków, a życie zdawało się iść trybem bardzo zwyczajnym.

Córka przedstawiła ojcu znajdujące się przy niej osoby, które jej w podróży towarzyszyły, była to panna Teolinda, przyjaciółka jej, już niezbyt świeża, ale jeszcze pełna wdzięku i niezmiernie o swą piękność troskliwa, wytwornisia miejska, — pan Herzog fortepianista w okularach, podżyły i orderem w pętlicy świadczącym o koncertowej przeszłości na dworze jakiegoś niemieckiego księcia; pani Litte niewiadomego pochodzenia, przyjaciółka hrabiny numer drugi, i nakoniec kuzynek hrabiego, którego przedstawiając zarumieniła się mocno Ewelina, starając ukryć swe pomieszanie zajęciem niby herbatą, choć jej nigdy sama nie robiła.

Pan Edmund Troiński miał zaledwie lat dwadzieścia kilka, powierzchowność miłą, łagodną i znaczącą, był brunet i rzeczywiście piękny jak Antinous o czem może jednak zanadto wiedział i pamiętał. Co robił na wsi przy Ewelinie trudno było wytłumaczyć, i nie dziw, że przedstawując go ojcu, córka się mocno zarumieniła, a spojrzawszy nań Wielica pochmurniał.

Wcale inaczej spodziewał się zastać nieszczęśliwą i zbolałą hrabinę, i przykro mu się zrobiło niemal, widząc, że wpadł w jakieś towarzystwo, z którego ciężko mu wybrnąć będzie. Z prostotą sobie zwyczajną, usiadł do stołu wśród milczącego dworu, który nań z ciekawością nietajoną poglądał. Wszyscy byli widocznie pomieszani, a hrabina najwięcej; podtrzymywała tylko

rozmowę zdawkową pani Litte i Teolinda, usiłujące zająć przybyłego i nie dać mu postrzedz pomieszania córki i pana Edmunda.

Z kierunku jaki nadawano obojętnej paplaninie, widać było, że miano Wielicę za szorstkiego wieśniaka, usiłując litościwie zastosować się do jego zardzewiałych pojęć, co uśmiech nieznaczny a smutny wywołało na usta przybyłego, córka spoglądała nań ukradkiem, nieśmiało, jakby chciała wyczytać wrażenie, jakie na nim zrobi towarzystwo.

Na jej twarzy, trochę troską jakąś powleczonej, był wyraz niepokoju i rozdrażnienia, ale nie było tej rozpaczy, jaką się spodziewał znaleźć Wielica; wejrzenie nieustannie biegało z ojca na Edmunda, który w nią patrzył jak w tęczę, i z niego znowu na ojca... Wielica dostrzegł jakichś znaków porozumienia, które sobie dawali uśmiechając się i potrząsając głowami, ale musiał udać, że ich nie postrzega. — Znać było z fizjonomji wszystkich, że wpadł bardzo niepotrzebnie i dosyć im ciężył.

Córka jednak jak nigdy, troskliwie chodziła około ojca, starając się uprzedzić jego życzenia, dopytując o wszystko co się go tyczyło, bolejąc nad długą rozłąką... Jakkolwiek całe towarzystwo przykre jakieś zrobiło wrażenie na panu Joachimie, musiał udawać wesołego i być dla nich grzecznym, tak słodziuchno wszyscy chodzili około niego.

Nareszcie po godzinie rozmowy z wielką sztuką prowadzonej przez panią Litte i piękną Teolindę, do której prócz Eweliny nikt się nie mieszał, — pan Herzog wymknął się pierwszy, zanim wkrótce dwie towarzyszki hrabinej, a nareszcie i pan Edmund, tak, że ojciec i córka sam na sam z sobą zostali... Gdy ostatni wychodził, piękna Ewelina widocznie była zakłopotaną... nigdy mniej córka może nie znała ojca, ani ojciec dziecięcia, a przygotowująca się rozmowa, dla obojga niezmiernie trudną była... prowadziła ona do zwierzeń dwoje ludzi prawie nieznajomych.

— Jakżem ja wdzięczna papie, — odezwała się po

chwili Ewelina, bawiąc się końcem szalu i spuszczając oczy, — żeś był łaskaw przybyć na moje wezwanie, tak mi było potrzeba użalić się przed kimś, poskarżyć wylać ból którym jestem przejęta, zasięgnąć rady.

To mówiąc chwyciła jego rękę.

— A papo kochany, — dodała, — ja nie jestem szczęśliwa.

I łzy zakręciły się w ślicznych jej oczkach.

— Któż z nas był szczęśliwy? — rzekł Wielica, — na ziemi trudno się tem pochlubić, ale Ewelinko moja, dla ciebie życie zdawało się obiecywać jeźli nie rajem, to przynajmniej wesołą przechadzką w dobrem towarzystwie... Sama prawie wybrałaś sobie męża, kochałaś go, on ciebie, Bóg ci dał czego tylko zapragnąć mogłaś.

— Tak! tak... a jednak wszystko to doprowadziło mnie tylko do łez i cierpień...

— Ewelinko kochana, — przerwał ojciec, wyście trochę pieszczone dzieci i zanadto wymagacie może od świata... wam sybarytom złożony we dwoje listek róży dolega i wywołuje jęki... wy cierpieć nie umiecie.

— A! papo! nie ja przynajmniej... posłuchaj, posłuchaj! człowiek któregom wybrała, którego kochałam...

— Kochałam? — spytał Wielica.

— Tak, bo już go kochać nie mogę... ten człowiek zdradził mnie haniebnie i dla kogo!! a! to okropnie!

To mówiąc twarz zakryła rękami.

— Uspokójże się, — rzekł ojciec, — mów mi proszę wszystko... cóż się stało?

— Ten człowiek, — ciągnęła dalej hrabina, — nie kochał mnie nigdy, nie był w stanie takiego jak moje uczucia ocenić, jemu tylko zwierzęcych namiętności nasycenia potrzeba, i to mu wystarcza. Zimny, szyderski, zepsuty, każdem dotknięciem i słowem obrażał mnie i drażnił. Com wycierpiała z nim, tego żadne słowo wypowiedzieć nie potrafi... Alem milczała długo i znosiłam w pokorze, sądząc że go potrafię z tego błota wyprowadzić. Teraz wiesz ojcze... w oczach całego świata, ze zgorszeniem powszechnem, opuścił

mnie prawie i wyjechał za granicę z jakąś tancerką.

Zamykałam oczy póki mogłam na mniejsze jego płochości, których nie widzieć, nie wiedzieć było można... ale dziś! zrobił to otwarcie, nie kryjąc się, w oczach wszystkich. Dodam, że na to używa mojego majątku, który korzystając z zaufania, obciążył długami, że moim groszem płaci swoje ulubienice... a gdy mu to wyrzucam, gdy wstydem okrywam, śmieje się i szydzi...

Obraz jakkolwiek pospolity, był straszny, i Wielica oburzył się słuchając córki, która niewstrzymanym potokiem wylewała przed nim swe żale.

— Nikt nie jest w stanie pojąć com wycierpiała! ile upokorzeń, ile ucisku, ile goryczy, ale dopókim sądzić mogła, że się poprawi, że go nawrócę... byłam cierpliwą...

— Cóż się z nim stało? — spytał ojciec.

— Zerwaliśmy zupełnie, wyjechał za granicę... odwołałam mu plenipotencją, ale miał czas porobić długi ogromne... Teraz między nami wszystko skończone i zerwane na wieki.

To mówiąc Ewelina spuściła główkę i zamilkła.

— Moje dziecię, — odezwał się Wielica, wiesz dobrze, żem w twojem małżeństwie najmniejszego nie miał udziału, żem mu był przeciwny... że nigdy wielkiego pojęcia o tym człowieku nie miałem, ale pozwól bym ci szczerze powiedział, że gdy raz to się stało, wzięłaś obowiązki żony i spełnić je do ostatka, jest twoją powinnością.

Ewelina podniosła nań oczy ciekawie i niespokojne.

— Żona jest aniołem-stróżem męża... jeżeli on błądzi, ona powinna prowadzić go na drogę poświęcając siebie, — nie może opuścić go ani się wyrzec nawet zbrodniarza... węzeł co ich łączy jest nierozerwany.

— Jakto? — z gorączkowem oburzeniem przerwała córka, — zawsze ma być ofiarą tylko kobieta?

— A jestże co piękniejszego jak być ofiarą? — zapytał Wielica.

— Ale są ludzie ofiary niegodni!

— Tem większe i droższe poświęcenie moje dziecię, a możemyż powiedzieć kiedy, że dusza którą zbawić mamy, niegodna ofiary?

Ewelina płakać zaczęła po cichu.

— Ale ja nie mogę powrócić do niego, on nigdy mnie nie kochał, nie pojął, ja potrzebuję współczucia, serce moje pragnie przywiązania, nie mam sił na heroizm, jestem pospolitą kobietą, słabą, nieszczęśliwą...

Mówiła to żywo i coraz szybciej, nareszcie głosu jej zabrakło, i po chwili dodała:

— Czyżby i własny ojciec miał mnie nie zrozumieć i potępił? chcecież mnie wydać na pastwę temu... temu bydlęciu?

— Ewelinko, — przerwał Wielica, — upamiętaj, się... uspokój — pamiętaj że nic nie może cię od obowiązków żony uwolnić!

— Jakto nie? przecież jest rozwód, możemy być swobodni; ja z nim żyć nie chcę...

— Rozwodu niema moje dziecię, rozwód jest tylko uznaniem nieważności małżeństwa, a nie wiem czybyś życzyła sobie, aby twa przeszłość okryła się plamą nieprawnego jakiegoś związku. Chrystus inaczej nas nauczył świętości tego stanu i wyniósł go do powagi sakramentu, dlatego że małżonkom wskazał wzajemne poświęcenie się i ofiarę jako cel żywota. Nie idzie tu o pozyskanie szczęścia, ale o dopełnienie obowiązku, który raz wzięty na ramiona, wśród drogi zrzucony być nie może. Cierpieć musimy, ale dźwigać.

— Więc chciałbyś mnie papa widzieć całe życie najnieszczęśliwszą?

— Nie, świętą i wielką niewiastą tylko — rzekł Wielica. — Twoje oburzenie przeciw Tylmanowi pojmuję, — dodał, — ale mów szczerze... czy nie przyczynia się do powiększenia go co innego?

Ewelina zapłoniła się cała, zmieszana w milczeniu pocałowała ojca w rękę...

— Nie chcę mieć przed tobą tajemnic, — rzekła, — byłam tak młodą gdyście mnie za mąż wydali.

— Nie ja przynajmniej, — przerwał Wielica.

— Tak, nie ty, kochany ojcze... ale babunia, nie znałam świata i własnego serca... ja kocham, ja kocham teraz pierwszy raz kogo innego...

— Milcz na Boga, — przerwał przerażony, ojciec, — ty nie masz prawa kochać! tyś żoną innego! to zbrodnia.

Ewelina pobladła.

— Jam się tego odrazu domyślał, — rzekł Wielica poważnie; — narzekasz na męża, lecz jestżeś mniej winna od niego? On pojechał za granicę z tancerką, ty na wieś z kochankiem.

— Zkądże wiesz?

— Wszak widziałem Edmunda! na Boga, cóż świat powie! potępi was oboje! potępi, i jemu prędzej wybaczy niż tobie, boś ty kobieta, istota która czystą być powinna, bo ją Bóg na anioła domowej strzechy stworzył, bo niepokalane imię jest jej jedynym skarbem.

— A! — zakrywając oczy, poczęła rozpłakna Ewelina, — innych słów spodziewałam się od ojca.

— Boś mnie nie znała wcale, — odparł Wielica, — dzieckiem porwano cię odemnie aby przerobić na istotę płochą i maluczką jakich świat potrzebuje dla zabawki, żyliśmy w dwóch cale odmiennych sferach, ty w odurzającym wirze, ja w spokojnych rozmyślaniach i poważnem milczeniu, patrzaliśmy na świat, każdy inaczej i z innego stanowiska... dziś ty we mnie szukałaś pobłażania, gdy ja ci go dać nie mogę, ja w tobie cnoty i hartu do których cię nie usposobiono...

— A! gdybyś ty go znał ojcze! — przerwała niebardzo słuchając sobą zajęta Ewelina, — gdybyś się zbliżył do niego, potrafiłbyś go ocenić! Co za wzniosłe uczucie, jaka dusza czysta, jaki umysł wykształcony, dobroć niewyczerpana... nie malujeż się to wszystko na jego twarzy? możnaż go znać i nie kochać?

— Wierzę w to wszystko, — zawołał ojciec, — pojmuję, że serce twoje czyniąc wybór, przywiązało się do godnego miłości człowieka, ale jest coś świętszego nad serca popędy... ważniejszego nad zaspokojenie własnych pragnień, to obowiązek, to cnota!

— Przecież nie posądzasz mnie ojcze, bym zeszła z tej drogi! — cicho szepnęła Ewelina bojaźliwe nań zwracając oko.

— Niech mnie Bóg broni, wierzę w czystość uczucia, ale najczystsze jest niebezpieczeństwem i grzechem.

— A! to okropnie! papa jesteś nieubłagany!

— Świat jest nielitościwy, a Bóg dając mu prawo, nie zrobił wyjątku dla nikogo...

— Więc chyba umrzeć! — płacząc zawołało rozpieszczone dziecię.

— Nie! ale spełnić do czego się zobowiązało przysięgą.

— Jeśli ten co nam przysiągł złamał sam przysięgę?

— Nie rozumiem w jakiby to sposób nas oswobadzać mogło? Czy przysięgając u ołtarza, kładziemy to za warunek? wszak nie... Płakać można nad słabością i grzechem towarzysza, ale zacóż go mamy naśladować?

Ewelina wstrzęsła się nagle i powstała mierząc oczyma Wielicę, który przyciągnął ją ku sobie i pocałował w czoło.

— Uspokój się dziecko moje, — rzekł, — a nie trać serca do mnie — mogęż ci powiedzieć inaczej jak myślę? chciałażbyś bym ci pochlebiał, radażbyś była upadkowi na chwilę wydającemu się szczęściem, a rychło mającemu przemienić w zgryzotę?

— Nie! ja nie tracę nadziei, że ty mnie uniewinnisz, że inaczej widzieć będziesz mnie gdy jego poznasz... nie potępiaj proszę! zaczekaj...

Wielica zamilkł i przez drzwi otwarte razem wyszli do ogrodu, ale biedny ojciec przybity był i osmucony.

W ulicy spostrzegli Edmunda, który chodził z cygarem i po chwili zbliżył się do nich śledząc niespokojnie skutków rozmowy z ojcem na zapłakanych oczach hrabinej. Po chwili nadeszły panna Teolinda i pani Litte,

a w ostatku przysunął się Herzog, którego talent dostarczył wątku trudnej teraz gawędzie osób co się pierwszy raz spotykały.

V.

Po tym wybuchu pierwszym, Ewelina unikała już starannie z ojcem drażliwego przedmiotu, znać było, że się w nim spodziewała znaleźć podporę i pobłażliwego sędziego, a omyliwszy się, żałowała może wyznań zbyt szczerych. Zawsze dosyć czuła dla Wielicy, ilekroć on sam zagadywał coś o tem, wywijała się ogólnikami, a towarzystwo otaczające ją niedopuszczało prawie, by się zostali sam na sam

Wielica czuł, że się go pozbyć pragnęli, ale przerażony niebezpieczeństwem córki, ustąpić nie chciał. Zbliżył się tylko do Edmunda i usiłował lepiej go poznać, aby wreszcie jemu się otworzyć i powiedzieć szczerze w jak fałszywem był położeniu.

Młody człowiek w istocie wart był tych pochwał jakiemi go Ewelina zalecała, — dusza czysta, umysł wzniosły, serce gorące, poetyczna wyobraźnia, wychochowanie staranne, czyniły go istotą niepospolitą i pociągającą. Ale obok tych przymiotów, były wady i niedostatki, króre wszystkim tym władzom rozwinąć się w całym blasku nie dawały, zagraniczne wykształcenie starło w nim zasady religijne i zastąpiło je pomysłami filozoficznemi, które łacno do potrzeb życia się stosując, kierować niem nie mogły. Wyrabiał sobie teorje do chwilowych fantazji, i posłuszny im, szedł gdzie go serce i namiętności prowadziły. Wielki zwolennik Emmersona, niemieckich postępowych moralistów, niczem nie określał swobody człowieka, i nie widział dla niej granic.

Poza tem życiem ciemno dlań było, i ledwie przypuszczał jakiś byt w formie nieokreślonej, między czynami człowieka a przyszłością duszy nie uznając ko-

niecznego związku. Jakaś mrzonka metempsychozy, stopniowego kształcenia się duszy migrującej po istotach i światach, była upodobaną jego ideą. Z chrześcjańskiej nauki wzięta miłość i pojęta mistycznie, ale po ludzku, wypełniała próżnię tego systemu, w którym na oślep błąkać się mogła wyobraźnia, nie opierając na żadnej trwalszej podstawie. Jakieś podania mgliste wieków, jakieś mrzonki filozofów, poetyczne wymysły i rojenia chorobliwego zachwytu, stanowiły dlań pewniki na których gmach cały budował.

Z taką nauką nie mogącą panować życiu, łatwo mu było to czynić co zapragnął, i uświęcić występek nawet wielkiemi słowy, których na małe namiętnostek sprawy nigdy człowiekowi nie braknie.

Pierwsze rozmowy tych dwóch ludzi, z których jeden był już doszedł do poznania prawdy powolną drogą pracy i cierpienia, drugi błąkał się jeszcze więcej woni szukając niż treści — były wzajemnem badaniem i rozpatrywaniem w sobie.

Edmund nie spodziewał się wcale znaleźć w ojcu Eweliny, ogłoszonym za prostaka, człowieka nauki głębokiej i wielkiego hartu duszy, myślał że błyszczącemi teorjami go zachwyci, a wpadł na tak dobrze oswojonego z historją myśli ludzkiej badacza, że mu nic nowego obcem nie było, bo w dziejach prastarych przeszedł co dziś świeżem się zdaje, świeżym tylko umysłom.

Może sprzeczność tych dwóch ludzi z których jeden pragnął co drugi już posiadał, obu dobrej wiary i prawego serca, sprawiła iż wzajemnie się podobali sobie, Pan Joachim polubił Troińskiego, Edmund przywiązał się do Wielicy.

Stary miał to pomiarkowanie, że zrazu nie uderzył całą siłą na przeciwnika, ale powoli i chłodno starał się tylko okazać, że niema nic nowego pod słońcem, a najbujniejsze kwiaty rozumu i wyobraźni kwitły już nieraz na ziemi.

Pierwszy to raz spotkał Edmund człowieka takiej siły, bo w świecie w którym się zwykle obracał, po-

wierzchownie wykształconych ludzi, miał się za niezwyciężonego. Właśnie jego systemata po tej próbie, wydały mu się słabszemi, nowość była ich najsilniejszą podporą.

Z innej strony Troiński nie mógł się nie podobać panu Joachimowi, który czuł że w głębi serca oplątanego ziemskiemi uczuciami był poryw wielki ku jasności i prawdzie.

Przebyli tak z sobą dni kilka usiłując poznać lepiej i przybliżyć, nareszcie jednego wieczora wśród samotnej przechadzki, Wielica przerwał obojętne rozprawy, i ujmując za rękę Edmunda, rzekł mu poważnie:

— Kochany panie, wiem że u was wiek i doświadczenie nie ważą, bo siłę uznajecie tylko w młodości, a nie cenicie tego co daje cierpienie długie, badanie i praca.... nie w imię więc wieku ani powagi, ale jak brat brata, pozwól bym cię zapytał szczerze i otwarcie jakie są wasze z Eweliną stosunki?

Młody człowiek zarumienił się mocno.

— Kocham ją, — rzekł stanowczo, wiem że mnie kocha wzajemnie, człowiek którego jej narzucono wcale nie godzien tej anielskiej istoty.... za cóż miałaby poświęcać się i cierpieć dla niego? Potrzeba zerwać te węzły już stargane przezeń, i....

— Wstrzymaj się, — przerwał Wielica, — pomyśl tylko.... Nie pytam cię dlaczego dobrowolnie na całe życie wyrzeczoną przysięgę uznajesz nieważną; ale powiedz mi; w oczach świata jakie jest i będzie położenie Eweliny?

— Cóż nam świat? co nas obchodzi wrzawa głupich ludzi?

— Ciebie, może ale kobietę z której zdziera zasłonę co ją życie całe okrywać powinna.... Jestli to miłość co żąda poświęcenia, a sama się na nie zdobyć nie może? Nie piękniejże byłoby pokazać choć uczciwe przywiązanie i skierować ją drogą obowiązku?

— Jakto? więc pan, ojciec, skazujesz ją na męczarnie i cierpienia?

— A pan na zgryzoty i spodlenie?.... Ja skazuję ją

na tę drogę którą poszła sama, ale się zobowiązała uroczyście dotrwać w niej do końca. Nie byłem nigdy za tem małżeństwem, innego pragnąłem dla niej, chciałem nie z waszego świata, płochego i niedającego żadnej szczęścia rękojmi, ale z ludzi pracy i poświęcenia dobrać jej towarzysza; wyrwano mi dziecię, rozporządzono niem mimowoli mojej.... ale ja ojciec winienem stać na straży, aby gdy szczęście niepodobieństwem, cnota przynajmniej została.

Edmund zamyślił się smutnie.

— Jesteśmy, — rzekł, — zbyt daleko od siebie w pojęciach przeznaczeń człowieka i obowiązków, byśmy się porozumieć mogli o znaczeniu jego czynności.

— Tak jest, — odparł Wielica, — ale to stanowisko na którem pan dziś jesteś, drogą tylko być może do tego na którem ja stoję.... cóż będzie jeśli rozporządziwszy swojem, i co gorzej, cudzem życiem wedle zasad dzisiejszych, zmuszony będziesz uznać się w błędzie i żałować?

— Nigdy!

— Któż wie! umysły tego rodzaju jak twój panie Edmundzie, przechodzą różne drogi w pogoni za prawdą, ale jej dościgają nakoniec.... Powiedz mi jeśli później sąd twój z moim się zrównoważy, jeśli swe życie pojmiesz jak ja — co będzie z uczynkiem dzisiejszym?..

Miłość jest największem uczuciem, ale jej mieszać nie potrzeba z prostą pożądliwością, miłość to ofiara.... a nie egoizm, ona prowadzić powinna to co kocha na wyżyny, nie w ciemną pieczarę jakąś aby pożreć tylko i nasycić się. — Ja także kocham córkę moją, i zapewne nie mniej od pana, ale pragnę właśnie dlatego widzieć ją wielką i świętą, nie słabą i upadłą.... Według mnie, wiesz Wpan cobym na jego miejscu uczynił? — odjechałbym na czas umyślnie, dając jej pomyśleć nad sobą i sercem powalczyć... bez pożegnań na wieki, bez dramatycznych rozstań co gwałtowne budzą żale. Kobieta, słabsza, cóż dziwnego że pójdzie gdzie ją powiedzie słowo serdeczne.... ale godziż się ją tam pro-

wadzić? — kochasz, więc wierzysz w trwałość przywiązania swego, oddal się i kochaj.

— Pan jesteś nielitościwy! — zawołał powtarzając słowa Eweliny Edmund. — Skazujesz nas z najzimniejszą krwią na męczarnie, dla jakichś konwencjonalnych ludzkich praw.

Wielica roześmiał się z politowaniem ruszając ramionami.

— To nie są prawa ludzkie; na małżeństwie spoczywa społeczność, jest wiele do zniesienia w tym stanie, ale ciężar jego nie zmniejsza obowiązku, czyni go tylko piękniejszym. Wy po ludzku chcecie szczęścia w małżeństwie.... a tu nie chodzi o nie, ale o ofiarę, i spełnienie powinności. Szczęście jest zabawką starych dzieci, cnota zadaniem dojrzałych.... największa miłość nie zapewnia szczęścia na dwa dni, a spełnienie obowiązku daje świętość, siłę i — spokój duszy.

Troiński spojrzał na poruszonego Wielicę i ścisnął jego rękę.

— Pan może nigdy nie kochałeś, — rzekł czulej, — może nigdy nie byłeś kochanym, nie wiem, ale wieszże co to jest opuścić tę za którą dałoby się życie, patrzeć na jej łzy, myśleć o jej cierpieniu, odpychać dłoń która z rozpaczą wołając ratunku i litości wyciąga się ku tobie. Gdzież siła aby to uczynić? człowiek siebie, przyszłość, wszystko oddałby aby jej jednę łzę oszczędzić!

— I niech poświęci przyszłość, życie, ja nic nie powiem, — odparł Wielica, — ale kochany przyjacielu, nie godzi się przez litość dla biednej istoty z nią razem lecieć w przepaście.

— A! nie rozumiemy się!

— Daruj! zrozumiesz mnie, bo masz zacne i szlachetne serce, a to ci wskaże po chwili rozmysłu, którędy iść i co począć. Wierz mi, pojmuję położenie twoje, wasze, boleję nad niem. Gdybyście byli wolni, dziśbym szczęśliwym się nazwał łącząc was i powierzając przyszłość mojego dziecka tobie, ale wyżej szczęścia obowiązek! Dziś zasiejecie tylko zgryzotę na

resztę życia.... które trudno dźwigać i bez tego brzemienia, cóż gdy z niem?

Długo jeszcze w ten sposób ciągnęła się rozmowa, a łagodności z jaką sobie postąpił Wielica, winien był może, iż Edmund mimo jego niewzruszonych zasad, nie unikał go, i coraz bardziej czując poszanowanie dla charakteru, zbliżał się do niego.

Opatrznem zrządzeniem wypadek ten, chwila w której przyszedł, stanowisko jakie zająć musiał pan Joachim, dziwnie na niego samego podziałały.

Widzieliśmy w jakiem usposobieniu wyjechał z Kaniowiec, jakiemi marzeniami sercie i umysł miał zajęty — choć sam nie przyznawał się przed sobą, kochał Adelę tą niebezpieczną miłością jesienną człowieka, który czepia się jej jak ostatniej deski wybawienia rozbitek. Zrazu ujrzał w niej niebezpieczeństwo, później potrafił sobie wytłumaczyć że obowiązany jest do walki, nareszcie uległ urokowi i musiał wpatrując się w głąb duszy, przyznać do słabości, która siwiejącej nie przystała skroni.... ale możeby usłużny rozum potrafił mu wystawić inaczej za późno przychodzącą namiętność, gdyby nie list Eweliny i pobyt u niej.. i z Edmundem rozmowy.

Dzieje tych biednych istot wcale do naszej nie należą powieści, przywiedliśmy z nich ustęp tylko, aby wytłumaczyć zmianę której uległ Wielica. — Każąc drugim o walce i zwycięztwie, mimowolnie zwrócić się musiał ku sobie i chłodniejszem okiem wejrzeć na stan swego serca i gotującą się przezeń przyszłość.

— A! stary niedołęgo, — mówił z goryczą do siebie,— jakiemże prawem mówisz drugim o poświęceniach i boju, gdy sam stoisz na brzegu rozdzielającym się od Bóg wie jakiej przyszłości, gdy stary rozmarzasz młodą głowę, której marzeniom nie wystarczysz, gdy dla urojonego szczęścia klamiesz przed sobą młodość i stawisz się w położeniu które jutro stać się może dla ciebie chwilowem szczęściem, a dla niej wiekuistym żalem?

Obraz uśmiechającej się Adeli, która białą swą drżącą podawała mu rękę, i patrzała nań z ufnością

dziecięcia, a czułością istoty potrzebującej współczucia, wprędce znowu rozwiewał te surowsze uwagi i rzucał w nierozwikłane łzy i nadzieje....

Ale pan Joachim i w sobie widział człowieka, a słabości których doznawał, śledził okiem starego lekarza nawykłego do symptomatów i niepobłażającego gorączce. Czas więc który przebył na wsi przy córce, z Troińskim, dla niego samego był ważnego przesilenia chwilą, — zajęty córką i Edmundem, musiał powiedzieć sobie, że powinien im dać przykład, że nie godzi mu się sięgać po szczęście niepewne poświęcając mu Adelę, która coś lepszego nad zwiędłe jego serce znaleźć powinna.

Z tem postanowieniem zbierał się powracać do Kaniowiec, wmówiwszy już w Edmunda, że na czas jakiś opuści Ewelinę choćby tylko dla oczów ludzkich i uniknienia niepotrzebnych posądzeń — gdy doszły go wieści z miasteczka tak dziwne, że im zrazu wiary trudno dać było. Opowiadano na wsi, że dziwnym wypadkiem Podkomorzanka od lat dwudziestu zaślubiona potajemnie komuś, a gwałtownie oddzielona od męża, znalazła go i przyznała zarazem swe dawne śluby i Adelę za córkę. Mówiono razem że mąż Podkomorzanki przeszedł dziwne losu koleje, był aktorem, mnichem, wędrował po wschodzie i przypadkiem dostał się do Kaniowiec nie wiedząc o pobycie swej żony.

Znając skłonność sąsiadów do tworzenia historji nie bywałych, pan Joachim ruszył na nią ramionami zrazu, ale gdy coraz dobitniej głosić o tem poczęto, zdjęła go w końcu ciekawość dowiedzenia się o ile to prawdą było, napisał więc do Szambelana z zapytaniem, a ten mu przez posłańca w następujący odpowiedział sposób.

VI.

Wielce szanowny panie Joachimie
Dobrodzieju!

„Na list jego z dnia 10. *praesentis*, spieszę odpowiedzieć kochanemu sąsiadowi, że i do wiary niepodobne rzeczy czasem się na świecie przytrafiają. Prawdą jest że Jmci panna Podkomorzanka którąśmy wszyscy mieli za osobę niezamężną, okazała się i zeznała sama poślubioną oddawna nieznajomemu człowiekowi, który jak *Deus ex machina* w Kaniowcach się zjawił, a dziś rewindykuje tytuł małżonka i dostojność ojca panny Adeli. Ten to jest dziki nasz nieznajomy dziedzic dworku pod krzakiem wirginji, który nas swą mizantropją i fizjognomją obłąkaną przestraszał. Dziś on znacznie przychylniejszym się stawszy, stawi śmiałe czoło ludziom i opowiada o swych podróżach po wschodzie i różnych na lądzie i morzu przygodach.

Jak sam łatwo pojmiesz, całe miasteczko nasze tym wypadkiem wzruszone, o niczem nie mówi jeno o nowem stadle, które po latach dwudziestu na resztki życia się zeszło, gdy oboje w oczekiwaniach tej szczęśliwej godziny, postarzeli i posiwieli.

Po kilkakroć miałem szczęście spotkać się z dawną naszą Podkomorzanką, a dziś panią Poroniecką i ciekawym jej małżonkiem, już to w ich domu, już w innych naszej uliczki, i nie mogę pojąć co tak gwałtowne przywiązanie do tego człowieka obudzić mogło; jest bowiem dziwak, dość opryskliwy i deklamator nieznośny.

Zrazu głucha wieść tylko szerzyła się u nas o niepodobnem do wiary małżeństwie, aleśmy wreszcie jawnie i oczywiście przekonani zostali, iż to nie było baśnią, gdy po mszy świętej na ich intencję mianej, małżonkowie pod jednym dachem wspólnie wieść życie poczęli.

Referendarz na jakiś czas wyjechał do Warszawy, a panna Petronella nam została; Malutkiewicz nie po-

trafił się nawet wydziwić temu co nas tu wszystkich w najwyższy sposób zdumiało, Oktaw jeszcze bawi, ale wkrótce napowrót do uniwersytetu się wybiera, a tymczasem studjuje serce ludzkie w dworku W. pani Poronieckiej...

Nie wiem czy panu dobrodziejowi wiadomo jest, że panna Adela wzięła się do wychowania znanej tu ze swej piękności dziewczyny, Anny, córki stolarza Prokopa, i pracuje nad nią wielce, poświęcając jej czas swój wszystek. Dzieło zaiste chwalebne, ale jak się powiedzie, trudno zgadnąć. To pewna, że już skutki wpływu JMPanny Adeli widoczne są na dziewczynie, która posmutniała, pobladła i śpiewać przestała.

Innych nowin nie donoszę, pragnąc abyś WPan, dobrodziej sam ciekawością zdjęty, do nas co najrychlej powrócił, gdyż nam go braknie bardzo i powrotu jego wszyscy mocno życzymy, ja zaś w szczególności kochanego sąsiada wyglądam i w nadziei zobaczenia rychłego, nie żegnam, tylko do widzenia, zostając z prawdziwym szacunkiem i t. d.

Mamert Alexy z Wędżygoła
Poraj Wędżygolski
S. D. J. K. M.

List ten, jakkolwiek zawarte w nim nowiny i po Szambelana zapewnieniach potwierdzenia potrzebowały, mocno zastanowił pana Joachima i na chwilę go jakoś zasmucił; obudził on wspomnienie Kaniowiec, chęć powrotu, ale obowiązek kazał pozostać przy córce i Wielica nie myślał nawet unikać spełnienia go.

Potrzeba było naprzód nakłonić do odjazdu Edmunda co nie mało go kosztowało, potem wybuch żalu pieszczonej Ewelinki wytrzymać, wreszcie w dość niedobrem towarzystwie trudno ją było zostawić. Panie, które jej towarzyszyły na wieś, piękna Teolinda co wiek cały spędziła usiłując przywabić kogoś i w nieustanne plącząc się intrygi miłośne, głowę i serce niemi tylko miała zajęte, pani Litte niegdyś bohaterka romansu, dla której nieszczęsny jeden głupiec w łeb

sobie strzelił, nawet fotepianista Herzog, który wygodnie na wsi odpoczywał, wszyscy razem podżegali Ewelinę, pochlebiali jej i zamiast hamować aż nadto skłonne do ofiar serce, uprzejmie rodzącemu się przywiązaniu dopomagali nie widząc w niem nic zdrożnego. Dwór ten naturalnie uznał pana Joachima tyranem zimnym, ojcem nielitościwym, gadułą nudnym, i gdyby nie poczciwość Eweliny, nie wyższy umysł Edmunda, skończyłoby się może na wygnaniu Wielicy.

Fdmund wszakże uznał potrzebę wyjazdu, pożegnania były łzawe i rozpaczliwe. Teolinda nie mogła już patrzeć na pana Joachima, Ewelinka się rozchorowała, i po odjeździe Troińskiego żałoba i smutek okryły dwór cały. Jedyną pociechą opuszczonej, zostały listy, które Edmund od pierwszej stacji pisać począł, a tym na przeszkodzie stanąć nie mógł troskliwy ojciec.

Całe towarzystwo kobiece przy wielkiej na pozór gorliwości religijnej, najmniejszego ducha religijnego nie miało w sobie, i ojciec pragnący córkę uleczyć, począć musiał od katechizmowania jej powoli.

Okrzyczano go tedy fanatykiem...

Położenie jego w tym domu wcale nie było do zazdrości, ale obowiązki wielkie i święte, zmuszały dostać placu. W takich to położeniach trudnych rozwija się człowiek i podnosi.

Szczęściem dla pana Joachima nadspodziana okoliczność uwolniła go od trudnego zadania w chwili, gdy o niem prawie rozpaczać zaczynał. Hrabia Tylman, który wyjechał z tancerką na gody, znalazł zamiast nich śmierć przedwczesną na kolei żelaznej między Bruxellą a Paryżem. Pociąg w którym jechali, spotkał niespodzianie z przeciwnej strony idącą lokomotywę, a w strzaskanych przednich wagonach między pięćdziesięcią osobami silnie rannemi i zabitemi, znalazł się właśnie nasz podróżny i jego towarzyszka niebezpiecznie okaleczona. Tylman został prawie na miejscu... i nie żył nad kilka godzin.

Wieść o tem doszła Ewelinę jak piorun niespodziewana i przerażająca, i oddać jej potrzeba sprawiedli-

wość, że zapłakała nad niewiernym małżonkiem, choć serce jej może swobodniej uderzyło nazajutrz do nowego życia. Sama ona wymogła listem na Edmundzie, żeby na czas żałoby się oddalił, błagając go tylko, by nie jeździł koleją. Przyszłość uśmiechnęła się jej znowu, a pan Joachim gdy przyszła godzina rozstania z córką po żałobne fioki zmuszoną wracać do Warszawy, ze łzami żegnając i błogosławiąc, długą rozmową i radą poważną pokrzepił. Nie śmiał on odrywać od niej przyjaciółek w jego przekonaniu niebezpiecznych ale z lekka nadmienił wdowie, że lepszeby mogła dobrać sobie towarzystwo...

Gdy podróżny powóz hrabinej niknął w kłębach kurzu na gościńcu, Wielica smutny siadł na swą ubogą bryczkę i do miasteczka napowrót odjechał.

VII.

Kilka tygodni czasu wielkie sprawiły zmiany, i gdy po powrocie swoim do miasteczka, Wielica niespokojny pospieszył do dworku Podkomorzanki, zastawszy ją na progu siedzącą samą jedną wypadkiem, zdziwił się znajdując wesołą dawniej sąsiadkę, głęboko zamyśloną i tak zatopioną w sobie, że przybycie jego nierychło spostrzegła.

— A! to pan, kochany mój sąsiedzie! — zawołała uśmiechając mu się wesoło i smutnie zarazem — już musisz zapewne wiedzieć co za cuda tu u nas zastajesz, a mianowicie mnie, którąś porzucił starą panną bez nadziei pójścia za mąż, nagle poddeptaną i niemłodą jejmością? Ale radabym ci zarazem i męża mojego przedstawić, który choć może z początku się niepodoba, bo to człowiek skołatany życia wypadkami, powinien być twoim przyjacielem... Ty jeden go tu

może ocenisz i będziesz dlań wyrozumiały i pobłażający.

— Jakże się nie mam zdumiewać, kiedy mi pani sama powtarzasz tę nowinę nie do wiary, która już na wsi mnie doszła.

— Dziwuj się jak chcesz, a nie potępiaj, kochany panie Joachimie. Powiem ci po cichu, jak staremu przyjacielowi, że dziwnie mnie moje szczęście nowe, mnie samą co ci to mówię, zdumiewa i ogłusza.... Módz uścisnąć dziecię i nazwać je tem słodkiem imieniem, posłyszeć od niego nazwisko matki... po latach wielu podać dłoń temu co cierpiąc za nas dotrwał nam wierny do końca... a! na takie szczęście sił potrzeba!

Westchnęła Podkomorzanka.

— Adela jest u siebie — dodała — ale gdyby wiedziała żeś pan przyjechał, jużby tu była pewnie, tak niespokojne byłyśmy o pana... a Parol jego tak tęsknił... przynajmniej jak my... Ale mówże nam o sobie?

I poczęła się długa rozmowa, ale oboje mimo zapewnień wzajemnych szczęścia, wzdychali i byli smutni, a pan Joachim niedoczekując się Adeli, odszedł do księdza Herderskiego.

Nie przeczuwał on zapewne że i w Adeli wielką znajdzie zmianę i usiłował oddalić się od niej, znowu pochwycony myślą niebezpieczeństwa jakie mu zagrażało; jakie jej mogło grozić od niego.

Na probostwie znalazł świat wielki jakiego się nie spodziewał i wieczorek proszony, któremu już asystował Szambelan, pan Poroniecki i Oktaw, nie licząc miejskich urzędników i Malutkiewicza, który w kątku jakąś łacińską książkę wertował.

Wszyscy go otwartemi przyjęli rękami, a mąż Podkomorzanki przystąpił doń starając się okazać mu uczucie przyjacielskie. Na niego naturalnie z ciekawością największą zwróciły się oczy przybyłego, potem na Oktawa, który dość smutny i pogrążony w jakichś młodzieńczych dumaniach siedział w kątku. Przerwany na chwilę wist, odciągnął znowu graczy, a pozostali rozmawiać poczęli o obojętnych przedmiotach. Szam-

belan, który wychodził z gry, odciągnął wprędce pana Joachima.

— Otóż patrz asindziej, co się tu u nas dzieje.... nowy świat — rzekł — człowiek nie wie, na którą stąpić nogę. Tego przybłędy niby to męża naszej Podkomorzanki, ja cierpieć nie mogę i z tem się nie taję... patrz co za spojrzenie, kto wie co on robił na świecie i czem się zabawiał... nie najlepiej mu z oczów patrzy!...

Pan Joachim się uśmiechnął.

— Mów co chcesz, a ten przybysz dla nas wcale nie pożądany, dom Podkomorzanki, ona sama zupełnie zmieniona, smutna, zadumana, pogrążona... ja szczerze przyznaję, że się go boję. Mało mówi, a gdy się odezwie, to narzeka i szydzi, przywykły znać do biedy, nie może się ze szczęściem oswoić. Fatalny nawet wpływ już wywarł na Oktawa, którego ja nie pojmuję, dzieciak spochmurniał także, chodzi z głową zwieszoną.

— Kochany Szambelanie, czy się tylko nie uprzedzasz przeciwko niemu?

— No! no! sam osądzisz!

Wielica mało mógł jednak wnioskować z pierwszego zbliżenia, ale nie uszło jego oka to, że Poroniecki zupełnie obcy zwykłemu spokojnemu towarzystwu, przyzwyczajony do innej klasy społeczeństwa, z ciężkością się w nowem kole obracał. Zdawało się jakby się obawiał wszystkich i niedowierzał otaczającym, a mowa jego często przechodziła w słowa ostre i szyderstwa niespodziane. Ksiądz Herderski, który już bliżej się z nim poznał, nieustannie go powagą swoją miarkował i na właściwszą sprowadzał drogę. Z przeszłości pozostała szorstkość jakaś, czyniła Porонieckiego trudnym w towarzystwie człowiekiem.

— Biedna Podkomorzanka! — rzekł w duchu przybyły — i dla niej resztki życia są pokutą za przeszłość, a oczekiwane szczęście może się stać ciężarem!

Po chwili skinąwszy na Oktawa, który tu nie miał zajęcia, Wielica wyszedł z nim razem.

— Coś i ty mi — rzekł do niego kierując się przez rynek do uliczki swojej — nie najlepiej wyglądasz, posmutniałeś, zdziczałeś, co ci jest, mów mi szczerze.

— Ale nic — odparł młody chłopak — może mimowolnie czuję zbliżanie się chwili odjazdu, a zawsze mi ciężko opuszczać Kaniowce.

— Poznałeś bliżej Poronieckiego?

— Jestem z nim bardzo dobrze — odpowiedział Oktaw.

— Mogę cię spytać jak go znajdujesz?

— A będęż ja miał odwagę sądzić o człowieku po niewielkiej liczbie godzin jaką z nim dotąd spędziłem?

— Nie pytam się o sąd, ale o wrażenie twoje.

— Zdaje mi się złamaną i biedną istotą, dla której mało co pozostało na ziemi; długie cierpienie zabiło w nim władzę używania nawet maluczkich przyjemności powszednich. Tak przywykł do gorączki i nieszczęścia, że w spokoju zdaje się ich szukać, wyglądać, przeczuwać...

— Ale dziś błogi wpływ Podkomorzanki, — rzekł pan Joachim.

— Należałoby się spodziewać — dodał Oktaw. Zresztą dusza poczciwa, serce dobre, ale wystaw pan sobie więźnia, któryby po dwudziestu latach męczarni powrócił do spokojnej strzechy z której go wyrwano; zawsze na jego rękach zostanie blizna od kajdan, na czole marszczka od troski.

— A Podkomorzanka?

— Ona pracuje nad jego szczęściem, a o swojem nie myśli. Adela i on, to dwa życia jej cele. Obie kobiety z tem większą troskliwością obchodzą się z nim, że nagrodzić by mu chciały co w przeszłości przebolał... ale...

— Mów otwarcie.

— Nie wątpisz pan, że szanuję wysoce człowieka, który godnie cierpieć umiał, a dla mnie jest przyjaźny i serdeczny, ale nie mogę dziś powiedzieć by to

nowe stadło po latach tylu rozłąki, miało tem być czemby się stało może pracując na harmonją umysłową i serdeczną... Podkomorzanka i jej mąż wcale odmienne mają obyczaje, pojęcia, formy, a Poroniecki zawsze się wydaje upiorem z innego świata.

— Inaczej też być nie mogło — odezwał się Wielica.

Oktaw chciał mówić coś jeszcze, ale zamilkł postrzegłszy się w porę, że nie swoję by był wygadał tajemnicę. O owem bowiem marzeniu skarbu zakopanego w ruinach klasztoru, jemu się tylko jednemu zwierzył Poroniecki, a nawet w chwili rozpoczęcia nowej życia epoki, myśl dobycia jezuickiego lochu nie opuszczała go i niepokoiła.

— A panna Adela? — zapytał Joachim spoglądając na Oktawa.

— Zawsze tak cudna i anielska istota jakąś ją pan tu widział wprzódy, zawsze taż sama. Zbliżenie się do niej, poznanie bliższe nie ujmuje, powiększa dla niej szacunek i uwielbienie.

— Daleko już w nich zaszedłeś? — spytał przybyły wesoło.

— Ja? powiększyć się nie mogło co odrazu było największe — odpowiedział Oktaw spuszczając oczy. Aniołów się nie poznaje, one się objawiają odrazu.

VIII.

Zbliżając się do dworku Żelizów, rozstali się z sobą przechadzający, a Oktaw zamiast powrócić do domu, powlókł się zatopiony w myślach znowu ku murom jezuickim zwykłej swojej przechadzce.

Wieczór jesienny cichy był i majestatyczny, liść suchy z drzew opadły szeleściał już pod nogami, a dymy miasteczka i wonie pól zżętych swobodnemi stru-

mieniami płynęły w powietrzu. Gdzieniegdzie wśród pożółkłej trawy wykwitał obałamucony ciepłem kwiatek nieostrożny w drugą uwierzywszy wiosnę; na drzewach zwarzonych lekkim mrozem zielone liście okrywały się najrozmaitszemi barwami kolorującemi malowniczo lasy oddalone. W ruinach pusto było i cicho, świegotały tylko wróble i stado kawek z krzykiem obsiadało kopułę kaplicy na której obrały sobie siedlisko.

Niekiedy w głębi murów olbrzymich niewytłumaczony szelest i stuk, zwiastował że i tam już zwierzęta zajęły miejsce ludzi, gospodarząc swobodnie na zwaliskach.

Oktaw szedł oglądając się jakby żegnał te miejsca które dlań były wspomnieniem zarazem drogiem i przykrem; zatrzymał się przy złomie muru pod którym przebyli ulewę, potem ścieżką wązką puścił się na polankę ku mogile i opuszczonej chacie strażnika.

Gęste zarośla leszczyny, przez które przechodził opadłe z liści, smutnie teraz stały z nagiemi i połamanemi gałęźmi, gdzieniegdzie puste dźwigającemi gniazdeczko. Goście tych gęstwi opuścili je z liśćmi, i polecieli szukać cieplejszych kryjówek lub jaśniejszego nieba.

Wychodząc na pólko, Oktaw drgnął widząc w progu chaty siedzącą postać białą w której poznał Andzię. Trochę już dawno się nie widzieli, a biedne dziewcze tak było zamyślone i smutne, że przychodzącego nie rychło dostrzegło.

Szelest kroków zdradził Oktawa, Anusia podniosła głowę, spojrzała, ale nie podbiegła ku niemu i pozostała tak nieruchoma z wlepionemi w niego oczyma.

— Dobry wieczór moja Andziu! — rzekł dosyć chłodno ale z wyrazem niepokoju przybywający.

— Dobry? ja nie wiem! powinien by być dobry kiedyście przyszli do mnie, ale na duszy mnie nie dobrze, wcale, — chora jestem... smutna...

— Co ci jest? powiedz, — odezwał się siadając przy niej chłopak.

— Albo ja wiem! czuję się inną i dziwuję sobie... Dawna Andzia dzika i pusta, i nowa którą uczą pokory, skromności, posłuszeństwa pogodzić się z sobą nie mogą. Jakże chcecie? kilkanaście lat byłam czem mnie Bóg stworzył, a dziś każą mi zostać inną... tak nagle, tak dziwnie inną... w głowie się pomieszało! Tyle mi rzeczy razem powiedziała panna Adela... kochać, nie wolno, śmiać się nieprzyzwoicie, chodzić samej niebezpiecznie, patrzeć nawet na mężczyzn trochę grzechem... a wciąż pracować, a zawsze się modlić!... nie! ja tego życia nie rozumiem...

I powoli głowę pochyliła na ramię Oktawa.

— Zkąd chcesz weź życie, — odezwała się pocichu, — zawsze ono tak nie do rzeczy jak było... wolałabym była zostać jak mnie stworzył Pan Bóg i wykołysał duch matki, teraz jestem gorzej niespokojna i może nieszczęśliwsza. Przynajmniej miałam tę pociechę, żem sobie szydziła z ludzi, z siebie, z całego świata, a dziś — i tego nie wolno...

— Prawdziwie, nie poznaję cię Andziu, — rzekł Oktaw.

— A! a! boście też długo nie przychodzili tutaj, a ja codzień... codzień i zawsze na próżno... i stęskniłam się okrutnie. Co z tego mojego kochania, — dodała powoli, — nic — nic... wy mnie nie możecie kochać nigdy... ja to widzę i nie chciałabym w to uwierzyć i muszę.

— Zkądże to znowu?

— Mam oczy dobre... i jestem zazdrosna, śmiejąc się boleśnie odezwała Andzia.

— Zazdrosna? o kogóż?

— Nie domyślasz się paniczyku?

Oktaw zapłonił się w ciemności.

— Tak! tak! a gdybym na was nie patrzała zbliska, przeczułabym zdaleka... i jakże mnie biednej stanąć obok niej! O! nie! nie! to darmo.

To mówiąc zamilkła i łzy potoczyły się po jej twarzy.

— Śni ci się Andziu, nie wiesz co sama — przerwał chłopiec, — jakżebym ja mógł pomyśleć o niej?

— Człowiek jak drzewo zawsze strzela do góry, — odpowiedziała Anusia, — ja ku tobie, ty... ku niej... bijemy się ku słońcu, oboje może daremno. No! tobie jeszcze choć pomyśleć można, a Andzi?.... Ja dla was zabawką tylko... gorzej, może już ciężarem...

Oktaw był milczący.

— Któżby się do ciebie nie przywiązał, — rzekła po chwili, — zkąd ci te myśli dziwne... ten smutek niepotrzebny?

— Zkąd! ot tak, wiatr je nosi po polu, — odezwała się smutno. — O jednych się obije i nie przejdzie do głębi, drugim do środka się ciśnie. Wy jedziecie, a pytacie się czemum smutna?

— Ale powrócę, — rzekł chłopiec.

— Kiedy? i jakim?... do panny Adeli możecie posłać pismo, do mnie... nie zamarzy się wam nawet... Czemu wy tam tak często przy niej, co wy jej tam czytacie? na co patrzycie jej w oczy? co szepczecie ze sobą... na co ona mnie was odbiera, — coraz żywiej poczęła Andzia, — mało jej świata? ja mam jednego i tego mi chcą wyrwać! Ale ja nie dam!

I wstała podnosząc zaciśnioną rękę do góry.

— Co ci się dzieje Anusiu! — rzekł przestraszony Oktaw, — zkąd ten niepokój nagły? dlaczego mi nie wierzysz?

— Bo patrzę i mam oczy! a ona straszna... kogo zechce oplącze słówkiem i wejrzeniem, umie spojrzeć i mówić i milczeć... ja tylko gniewać się potrafię i męczyć...

I zamilkli oboje, a dziewczyna znowu przybliżyła się ku niemu i głowę zwiesiła na jego ramieniu.

— Nie prawda? — spytała, — szalona jestem! toż to może ostatnia w życiu godzina, a ja sobie ją truję i was męczę! poco myśleć o tem, co poza nami i gdzie daleko? Jutro... no... to się umrze i wszystko zapomni, a dziś jeszcześ ty mój paniczu!

I objęła go rękami z czułością.

— Jakbyś ty chciał a pozwolił, jabym tam poszła za tobą gdzie ty pójdziesz? Ja się nie boję ani wielkiego miasta, ani ludzi, ani drogi dalekiej.. Jestem prosta dziewczyna i wytrzymam słotę, zimno, głód, a ludziom umiem się obronić.

– Cóż za myśl szalona... cóżby powiedzieli?

— Ludzie! niechby sobie gadali na mnie... Ale prawda, — dodała, — na was! nie chcę!! nie! trzeba tu zostać i schnąć powoli... i tak żyć jak się żyło dawniej lat tyle...

— Inaczej Andziu! — przerwał Oktaw — potrzeba się uczyć, modlić i wierzyć mi... a być spokojną.

— Jacyście wy wszyscy spokojni!! uśmiechnęła się dziewczyna, — prawda, na was patrząc, pomyślałby kto żeście szczęśliwi, że wam nic nie dolega, że nieznacie ucisku serca i nie bijecie się z sobą... nauczyli was z młodu wszystko w sobie chować i nic nie pokazywać... ale ja tego nie umiem i nie potrafię... kłamać nie chcę i nie będę... jak mi się na łzy zbierze to płaczę, jak na śmiech to szaleję, i nikt mnie nie przerobi...

— Kto wie, — odezwała się po chwili, — jak wy pojedziecie, ja tę naukę porzucę, mnie to nudzi i męczy. Panna Adela dobra, serdeczna... ale i jej nie cierpię... lękam się... i... mówić z nią jak chcę nie mogę szczerze, ani płakać, boby się śmiała z szalonej Andzi.

— Więc cóż poczniesz?

— Co? znowu swobodna sobie pójdę błądzić po miasteczku, śmiać się, drwić z ludzi i biesić ich jak się wystroję, żeby się patrząc wściekali...

— Doprawdy, nie poznaję cię, — przerwał jej Oktaw, — byłaś już spokojniejszą i lepszą, a dziś?

— Dawny giez mnie ukąsił, nieprawda? łzy z oczów płyną, serce się krwawi, na śmiech szalony się zbiera? wszystkiemuście wy winni! Po co tam chodzicie, a patrzycie na nią, a modlicie się do niej wzrokiem jak nigdy do mnie. Patrzałam nieraz przez szparę, jak wy przed nią stoicie... tam to widać kochanie, a ze mną bawicie się jak z pieskiem... i rzucacie jak pieska.

I znowu się na łzy zebrało biednej dziewczynie, ale je otarła fartuszkiem żywo i chmurne wejrzenie Oktawa przestraszyło ją.

— Nie! nie! nie słuchaj, — rzekła, — niewiedzieć co plotę! żartowałam z was... chcecie bym była wesołą, zaśpiewam, potańcuję, tylko nie tak patrzcie na mnie i nie tak mnie żegnajcie chłodno... powiedzcie mi dobre słowo, to je sobie schowam i nosić będę do waszego powrotu.

— Cóż kiedy mi nie wierzycie, — rzekł Oktaw zmieszany — prześladujecie mnie Adelą... wymawiacie co nie jest... sam nie wiem jak cię przekonać.

— Już to źle kiedy słowami przekonywać potrzeba, — przerwała Andzia, — jabym po oczach poznała, gdyby co w sercu było... Macie trochę litości, a zresztą... miło wam przytulić się do Andzi, bo komuż nie słodko jak go kochają, ale...

— Nie wierzysz?

— Nie wierzę! nie!

— Cóż ja na to poradzę!

— Wy! nic! a Pan Bóg chyba!

Łzy, wymówki, zgoda i znowu wyrzuty, mieniały się tak w tej rozmowie dziwnej, a wiecznie jednej od tylu lat tysiąców. Poznał Oktaw, że biedne to serce dręczone było zazdrością, która co chwila wybuchała, a sił nie miał by ją rozprószyć, bo w duszy czuł się winnym.

W istocie, zbliżenie się do Adeli odrodziło w nim naprzód uwielbienie dla niej, potem tę miłość czystą i wielką, która raz tylko w życiu jaśnieje i wedle piersi na jaką padnie, jest jak owe ziarno prypowieści wyrastające na drzewo rozłożyste lub ginące marnie. Na chwilę Oktaw dał się był uwikłać uściskowi Andzi i namiętności jaką w nim wzbudziła, ale tracąc ją z oczów, wracał do jaśniejszego obrazu Adeli, klękał przed nią w ciszy serca.

Gdybyśmy policzyli ile w życiu przechodzimy kolei różnych, nim staniemy na drodze, którą później lub przywiązanie lub nałóg nas pędzi... ileżby niedonoszonych uczuć i

w zarodku umarłych myśli złożyło się na żałobny ów różaniec! Probujemy na wszystkie strony — zaglądamy w serc wiele, ważym, słuchamy, często postępujemy kilka kroków i niewiedzieć dlaczego stajem lub zwracamy się wstecznie. Ze straconych chwil takich składa się większa życia połowa.... młodość szafuje niemi, i drze te próby nakreślone niedbale, na starość już człowiek nie ciekaw i idzie prosto gościńcem nie zwracając się na boczne ścieżynki.

Oktaw był jeszcze w tej życia porze, w której sam urok nowości pociąga na wszystkie strony, — żałował stracić Andzi i nie chciał się wyrzec ideału Adeli, a przypadek zasiał w nim jeszcze jedno uczucie niezdrowe i trawiące, obudzając chciwość.

Spowiedź Poronieckiego, opowiadanie jego o skarbach pojezuickich, przemówiły do wyobraźni młodego chłopca, i powlokły za sobą całe pasmo marzeń niedorzecznych. — Dotąd opierał się na pracy, teraz począł myśleć o bogactwie które mu przyjść miało jako dar nieba i wykupić życie od trudu. Chodziło tylko o to, by znaleść ów mur ukryty w gruzowiskach, przebić jedną ścianę i zdobyć nieużytecznie leżące stosy srebra i złota. Chorobliwie i gorączkowo marzył o tem Poroniecki i zaraził tego, którego młodość obrał sobie za pomocnika i spólnika.

Biedny Oktaw, któremu dotąd życie płynęło bez wielkich wzruszeń, na progu prawie z dzieciństwa wychodząc, znalazł się opanowany zarazem miłością Andzi natrętną i dziką, urokiem Adeli i marzeniem bogactw, które nań spaść miały. Silniejszego by to zwichnęło, cóż dziwnego że wątła istota nie wiedziała gdzie się obrócić i co począć z sobą.

Gdy po owej schadzce wieczornej cały jeszcze przejęty i rozdrażniony powrócił do spokojnego dworku, a staruszka matka całując go w czoło przyszła go w progu powitać, tak był dziwnie nie swój i pomięszany, że to oka matki nie uszło.

— Co ci jest? — powiedziała po cichu.

— Nic... tak... nie czuję się zdrów, a wkrótce odjechać potrzeba.

— Oj nie! nie! moje dziecko, — potrząsając głową odpowiedziała matka, — my na ciebie patrzemy bacznie, tyś nie swój, niespokojny...... a nic nie mówisz przed nami.

Stali na progu alkierza w którym stary Żelizo siedział sparty na poduszkach w swojem łóżku z głową na piersi spuszczoną. Ręce jego machinalnie przebierały różaniec, a usta modliły się po cichu.

Stary przeżegnał się po chwili i wyciągnął dłoń wychudłą do syna.

— Chodź tu dziecię moje, — rzekł łagodnie, — zbliż się do mnie, rzadko teraz jesteśmy z sobą..... potrzebuję pomówić. Tyś mi nie swój — dodał, darmo byś chciał to wytłumaczyć, znać w poczciwej i nieumiejącej kłamać twarzy jakąś walkę ciężką..... komuż lepiej jak ojcu zwierzyć się możesz, kto lepiej ci życzy? Nie obawiaj się surowości mojej, człowiek co żył i był ułomnym, zaboleje, przebaczy ale zrozumie i pocieszy. Wiem że każda spowiedź jest zbawienną. Pojmuję żeś musiał zetknąwszy się ze światem stracić spokój dziecięcy, tysiąc rzeczy wabi, pociąga, obiecuje, a wybór trudny i napój nienasycający..... mów Oktawie, ja cię pewnie nie potępię, a będę przynajmniej wiedział jak się do twego Anioła stróża pomodlić?

W innej chwili możeby fałszywy wstyd zamknął usta synowi, ale wzruszony był, przejęty, — cierpiał i potrzebował się wylać, gdy matka odeszła powoli powodowana instynktem jakimś; gdy stary Żelizo powtórzył mu: mów, raz jeszcze, Oktaw się rozpłakał i począł szczerą spowiedź przed ojcem.

Przywykły był dawniej nie mieć przed nim tajemnic, i lżej też mu było wypowiedzieć dziś choć się rumienił za to co w jego sercu się działo.

Żelizo słuchał spokojny, łagodny, zamyślony i brew tylko siwa zawisła mu nad nabrzmiałą od łez powieką. Miłość Andzi, urok Adeli, nawet marzenia o skarbach Poronieckiego, wyspowiadał przed ojcem, który

mu słowem nie przerwał opowiadania. Jak dziecię przytulił się do piersi ojcowskiej, i kryjąc oczy szeptał do dna wyczerpując dzieje swoje młodzieńcze.

I była chwila uroczystego milczenia, po której stary z uniesieniem ręce podniósłszy do góry, syna w czoło pocałował.

— Nie gniewasz się mój ojcze? zapytał Oktaw.

— Nie... cieszę się, — zawołał stary, — bo ten co dla starego ojca niema tajemnic i nie wstydzi się powiedzieć co myśli, ma w sobie siłę która go w życiu od wiela zła obroni. Cieszę się twojem wyznaniem, choć smucę pokusami których doznajesz, boś za młody jeszcze aby o swej sile im podołać. Ale ufam Bogu że cię wesprze i podtrzyma.... boś wart jego łaski. Porzuć naprzód owe chorobliwe o skarbach marzenie, które gdybyś i zdobył, jakże czystem sumieniem używać ich potrafisz? Możeż człowiek posiadać uczciwie czego niezapracował, co nie zapracowano dla niego, a na inny cel przeznaczono pierwotnie? W mojem przekonaniu nawet zdobywszy skarb, byłbyś tylko jego stróżem i przechowawcą, grosza z niego tknąć by się nie godziło, pocóż sobie kupować niepokój i głowę zaprzątać dziecinną jakąś zabawką? Twoja Andzia szalona..... to szatan młodości co chce byś w kilku dniach pożarł przyszłość i zgubił duszę! Nie mówmy o niej, uciec od biednej jedyny środek, walczyć daremnie. Taka miłość wyczerpuje życie i zabija.... Nie winię cię żeś podniósł oczy na pannę Adelę, żeś w niej uwielbił wyższą istotę, ale jestli towarzyszka życia dla biednego jak ty chłopca który wszystko zdobywać musi i walczyć ze wszystkiem? Podkomorzanka szukać będzie dla niej innego męża, a miłością kupisz sobie tylko daremną męczarnię. Ta wasza miłość, — dodał stary, — której teraz pełno w książkach i po ustach ludzi, nie dla nas biednych i ubogich którym dość Pana Boga i bliźniego kochać, a na czułości i rozpadania się serca i czasu nie staje.... Świeci się to w początku życia i zdaje morską latarnią, a to błędny ognik co po morzu pływa i na skały prowadzi.... Zresztą gdzie uczucie

czyste, tam zła nie widzę.... i nie chcę.... słowem nawet dotknąć podraźnionego serca twojego.... Tobie ztąd jechać potrzeba, — dodał stary, — powrócić do pracy i trybu zwykłego życia..... zamęczysz się biedaku tu z nami. Ciężko mi rozstać się z tobą, bo dla mnie każda rozłąka grozi tem że może być ostatnią, ale dla twego dobra i spokoju potrzeba ci jechać, trzeba się oddalić.... orzeźwić nauką i modlitwą.

I przycisnął znowu syna do piersi, a po chwili tak mówił jeszcze:

— Nie! nie zmarniejesz mój jedynaku kochany, Bóg cię pobłogosławi jak ja z łoża boleści błogosławię krzyżem świętym, bądź spokojny, otrząśnij się z troski próżnej, wróć do nauki i pracy, a mary te czcze rozwieją się i przepadną.

Życie nie jest zabawką i ucztą weselną, jest przysionkiem świątyni w którym przygotowujemy się wnijść do przybytku pańskiego.... niech w nim kupcy frymarczą, a gracze kości rzucają jeśli chcą, my wdziewajmy szaty świąteczne, obmywajmy się z prochu podróży i namaśćmy wonnościami, aby gdy podwoje otworzą, gdy próg przestąpić przyjdzie, być w gotowości stanąć przed arką w bieli, z czystemi usty i rękoma. Lata długie przechodzą jak oka mgnienie, spytaj mnie com je przebolał w zamknięciu, samotności i chorobie, a jednak wczoraj mi się zdaje co daleko poza nami zostało i ani wiem jakom spożył dni tyle.

Na te słowa pocichu weszła matka, a daleki dzwon kościółka zwiastujący Anioł pański, przypomniał chwilę modlitwy wieczornej i Oktaw po staremu ukląkł wraz z rodzicami przejęty, spokojniejszym się czując jakby brzemię wielkie spadło mu z piersi.

Stary Żelizo płacząc się modlił, a wielka wiara nawet w chwili niebezpieczeństwa dla jedynego dziecka, dawała mu pokój wewnętrzny.

IX.

Dwoje ludzi których los na długo rozłączył i pchnął drogami różnemi, gdy się spotkają znowu, muszą w imię pamięci jak nowi sobie, rozpoznawać się wzajemnie i badać by przystać do siebie. To co w nich dawniej było i pociągało ku sobie, czasem rozwija życie, niekiedy zaciera; zarody niewidoczne wyrastają, wreszcie sam wiek nowemi ich czyni.

Dla panny Podkomorzanki tak nowym był mąż którego nie znała tylko ze wspomnień kilku lat młodości, dziś zmieniony, zdziczały i już nieumiejący być nawet szczęśliwym... Nędza jednak i cierpienie nie uczyniły go złym, ale zrodziły w nim chorobę niewiary, szyderstwa, niepokoju i wystudziły miłość ludzi i łagodność.

Ona stosunkowo mniej była zmieniona i podobniejsza do siebie; nie dała się ugiąć losowi, wierna charakterowi pozostała jeszcze taką, jaką ją znał Adolf gdy razem przechadzali się po kasztanowej ulicy, a Franuś biegał przed niemi swawolny. Nawet przywiązanie jej dotrwało do tej chwili żywe, niezachwiane i oparło się najstraszniejszej próbie na jaką narażone być mogło, — nowemu z nim spotkaniu.

Ludwika przez warstwy kurzawy podróżnej widziała jeszcze rysy dawnej twarzy w mężu i w zwiędłem sercu, młodzieńcze... Całem jej staraniem było teraz na ostatku dni zlać to wszystko czego brakło przeszłości, pokój dostatek, swobodę... Ale życie dla niej będące ideałem, człowiekowi temu co przywykł do miotania burzą, wystarczyć nie mogło. Jak lew co z okrętu wysadzony na ląd czuje pod sobą ruch fali i ustać spokojnie nie może, tak biedny ów człowiek wyżyć nie umiał w atmosferze cichej domu, którego dnie płynęły zbyt jedne do drugich podobne, wśród ludzi którym jutro niczem nie groziło i nic nie obiecywało nad wczorajszego dnia powtórzenie. Przywykły walczyć, męczył się nieczynnością i dostatkiem, w opowiadaniu przygód szukając przynajmniej tej przyprawy ostrej która życiu daje niepewność jutra. Dla niego musiało nawet szczęście być dramatycznem i coraz nowem, a pokój stał za śmierć.

Tylko skarb ten jeszcze który mu zawsze tkwił w głowie i myśli, choć z nim taił się przed żoną i córką, gorączka złota długo marzonego dając mu zajęcie jakieś, wstrzymywała od odrętwienia i upadku ducha.

Wszystkie też chwile wolne spędzał: na obrachowywaniu wedle powieści braciszka położenia zamurowanego skarbca, rozmowach o nim potajemnych z Oktawem, którego sobie przybrał za pomocnika i rozpatrywaniu się w ruinach.

Powieść owego wędrowca i zostawione przezeń papapiery, dawały nadzieję odszukania zamurowanej izby, były jednak niedostateczne do oznaczenia położenia w jakiem jej szukać było trzeba. Braciszek opowiadał że z celi rektora do której ich wprowadzano i gdzie im zawiązywano oczy, schodkami ciasnemi w murze spuszczali się na pięćdziesiąt stopni w głąb, poczem iść było potrzeba ciasnym korytarzem w prawo, kilkakroć w różne zwracając strony zniżając i podnosząc, aż na reszcie po dziesięciu stopniach dochodziło się do drzwi skarbca nizkich i wąskich. — Nakreślony planik w kilku miejscach wskazywał wgłębiania w murze framugi, i rozmaite skazówki dobrze do rozpoznania miejscowości pomagające.

Gdy Poroniecki przybył na miejsce, spodziewał się łatwo rozpoznać celę rektorską lub dowiedzieć o niej z miejscowego podania, ale nikt w Kaniowcach nie pamiętał Jezuitów, część klasztoru leżała w gruzach, a z kilku mieszkań większych, bardzo do siebie podobne wschodki w murach wiodły na różne strony. Punkt więc wyjścia stanowił główny cel poszukiwania. Wedle wszelkiego podobieństwa, zdawało się że cela rektorska wraz z paradniejszemi izbami musiała być gruzem przysypana i tym sposobem położenia jej dojść było można chyba wypadkiem, a schodków owych trzeba się było dobijać kopaniem zwracającem uwagę.

Trafem w sieniach na probostwie w ramkach niegdyś za szkłem a dziś za kurzem tylko znalazł plan murów jezuickich z wyszczególnieniem przeznaczenia

izb i sal kollegium. Łatwo było dostać ten ważny dokument od braciszka Dyonizego, bo ten do niego jako do jezuickiej pozostałości, żadnej nie przywiązywał wagi, i Poroniecki przekonał się że cela rektora w skrzydle gmachu dotąd stojącem się mieściła. Na miejscu wszakże nie znalazł w niej żadnego w murze otworu i wschodów.

Poszukiwania dalsze stawały się prawie niepodobieństwem — Oktaw ze swojej strony dowodził, że cela rektora mogła być zmienioną dla niewiadomych powodów i że za cechę jej przyjąć należało schodki w głąb w murze idące i liczbę stopni pięćdziesięciu.

Ale wschodków znowu takich w kilku miejscach było wiele, a liczba stopni wszędzie prawie zgadzała się ze wskazaną, dalej zaś w lochach i przejściach gubili się oba nic dojść nie mogąc.

Podkomorzanka po pierwszych dniach zaraz dostrzegła w mężu jakiejś tajemnicy, której on w obawie tylko jej śmiechu i niedowiarstwa wyznać nie śmiał, przechadzki jego do ruin, rysowanie planów, dopytywanie o jezuickie mury zwróciły jej uwagę.

— Dlaczego cię tak te zwaliska obchodzą? zapytała go?

— Jak wszystkie ruiny pełne są wspomnień i w tak pięknem położeniu... Co to za szkoda że tak opustoszone...

— Mówią dziwy o dawnym splendorze — dodała Podkomorzanka — ale lud zwykł swoje podania stroić tak że z nich dojść prawdy niełacno.

Nazajutrz po wieczorze u Żelizów, Oktaw przyszedł do Podkomorzanki (bo ją tak zawsze jeszcze z nałogu nazywał), aby ją i Poronieckiego pożegnać. Zastał ich wszystkich razem w znajomym saloniku, gospodynię przy siatce, Adelę z książką, a Poronieckiego chodzącego wielkiemi krokami po pokoju. Uśmiech Adeli powitał go w progu, i rozbił się o smutek rozlany na jego twarzy.

— Co to pan tak nam żałobnie wyglądasz? odezwała się Podkomorzanka.

— Gdyby nic więcej, to że wyjeżdżam... już dostateczne — rzekł Oktaw.

— Ależ powracasz przecie?

— Zawsze rozstanie wesołem być nie może.

Adela podała mu rękę dziecięcą.

— Bądź choć pan nam wiernym — rzekła — bo doprawdy zaczynam się uczyć, że każdy odjazd przyjaciela grozi, że nam powróci obojętnym; nigdym się tego nie domyślała wprzódy, ale przykład p. Joachima.

— Młodsze serca nie tak łatwo ciepło tracą — przerwała Podkomorzanka — nie prawdaż? a i panu Joachimowi za złe tego mieć nie można, bo cierpienie ostudza, on biedny niespokojny o córkę, stracił zięcia...

— Za to młode serca — rzekł Poroniecki — od lada płomyka się zapalają... i pan Oktaw nie jest wyjątkiem z powszechnego prawa.

— A to doprawdy już się nam pan na oczy nie pokazuj jeśli masz powrócić innym jak jesteś! — zawołała naiwnie Adela.

— Gdybym chciał zmienić się, nie potrafię — rzekł Oktaw.

— Czyż może być, — dodało dziewczę — żeby człowiek tak był słabej pamięci i miękkiego serca — przecież papa i mama... takie przywiązanie to rozumiem!

— Inne też tego imienia nie warto — dodała matka.

— A więc musisz odjechać mój młody przyjacielu — odezwał się Poroniecki — ależ przecie nie zabawisz tam zbyt długo?

— Prawie rok!

— To groźne! — rzekł stary — rok młodości to więcej niż dziesięć lat późniejszych... uczucia są jak ciało w pewnym względzie, im młodsze tem rosną prędzej, na starość już się kurczą jak my... Cały rok, to bardzo wiele!

— A ja ufam poczciwemu Oktawowi, że o nas zapomnąć nie może.

— Gdybym tak ja mógł sobie pochlebiać, rzekł nieśmiało zwracając się ku Adeli Oktaw.

— Pochlebiaj pan sobie! — roześmiała się Podkomorzanka, — pozwalamy, ale nie do zbytku.

Rozmowa przeszła w obojętną, a po chwili Adela opowiadając o swoich zajęciach przypadkiem wspomniała Andzię... i Poroniecki spojrzał na Oktawa z uśmiechem.

— Z początku szło mi z nią jak z płatka, mówiła Adela, — ale od niejakiego czasu humor i usposobienia jej zmieniły się zupełnie, a od dwóch dni nawet wcale nie przychodzi.

— Znudziłaś ją może!

— Gdzieżtam, byłyśmy w największej przyjaźni w początku, z dziwną łatwością uczy się wszystkiego, choć trzpiot i niespokojna... a Bóg tam ją wie, co się z nią dzieje, ale w końcu oświadczyła mi, że chce wrócić do dawnego życia... Wy mówicie, że na wszystko lekarstwo praca, a mnie nie — lepsze daleko latanie po borach i szalenie wesołe, człek się zadurzy, zaśpiewa, zamęczy, potem przynajmniej zaśnie... a po waszem czytaniu i gadaniu jeszcze większy niepokój ogarnia. Żal mi serdecznie biednej dziewczyny, tak niepospolite Bóg jej dał usposobienia, a umysł i serce tak harde, że ich ugiąć niepodobna.

— Nie trzeba się zrażać, — dodał Poroniecki, — kochana Andzia, nadto przywykła do swobody, człek się tego nie łatwo wyrzeka... ale powoli, łagodnie, cierpliwie.

— Doprawdy jestem też z nią cierpliwą i staram być łagodną; choć to czysty ptaszek dziki, którego trzymasz w ręku, głaszczesz, pieścisz i już zdaje się siedzi uspokojony, w tem gdy cokolwiek dłoń zwolnieje, fru! i poleciał w powietrze...

— No! to go drugi raz złapiemy, rzekł ojciec.

Przy pożegnaniu Adela zarumieniła się mocno podając rękę Oktawowi, który ją chwilkę zatrzymał i wyszedł z oczyma mokremi jakby ją rzucał na zawsze.

Poroniecki przeprowadził go do ganku.

— A cóż? — spytał, — skarby nasze... czy mam odłożyć poszukiwania, czy sam powoli się grzebać?

— Ja tu nie na wiele się panu przydam, — odparł Oktaw, zdaje mi się, że innego pomocnika przybrać wypadnie, a na tak lichego jak ja nie rachować!

— Widzę, żeś już zrażony — roześmiał się stary aktor — jak to widać żeś nie żył... a jeśli znajdziemy?

— Szczęść Boże!

— Wyrzekasz się części na ciebie przypadającej?

— Z ochotą, byle komu innemu na dobre posłużyła.

— A ja nie rzucę tego tak łatwo! za cóż skarb ma gnić w ziemi... Ale tobie co innego na myśli, inne skarby i zdobycze...

I uśmiechnął się siadając na ławce na której posadził przy sobie Żelizę.

— Cóż wasza Andzia? — zapytał patrząc mu w oczy.

— Posłuchałem waszej rady, uciekam, — rzekł Oktaw, — nie widuję jej prawie.

— Rozumiem, — smutnie dodał Poroniecki, — i wiele ich jeszcze przejdzie przez serce twoje, nim się ono zamknie jak przekwitły kielich rośliny... Bądź-że zdrów i powracaj nam weselszy.

To mówiąc z uczuciem pocałował go w twarz i dodał:

— Kocham cię mój młody przyjacielu... może w tobie młodość moję... ale mi przykro się rozstać... pamiętaj o nas... Skarb jeśli odkopię, zawsze na twoje usługi.

— Prawdziwym skarbem mi będzie, jeśli pan zechcesz mi tę przyjaźń zachować, — a cobym ja robił ze złotem, któreby mnie tylko nabawiło gorączką i strachem?...

— Gorączką? strachem? — powtórzył zamyślony Poroniecki — któż wie, masz może słuszność... mnie sama jego nadzieja truje spokój, któregobym mógł użyć... A gdybym i ja to dziwactwo odepchnął? ale nie! nie! ty masz słuszność odpychając skarby, które ci młodość zastąpi, dla mnie już w ziemi szukać potrzeba nowego celu życia i nadziei..

Wymówił to smutnie, przerywanym głosem i ścisnąwszy rękę Oktawa, szybko zawrócił się do pokojów.

X.

Dość smutno było w miasteczku, i choć Referendarz powrócił wkrótce z Warszawy zniechęcony przyjęciem jakiego tam nie doznał, utrzymując, że teraz i w tem mieście żyć już nie było można, choć pan Joachim zamieszkał znowu, a Poroniecki powiększył liczbę członków towarzystwa Dworkowej uliczki, — wszyscy po staremu chodzili każdy w swoję stronę, szpiegując się wzajemnie, śmiejąc potrosze z siebie i niewiele sobie przydatni.

Pan Joachim zaczął znowu nosić książki z biblioteki probostwa i polować z Parolem, Szambelan toczył i grał na klawicymbale, Referendarz czytał gazety wyciągając z nich wnioski głębokie, Żelizo się modlił, Malutkiewicz dzieci uczył i Senekę tłumaczył, a Andzia latała ze śmiechem i śpiewką rzadko zaglądając do dworku pani Poronieckiej, u której mimo przybycia męża nie było lepiej i weselej niż wprzódy.

Zdziwiła mocno Podkomorzankę zmiana jaką dostrzegła w Wielicy i nie wiedziała dobrze czemu ją przypisać, domyślając się tylko, że Poroniecki mógł być temu przyczyną. Ceniąc pana Joachima, uczuła to mocno, że się na biednym jej mężu nie poznał i zdawał się stronić od nich dla niego; przykro jej też było wyrzec się myśli, którą już raz przypuściła, że los Adeli powierzy kiedyś Wielicy. Małżeństwo to zdawało się jej nietylko stosownem, ale może najstosowniejszem... nie mówiła z nikim o swoim projekcie, ale pielęgnowała w Adeli szacunek i przywiązanie, którego zaród postrzegała.

Tymczasem pan Joachim powróciwszy, zdawał się dworku unikać umyślnie, przestał stołować się u Podkomorzanki, pokazywał rzadko, i Adela nie okazała tak wielkiego wrażenia ani żalu, jakich się matka spodziewała.

Po kilka dni nie było go widać, a przyszedłszy, szukał zaraz powodu by się oddalić.

— Juściż musi tam być powód jakiś! — mówiła w sobie Poroniecka, — i trzeba żeby mi się wytłumaczył.

Przez kilka dni odprawiała straż niespokojna w ganku aby złapać Wielicę, ale jej się to długo nie udawało, nareszcie pochwyciła go odnoszącego książki na probostwo.

— Stójno pan, — rzekła, — choć ten raz musisz wstąpić do mnie, mamy z sobą do pomówienia.

— Jestem na rozkazy, odpowiedział grzecznie trochę zmieszany Wielica, w którego stroju opuszczonym i twarzy nagle postarzałej i bladej, widać było trawiący go smutek.

— Chodź pan i siadaj tu przy mnie, — zawołała Podkomorzanka, — musimy się przecie rozmówić, — od powrotu ze wsi nie poznaję go i nie mogę się domyśleć powodu dla którego stronisz od nas, trzeba żebyś mi szczerze powiedział co to jest?

Wielica zmieszał się trochę.

— Ale nic a nic, — rzekł.

— Nic? dajże pokój udawaniu i zostaw dla innych komedją grzecznostek, bądźmy z sobą otwarci... Ja znajduję, że w życiu przynajmniej połowa fałszywych położeń i niewygodnych stosunków oszczędza się szczerością i porozumieniem choćby przykrem zrazu. Mów mi proszę co ci jest i dlaczego zmieniły się nasze stosunki..

Pan Joachim powiódł ręką po czole uśmiechając się smutnie.

— Chcesz pani bym mówił, choć spowiedź będzie przykra i wstydliwa dla mnie?

— Zakryj oczy i spowiadaj się, nic nie pomoże.

— Lepiej późno niż po czasie pomiarkować się i ocenić położenie swoje. Zdaje mi się, żeś pani dostrzedz musiała, jak niewłaściwie zachciało mi się grać rolę młodego człowieka..... w samą porę obejrzałem się i zląkłem...

— Widzisz pani, — dodał, — jaka to tam odro-

binka życia tylko świeciła we mnie, kiedy kilka tygodni smutku i pracy już mnie starym uczyniły...

— Biedny mój przyjacielu, zdaje mi się, że przesadzasz.

— Nie pani, — obawiałem się jesiennego, bezrozumnego przywiązania, a postrzegłem, że serce bije jeszcze choć ostatkiem, i wolałem cierpieć niż uwikłać kogoś w mój los, który już się zmienić nie może.

— Więc to powód? — spytała gospodyni, po prostu pokochałeś trochę Adelkę i zląkłeś się, nieprawdaż? Ale czego?

— Spójrz pani na mnie? możebym jeszcze kochać potrafił, ale mogęż obudzić przywiązanie jakiego młode potrzebuje serce? Młodości, którą nic nie zastąpi, nie mam niestety, a bez niej i chwila szału co się szczęściem zowie, niepodobna. Nie jestem znowu do tego stopnia samolubem, żebym sobie chciał drugich poświęcać.

— Ale dlaczegóż koniecznie sam chcesz być sędzią w swej sprawie?

— Bo inni widzą twarz tylko, a nie mogą zajrzeć w serce; każdy omylić się może, ja niestety — nigdy!

— A przecież na chwilę...

— Zgrzeszyłem! przyznaję... ale możnaż się oprzeć nadziei, która powraca opuściwszy nas na długo... Potrzeba było nieszczęścia córki mojej, ostygnienia, oddalenia aby do rozumu powrócić.

— Kto wie czyś waćpan nie nadto rozumny i nie nazbyt chłodny, — zawołała Podkomorzanka. To tylko dobrze, że nie inny powód was odemnie oddala, bałam się jakichś uprzedzeń, szczerze mówiąc, myślałam, że od mojego męża uciekasz... Wy wszyscy na nim się nie znacie... to serce zacne i człowiek duszy hartownej.

— Biedna moja Adela, — dokończyła wzdychając Podkomorzanka,— bardzo mi tu po panu tęskniła i do dziś dnia ma żal do niego, żeś nas tak opuścił.

Wielica zamilkł i spuścił głowę, w tem drzwi od pokojów otworzyły się, i ta o której mówiono, wysunęła się na ganek smutna jakaś i zamyślona; spojrzała

na pana Joachima i zatrzymała w progu tak się jej wydał dziwnie postarzały i zmieniony. Iskierka uczucia odmłodziła go na chwilę, cierpienie złamało nagle, przed kilku tygodniami prawie młody, teraz był starym i do siebie niepodobnym.

— Mój Boże! co się to z nim stało? — pomyślało dziewczę, — biedny człowiek, jakże on głęboko cierpieć musiał i wiele przeżyć w krótkim czasie.

— Wyglądasz pan jakbyś był cierpiący, — odezwała się do niego nieśmiało.

— A jednak nic mi nie jest, — rzekł Wielica, — tylko starość przychodzi i zagląda w oczy.

— Starość?

— Tak, piąty krzyżyk! — dodał pan Joachim.

— Czyż to być może?

— Na nieszczęście metryki świadczą.

— Powinienbyś pan jak Referendarz postarać się o perukę i kosmetyk jaki... widzisz pan jak on świeży i odmłodzony z Warszawy powrócił... a pan trochę się dobrowolnie opuszczasz, jesteście przecie jednego wieku.

— Ale pozwól pani bym się w jednym rzędzie z tym znakomitym mężem stanu i politykiem nie stawił, — zajęcie dyplomacją ma to do siebie, że wybornie konserwuje, świadkiem książę Metternich i Taleyrand, ja zaś nigdym się temu nie poświęcał.

Na tym żarcie Wielicy, który się zabierał do odejścia skończyła się rozmowa i nasz pustelnik uciekł do swej kryjówki.

A Adela? spytacie może: — ona sama spełnia nie wiedziała jakie w niej uczucie obudził zrazu pan Joachim i pokochała go więcej przyjaźnią dziewczęcia niż miłością młodzieńczą; odsunięcie się jego zasmuciło ją, dotknęło przykro nie zatruwając życia. Powiedziała sobie, że musiała zasłużyć na to co ją spotkało, a może młode i gorące wejrzenie Oktawa zatarło wrażenie pierwsze. Z nim było całkiem inaczej, czuła się wyższą, silniejszą, i obchodziła się jak z młodszym od siebie, choć lata ich były równe. Odjazd jego zostawił po sobie wszędzie próżnię i tęsknotę, a w jej sercu nie

mniejszą niż gdzieindziej. — Gniewała się trochę na siebie, że jej go brakowało, ale czuła, że żal było tego promyka młodości, który życie smutne ich rozjaśniał.

W dworku Żelizów, u pana Joachima, u Podkomorzanki po odjeździe młodego chłopaka, smutniej się zrobiło, dnie stały dłuższe i głos ten świeży i uśmiech wesoły przypominał się co chwila. W nim jednym wśród tych ruin i w Adeli tylko było życie, reszta ludzi tlała niedogorzałym ogniem, którego nie miała już czem podsycić. Nawet Szambelan lubił młodego chłopca i szukał jego towarzystwa, odgrzewając się w niem jak przy słońcu.

Teraz znowu powracało wszystko do dawnego trybu jednostajnego, i nic nie ożywiało uliczki na którą rzadko wyjrzała główka Adeli, smutnej także i w pracy szukającej roztargnienia. Spotykali się mieszkańcy Dworkowej uliczki, kłaniali sobie, mijali obojętnie, zajmowali sobą na chwilę i musieli szukać jakiejś zabawki aby ciężko wlokący czas zabijać. Nikt z nich nie miał celu wyraźnego przed sobą, myśli niedopiętej, a koniecznej, mety do którejby szedł jeszcze, — każdy zdawał się czekać rychłoli mu trumnę przywiozą i położyć się w nią każą.

Trudno zaprawdę jest całe życie człowieka, ale dla większości ludzi niema cięższego zadania nad tę resztę żywota z któremi niewiedzą co począć. Przychodzi chwila w której się skończyło wszystko, mało do czego czuje się już zdatnym, mało czego pragnie, a ostatek dopalających godzin staje się ciężarem nieznośnym.

U naszego ludu, obarczonego pracą, a jak młodość i dzieciństwo nielitościwego czasem, gdy starzec nieużytecznym w chacie się staje, bierze torby i idzie po żebraninie śpiewając pieśni, lub w alkierzu dzieci kołysze do najlichszych używany posług. Na świecie jest trochę inaczej, ale niewiele lepiej, dzieci wyrosną, potrzeba mi oddać majątek, dwoje starych jedzie pod kościół, zasiada w ubogim dworku i dożywa dni swoich na pustyni. — A cóżby poczęli wśród ludzi krzątających się jeszcze i żywych? wśród gwaru walki i za-

pasów do których sił nie starczy potrzebujący spokoju, wytchnienia i przed snem mogiły odpoczynku i rozmyślania?

Z tych wszystkich których tu poznaliśmy biednych rozbitków, dwom może tylko znośniejszem było życie, i to tym właśnie, którzy pozornie zdawali się najnieszczęśliwsi. Stary Żelizo ani narzekał, ani się nudził, choć leżał w łóżku bezsilny, karmiła go modlitwa i rozmyślanie, a gdy pozostawały godziny swobodne, zwoływał dzieci z ulicy wabiąc je łakociami i nauczał katechizmu, rozpowiadał dzieje święte, czytał im ewangelją... Równie ubogi i niemniej biedny na pozór Malutkiewicz miał przed sobą zawsze tłumaczenie Seneki, a po obiedzie urządzoną przez siebie szkółkę.

Ani muzyka, ani tokarnia nie wystarczały Szambelanowi, zmuszonemu nieraz uciekać się do czczej gawędki z panią Farfurską i szpiegowania sąsiadów lub zbierania małych ploteczek. Ciężarem był sobie i rzadko drugich zabawiał.

Pan Joachim czytał i myślał, ale ta praca milcząca nie miała celu, zastosowania, i szła marnie bez pociechy wewnętrznej dla niego, była to rozrywka jak inne niekiedy nużąca, przesycająca, niekiedy budząca ciekawość, a w ostatku wyczerpująca siły daremnie, bo zwrócona tylko do siebie. Nigdy też nie poprzestawał na tem co badał i nad czem pracował, zmieniał przedmioty i szukał w nich podrażnienia ciekawości, rozbujania wyobraźni lub pastwy dla mizantropji.

Nie mówię już o Referendarzu i dostojnej jego siostrze, która z nim i z całym światem potrzebowała prowadzić wojnę aby wyżyć...

Nawet Podkomarzanka czuła ciężar godzin, choć dla niej dziecię wskazywało cel życia; zmiana w jej losie zaszła, zbliżenie poufałe do człowieka którego nie znała prawie, niespokój o niego, potrzeba zbadania na nowo charakteru tego, nużyły ją i wątliły. Ale w tym domu szczebiotanie Adeli i młodość jej świeciła jak lampa wonna u ołtarza; rozpogodzone czoło

dziecka rozjaśniało odlicze rodziców, a dwie jej rączki łączyły nowe choć tak dawne małżeństwo. Poroniecki zapomniał o swych skarbach, o przeszłości chmurnej i dumał o dziecięciu, którego jutrem się niepokoił. — Ciężkie i tu przychodziły godziny, gdy zdziwiona Podkomorzanka z podziwieniem znajdowała w mężu tak różne od woich pojęcia, że nie wiedziała jaką przyjść drogą do wytłumaczenia ich sobie. A gdy po łagodnym sporze oboje małżonkowie zostawali każdy przy własnem zdaniu, na długi przeciąg czasu wstrzymywało to ich od szczerszych wyznań i zwierzeń — I tu resztki tylko były życia.

XI.

Po odjeździe Oktawa przekonawszy się, że sam nic nie pocznie dla wyszukania swych skarbów, Poroniecki pomyślał o przybraniu sobie towarzysza i pomocnika. Długo wahał się z powierzeniem tajemnicy, aż wreszcie wybór padł na pana Joachima. Z myślą tą udał się Poroniecki do niego i znalazł przy jesiennym kominku z książką w ręku i wiernym u nóg Parolem.

Powitali się dosyć chłodno.

— Pan czytasz a czytasz, — rzekł przybyły.

— Trzeba coś robić przecie, — odpowiedział pan Joachim, — oczy mam zdrowe, myśł niezajętą... czasu wiele zachcę.

— Mnie nawet czytanie nie zajmuje... żyłem zawsze życiem czynnem, przywykłem do pracy cielesnej, odpoczynek mnie zabija powoli.— Znasz pan życie moje?— spytał w końcu.

— Trochę, — odpowiedział Wielica.

— Chciałbym żebyś je bliżej poznał, — dodał Poroniecki, — bo chcę panu ofiarować dziwną współkę.

Wielica zdziwiony nań patrzał.

— Słucham, — rzekł z uśmiechem, — ale do czegóż ja komu przydać się mogę?

— Zobaczysz pan, naturalnie, — dodał Poroniecki, — jeśli się ofiara moja nie zda, dasz mi słowo, że tajemnicę dochowasz przy sobie.

Tu rozpoczął dzieje swej podróży i historją braciszka i skarbów, ale gdy najżywsze spodziewał się obudzić zajęcie, postrzegł tylko w panu Joachimie utrudzenie i niewiarę... myśl zdobycia skarbów nie ożywiła go wcale.

— Nadzwyczaj ciekawa historja, — rzekł wysłuchawszy Wielica — ale czyż istotnie pan chcesz poszukiwić tych jezuickich skarbów?

— Jakto? a pan?

— Jabym dla nich kroku nie zrobił, — odparł Wielica, — pytam się pana co mi dać mogą pieniądze? Mam ciepłą chatę, książki i na pogrzeb grosz dostateczny; coby mi przybyło z pomnożeniem majątku? Trochę kłopotu tylko. Stroić się nie umiem, wygody do jakich przywykłem mam, córka moja wyposażona i bogata, ja przyjemności życia które kupować potrzeba nie cenię — cóżbym począł z beczką złota? Pytanie jeszcze czybym jej na złe nie użył.

— Dlaczegóż nie zdobyć dla drugich, jeżeli nie dla siebie?

— Pan wierzysz w to, że pieniądz jest pożytecznym? Niczem trudniej zarządzić jak tem narzędziem, które często zda się na dobre, a prawie zawsze jest szkodliwe. Ubóstwo jak cierpienie pobudza, zamożność odrętwia i paraliżuje...

— Chyba nie wierzysz pan w moję powieść?

— Najzupełniej, wierzę w to nawet, że wyszukaćby można i wnijścia do zaklętego lochu i zapleśniałych murów... ale zarazem ileżby się kupiło zazdrości, ile obudziło chciwości, na ile naraziło prześladowań, a utratę spokoju nagrodziłyżby pieniądze?

— Tak, ale mielibyśmy przedziwną zabawkę i namiętne zajęcie! — zawołał Poroniecki, a tego nam tu wszystkiego braknie jak sam przyznasz...

To mówiąc Poroniecki dobył z zanadrza swój pugilares, i rozłożył papiery przed Joachimem, usiłując go spokusić autentycznością notat braciszka, planów jego i wielkiem podobieństwem, że zamurowany loch da się odszukać.

Wielica przystąpił z uśmiechem, obejrzał z zajęciem, ale, odstąpił chłodny powtarzając:

— Dziwi mnie że pan marzysz o tem, jabym nie umiał już serca do tego przyłożyć.

— Ale cóż poczniemy? — zawołał stary aktor... przecież zająć się potrzeba, robić coś musimy... a w bezczynności na tem bezludziu i pustyni wyżyć niepodobna...

— Nie licząc dni, nie szukając wrażeń, nie tworząc sobie celów niedostępnych, jak zegar idący regularnie a ciągle, przecie dobijem się do tego że wagi wyjdą i sprężyny staną.

XII.

Znużonym spoczynek choć długi i jednostajny, może być znośnym przecie, ale wpośród nich młodej istocie pragnącej życia i zmuszonej drętwieć w atmosferze ciężkiej, duszącej, trudno wytrwać cierpliwie. Życie też Adeli wśród tego kółka pustelników odgrodzonych od świata i okręcających się w sferze maluczkich zajęć powszednich było nieustanną ofiarą. Co krok spotykała ostudzające jakieś przekonanie, chłodną niewiarę lub szyderstwo i zimny całun prozy. Nawet gorące przywiązanie matki nie umiało rozgrzać dziecięcia, które przy starej babce roiło przyszłość jakąś, a dziś zdawało się jej pozbawione na zawsze.

Z początku zajęcie się Andzią, przechadzki i rozmowy z Oktawem utrzymywały ja wesołą i ożywioną, teraz gdy uczennica uciekła od niej, młody towarzysz

odjechał, została sama wśród zamkniętego lochu... Wesołość jej powoli gasła i zamieniła się w tęsknotę niewysłowioną, rzadkim opromieniającą uśmiechem, spoważniała nad wiek, a choć napróżno targając się w tych więzach, szukała pożywienia w poezji i książkach, nie starczyło to nawet na młodej duszy potrzebę. Marzenie obróciło się w niedostępne kraje, w bliższych i znanych nie mogąc zamieszkać.

Podkomorzanka spodziewała się uznanie Adeli i majątek jej, wreszcie przywabi starających się i zaludni jej dworek, ale wieść o tym wypadku najniekorzystniej przekręcona, odstręczyła jeszcze ostatki rodziny z nią połączonej, która dawniej spodziewając się po niej spadku, obsypywała grzecznościami. Pozostali więc osamotnieni i szczęście nie zawitało po latach wielu, któremi się okupić było powinno, na próg tego dworku, owszem dziś może mniej tu było swobodnie i wesoło.

Nie mogła utaić przed sobą Podkomorzanka, że człowiek którego wybrała w młodości, dziś po męczeńskiem życiu znacznie wyobrażeniami i obyczajem oddzielił się od niej. — Ubóstwo długie uczyniło go szorstkim, często nielitościwie szyderskim i surowym dla ludzi. W pierwszych chwilach połączenia był jakiś odbłysk młodości, lecz wiele i uczucia, ale wkrótce chłód wieku ogarnął oboje, i mimo wzajemnego szacunku i przywiązania, często się z sobą nie zgadzali.

Niepokoiło szczególniej żonę, częste zamykanie się Poronieckiego, który przed nią ukrywał jakieś papiery, przechadzki jego tajemne a długie, zaprzątnienie silne, wreszcie zakłopotanie którego nie mógł zamknąć w sobie. — Nie będąc wcale podejrzliwą, Ludwika niepokoiła się wszakże dopatrzywszy tych symptomatów i nie wiedząc jak je tłumaczyć, a podejrzywając coś złego w tem co przed nią ukrywać się musiało. Kilkakrotnie łagodnie usiłowała męża wybadać, ale Poroniecki wymawiał się przeszłością, która go takim jak był stworzyła...

— Daruj mi, — rzekł, — ja sam wiem żem się stał dziwakiem, mizantropem, nieznośnie szyderskim

czasem, ale mogęż być innym po całem życiu walki daremnej i nieustających cierpień?

— Tu nie o to idzie, — odpowiedziała pełna otwartości Podkomorzanka, ale o to, że zdajesz się coś przedemną ukrywać a ja się tego lękam właśnie.

— Bądź spokojna, — uśmiechając się odparł Poroniecki. — Nie mam żadnych strasznych tajemnic, choć Szambelan podobno utrzymuje, że najmniej rozbójnikiem być musiałem i zawsze odemnie stroni najniżej mi się kłaniając; a jeśli przed tobą taję, to chyba coś takiego co ci oszczędza kłopotu, a mnie wstydu...

— Nie myślę nalegać, zawołała żona, postępuj jak sądzisz stosownem, ale że każda tajemnica cięży, chciałam ci ulżyć tylko zapewnieniem, iż we mnie znalazłbyś bardzo pobłażającego sędziego i powiernika.

— A śmiać się nie będziesz? — zapytał mąż.

— Owszem, mogę się śmiać trochę ale nie tak żeby cię to zabolało...

— Jużem zrażony, — rzekł Poroniecki, — bo nawet ten młokos Oktaw i pan Joachim odmówili mi pomocy i współczucia...

Podkomorzanka podniosła nań oczy zdziwione.

— A wstydźże się tak mało mi ufać, — zawołała, — żebyś wprzód spowiadał się przed Oktawem i Wielicą niż przedemną! Cóż to tam za wyznanie?

— Chciałaś, więc słuchaj, — rzekł mąż, i powtórzył jej swoję historją braciszka i pojezuickich skarbów.

Podkomorzanka postrzegłszy o co chodzi zaczęła się śmiać serdecznie.

— A mój Boże, — zawołała, — kopże sobie jeśli cię to bawi, ja choć w żadne skarby zaklęte nie wierzę, szczerze ci pomogę do tej niewinnej zabawki... ale, prawdą a Bogiem, niewiele też do znalezienia summ neapolitańskich przywiązuję wagi.

— Jakto i ty moja Ludwiko?

— A! niestety! i ja jak oni! Cóż z niemi zrobisz gdy je znajdziesz?

— Adela mieć będzie miliony.

— I cóż one jej dadzą? wszak i tak ubogą nie jest, nuż na lep majątku nalecą, te które się zwykle do niego cisną, muchy o złotych skrzydełkach, postrojone próżniaki wielkiego świata? Dziś Adela majętna, ale miernie jeszcze, nie pociąga tych paniczów, a w średniej klassie gdzie się więcej cnót uchowało, znaleźć może stosownego dla siebie człowieka, wówczas kto wie czy my oboje nie dalibyśmy się ująć, oślepić i nie zasmakowali w tytuliku, powierzchowności, lub ona wreszcie...

— Znajdujesz więc nawet niebezpieczeństwo?

— Przynajmniej nie pragnę tego tak bardzo...

— Darujże mi, iż przeżywszy z tą myślą lat kilka tak łacno pozbyć się jej nie umiem.

— Baw się tem jeśli chcesz — z westchnieniem dodała żona, — spadł mi wielki ciężar z serca, że wiem co to jest, bom się gorszego obawiała.

— Prawda! tyś wszystkiego lękać się mogła, — rzekł Poroniecki z uczuciem poszanowania całując ją w rękę, — twoje zacne serce było wierne wspomnieniu, ale nieraz wstrząsnąć się mogło myślą że z niem przyjdzie doń istota nieznana, może zepsuta, zszarzana i skalana, niebezpieczna nawet... bo któż przewidzieć mógł czem się ja stanę? Mogłem rozbijać na gościńcach lub kraść zmuszony głodem, a tybyś i złoczyńcę przyjęła w spadku po Adolfie... Ale nie — Bóg nie dopuścił wielkiego nieszczęścia, — przypędził mnie tu złamanym, bezsilnym, nędznym, a jednak uczciwym jeszcze człowiekiem... choć może w wielu, ot i w tem com ci powiedział, szalonym! Daruj mi moja droga pani!

— Daruję ale się pośmieję czasem, — odpowiedziała wesoło Podkomorzanka.

....

XIII.

Ojciec Andzi zawsze dawne swe prowadził życie coraz bardziej zarzucając rzemiosło, a wdrażając się do karczemki gdzie codzień znalazła się sprawa do sądzenia i kieliszek do wypicia. Język jego tak się był wprawił tem ciągłem szermierstwem, że z nieporównaną łatwością na wszelkie starczył posługi, a lud co sam chyba pobudzony wielkiem uczuciem zbierze się na wymowę, wysoko cenił swojego rzecznika i dość mu było usta otworzyć by cisza go otoczyła i wszystkie oczy nań zwróciły.

Starzy kiwali głowami gdy mówił potakując mu, młodsi otwierali usta z podziwem, a często taki obudzał zapał w słuchaczach, że kwartę po kwarcie stawiano i w uniesieniach zmuszano pić a pić, a biedny Prokop powracał do chaty z monolgiem, kręcąc się po gościńcu i legał spać prawie zawsze nieprzytomny. Nazajutrz rano niby to myślał brać się do hebla i warsztatu, oglądał narzędzia, próbował suchości drzew, przeżegnał się, namyślał, stukał, chodził wreszcie, brał za czapkę i dążył na pole zwykłe popisu, do karczmy. Potrzeba było nadzwyczajnego w domu niedostatku lub ofiary nadzwyczajnej ze strony potrzebującego żeby się jął pracy, którą odprawiał pospiesznie, stękając i bardzo niedbale.

Najczęściej jadał u kogoś zaproszony lub przekąsił coś w gospodzie, a co się działo w domu, nie myślał; stara Agafja gotowała coś dla siebie i Andzi która też rzadko jadała w domu i po całych dniach potem z kądzielą mrucząc siedziała na przyźbie myśląc nad swem dziecięciem które po świecie latało. Chata prawie pustką stała, obcy rzadko do niej zajrzał, gospodarz ledwie na noc nachodził, a Andzia usiedzieć nie mogła; stróżowi wreszcie Agafji uprzykrzało się samej jednej i podparłszy drzwi, uchodziła do sąsiadów.

Chata stolarza Prokopa stała tak większą część dni zupełną pustką, i rzadko dymiło się tam w kominie,

a kilka kur grzebiących się na śmiecisku, same jedne jej strzegły. — Dopiero ku nocy ściągali się powoli mieszkańcy, naprzód stara Agafja wzdychając za Andzią której z góry upatrywała daremnie, potem dziewczyna, nareszcie pijaczyna powracający z gospody z piosenką, która go oznajmywała.

Dla spraw gromady i owych sądów w których tak ważną odgrywał rolę, Prokop tak był dom zaniedbał, o córce zapomniał, że rzadko się o co dowiedział nawet od Agafji, a starucha chyba go z rana na czczo przydybała żeby jaki grosz wyciągnąć. Córki, jak wiemy, nie lubił, ale się jej obawiał jednak, i choć unikał, gdy się spotkali oprzeć jej żądaniom nie umiał, lub chcąc uniknąć ich, uciekał.

Agafja kochała za to Andzię jak własne dziecko, ale nad nią żadnej władzy nie miała; bolała, niepokoiła się, płakała, czasem całując po rękach i twarzy starała opamiętać, ale puste dziewczę wpół smiechem, pół łzami odpowiadało na jej prośby piosenką i żartami. — Znać niańka musiała śledzić czasem zdaleka kroki ukochanego dziecka, bo prawie zawsze wiedziała co się z nią działo, gdzie była i co robiła. Nie uszło jej oka spotkanie z Oktawem pierwsze, i późniejsze przechadzki których się straszliwie przelękła, ale na wzmiankę o nich i zaklęcia, Andzia tak wybuchła gwałtownie, że Agafja umilknąć musiała.

Każdego tylko wieczora gdy się spotkały, dawała do zrozumienia córce, że wiedziała gdzie i z kim była.

— Mój Boże, — wołała jej, na co to tobie? nieszczęście sprowadzisz na swoję biedną głowę!

— Albo to ja i tak szczęśliwa? — odpowiadała Andzia, — a co może być gorszego? Gadali ludzie wprzódy, gadać będą teraz, a darmo mnie siedzieć pod piecem bo się do Prokopowej córki swaty z ręcznikami nie zajmują... przyjdą młokosy zalecać się, ale żaden poczciwy człowiek nie zechce dziecka którego się własny ojciec wypiera.

Agafja płakała, potem całowała dziecię swoje, i nazajutrz powtarzało się toż samo. Tak przeszły pierwsze

dni schadzek w ruinach, a gdy Andzia zaczęła chodzić na naukę do Adeli, stara się nieco uspokoiła, ciekawie tylko dopytując co tam ją uczono... Odetchnęła widząc, że dziecię spoważniało choć posmutniało nieco i przestało szaleć i biegać po miasteczku.

— Może się pan Bóg zlituje, — mówiła Agafja, — może Anusia się upamięta...

Ale jednego wieczora Andzia wróciła rozdrażniona jak dawniej, niespokojna i zapowiedziała niańce, że więcej na naukę nie powróci.

— Poco? — mówiła, — co oni mnie nauczą? Gorzej mi z tem jeszcze i tęskniej — i z sobą kłócę i niepokój czuję gorszy... nie chcę ja ich łaski i ich mądrości, mnie taką szaloną Andzią umierać jakem się rodziła...

W kilka dni Oktaw wyjechał, a dziewczę zamknęło się w domu płacząc, a stara niańka u nóg jej siadła także i płakała. Prokop nic nie wiedział, nocką powrócił i wyszedł rano do karczmy.

Słowa dobyć nie było można z biednej Andzi która dnie całe niema to na ławie odpoczywała, to szła do okna z załamanemi rękami, popatrzała przez nie na staw i lasy, i znowu na swe miejsce wracała. Agafja karmiła ją przymusem i nie odstępowała na krok po cichu szepcząc słowa pociechy, których tamta zdawała się nie słuchać i nie rozumieć.

— Ale cóż się tobie stało? dziecko moje? gołąbku kochany? — mówiła, — powiedz, poskarż się, lżej będzie...

Andzia potrząsła głową i jak siedziała tak siedziała milcząca, niekiedy popłynęły z oczów jej łzy, to znów zasychały powieki i wzrok błyszczący, osłupiały, zwracała gdzieś w przestrzenie.

I upływały tak dnie za dniami, a szalona dziewczyna nawet o swoim stroju nie pomyślała, na ulicę nie wybiegała. — Zrazu Agafja sądziła, że ten żal którego domyślała się powodu, przejdzie powoli, sama ją namawiała żeby się ruszyła na miasteczko, ale dzień za dniem było gorzej i przelękła się w końcu.

— Co tu począć z tem milczeniem i łzami? Nie chciała się radzić sąsiadek bo by ich naszło wiele patrzeć jak na dziwowisko, a niktby nie dał ratunku, sama nie umiała temu podołać, i jednego wieczora gdy cudem jakimś Prokop wcześniej a trochę trzeźwiej do chaty powrócił, zaczepiła go w progu.

— Majstrze Prokopie, — rzekła, — słówko.

— Czego? czego chcesz stara wiedźmo, — odparł, — puszczaj; całe miasto na mojej głowie, a ty mnie będziesz jeszcze durzyć swojemi sprawami... Cóż? czubata kura zdechła, czy czerwony kogut korale stracił?

— A! Prokopie, Prokopie! — zawołała płacząc Agafja — a twojaż córka! nigdyż o nią nawet nie spytasz?

— A co mnie do niej? Naprzód, moja albo i nie moja! co ty wiesz babo... prędzej twoja niż moja, bom ja jej nie chował i nie kochał. A co mnie do niej? — powtórzył, — jak sobie pościele tak się wyśpi.

— Ależ to biedne dziecko chore i od tygodnia nie mówi, nie chodzi, tak ciężko cierpi?

— Żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała... a co ja wam na to poradzę? macie na to maści, ziela, okurzanie, odżegnanie... puszczaj babo i idź mi z oczów...

— Otóż nie puszczę i nie pójdę, — żywo zawołała Agafja, — to nie są żarty, dziecko może umrzeć!

— Hę! umrzeć? — spytał Prokop, — one to od takiej choroby nie umierają, — a jak trochę pod piecem posiedzi, to jej nie zaszkodzi... U mnie całe miasto na głowie...

— I dlatego o domu zapominacie! — odparła Agafja, — rozumny ty, a! rozumny Prokopie, co rozum chowasz dla ludzi, a dla siebie głupi.

— Patrzaj! łaje! — rzekł stolarz, — musi być coś ważnego... no, a gdzież Andzia?

— Nie gada, nie je, nie śpi, słowa z niej nie dopytać od tygodnia.

— Cóż chcesz żebym jej wytrychem gębę otworzył? hę? było to i z nieboszczką, że tak siadywała w kuczki pod piecem z zamalowaną gębą, ale na to nie ma le-

karstwa. Trzeba jej przyprowadzić innego majstra nie mnie.

— A to dziecko stracicie!

— No to stracę, Pawełek trumnę zrobi, ta i *hody!*

— Bodajeś sam... zaczęła oburzona Agafja ustępując mu się z progu i puszczając do środka.

— Klnij, klnij, — mruknął stolarz, — doświadczona rzecz, że przeklon idzie na zdrowie... już kogo błogosławią to mu pewnie bieda będzie, ale jak przeklinają!... Psie głosy nie idą w niebiosy!

Jednakże coś podśpiewując stolarz, powoli wlókł się przez izbę w której Andzia siedziała, i stanąwszy przed nią, zatrzymał się.

— Otóż to tobie piosneczki, szalone tany i wieczorne przechadzki, — rzekł do córki — ha, ha! tak się to musiało skończyć płaczem i biedą... Pewnie niegodziwiec porzucił?

Andzia nie odpowiedziała ani słowa, obróciła ku niemu głowę i oczy na których łzy jasne błyszczały, i cicho, spokojnie słuchała, a stary gaduła raz począwszy, prawił dalej:

— Biegała to i nabiegała.. było tak z matką, musiało być z córką... to tobie piosneczki, ot hulanie i chłopcy, ot tobie wesele! — Przyszło opamiętanie po czasie, ale nie zawrócisz co poleciało... żeby to ślepy oczy miał!

Zwykle córka odpowiedziała na każde słowo i Prokop jakkolwiek wymowny, ledwie się mógł przed nią utrzymać, zdumiał się więc nie słysząc odpowiedzi żadnej i nie widząc w twarzy ani gniewu, ani niecierpliwości, łzy strumieniem ciekły cicho po zbladłych policzkach, a ręce się trzęsły jak w febrze. Przystąpił krok ku niej.

— Co tobie jest?

Andzia spuściła głowę.

— Przecież ty nie taka głupia żeby ciebie lada kto w pole wyprowadził, choć to i rozumnym się trafia; ale z was każda dziesięć razy od nas bystrzejsza,

gdzieżbyś ty się dała lada mazgajowi obałamucić! Czyżby już na ciebie przyszła godzina?

I potrząsł ją za ramię, ale Andzia milczała.

— Złe! — rzekł w duchu — a dawno to temu? — spytał Agafji.

— Już wam mówiłam że tydzień z górą.

— Ale wy wiedzieć musicie co się jej stało? gdzieby baba nie wiedziała?

— A co ja wiem! —ruszyła ramionami Agafja płacząc, — wiem tylko to, że mi żal dziecka, choć mu nic poradzić nie mogę.

— A ja co poradzę! — dodał Prokop spluwając. — Wszyscy do mnie jak w dym po radę, a zkądże ja jej nabiorę! człowiek o sobie dla ludzi zapomniał... ale jej nic nie będzie, — rzekł oddalając się, — wysiedzi się, wypłacze, wyplunie tego djabła didkowe dziecko i pójdzie drugich szukać!

To mówiąc stary powlókł się do alkierza, a Agafja pięść za odchodzącym pokazała.

Andzia pozostała jak była nieruchoma i zamyślona, trwało to jeszcze dni kilka, potem jednego rana wstała, ubrała się i poszła do kościoła, a niańka powlokła się za nią. Siedziała tu nie modląc się, dopóki drzwi braciszek Dynio nie przyszedł zamykać, i powróciła chmurna na swoją ławę.

— To już lepiej, — mówiła w sobie Agafja, — powoli jej odejdzie; i pochwaliła się rano przed Prokopem, który głową tylko pokiwał.

— Wiedziałem ja dobrze że jej nic nie będzie, — rzekł, — didkowe dziecko! my jej a ona nas nie zrozumie, ona wie swoje, a jak piśnie, to jej tatunio pomoże.

Nazajutrz rano zerwała się Andzia z pościeli i głośno zawołała na Agafję, która do niej składając ręce nadbiegła.

— Matkę widziałam! — zawołała, — taką jak dawniej, białą a jasną, przyszła znowu do mnie.

— We śnie? — spytała stara.

— We śnie czy na jawie, nie wiem, alem się jej skarżyła, i przytuliłam głowę do jej piersi i lżej mi się zrobiło.... kazała mi iść pieszo do Częstochowy.

— Dokąd? jak? — przestraszona zawołała Agafja.

— Do Matki Boskiej, — odparła Andzia zabierając się odziewać szybko i zbierając rzeczy w węzełek, — pójdę po jałmużnie.

— Ty? ty moje dziecko? sama jedna? Jakże to być może? — krzyknęła Agafja, — jak my stare puszczamy się na pielgrzymkę to jeszcze choć z biedą, ale tobie młodej i pięknej, samej jednej się powlec, chyba na zgubę oczywistą! Tyle złych ludzisków po świecie!

— To mnie matka obroni! a pójdę kiedy ona każe! — odezwała się Andzia — tu mnie co dzień gorzej i smutniej, trzeba uciekać.

I nie odzywając się więcej do starej która patrzała przelękła, jęła się gotować do drogi natychmiast ściągając bieliznę, chowając niepotrzebne, tak że ku południowi już wszystko skończywszy, nad wieczór wyjść postanowiła. Ten zamiar nagle przyprowadzony do skutku, przestraszył przywiązaną Agafję, która na próżno usiłując powstrzymać łzami i prośbą, pobiegła dać znać Prokopowi do gospody.

Trafem stolarz był na chwilę wolny, gawędził tylko z arendarzem i posłyszawszy wieść tę w porze niezwykłej, powrócił do domu. Znalazł już dziewczę czarno odziane z węzełkiem na ramionach oczekujące tylko niańki powrotu aby się puścić na pielgrzymkę i trochę się zmieszał gdy Andzia do nóg mu się rzuciła żegnając go ze łzami. Cofnął się stary Prokop mrucząc.

— Ot znowu co nowego! — załał, — dokoądże cię utrapienie prowadzi?

— Idę do Częstochowy.

— Taż to za światem.

— Ludzie chodzą i ja dojdę.... bywajcie zdrowi ojcze....

— Pomiarkujże się Andziu, — rozczulony nieco rzekł stolarz, — czego tobie tak daleko, Pana Boga wszędzie znajdziesz.

Dziewczę zamilkło....

— Sama jedna, bez grosza?

— Chodzą ludzie za jałmużną, a nikt nie umarł z głodu.

Prokop spoglądał i nie wiedział co mówić dalej, ale widać było z twarzy, że się frasował.

— I mnie tak porzucicie? — zapytał.

— Jam wam wcale niepotrzebna, — odpowiedziała dziewczyna, — nie kochaliście mnie nigdy, nie patrzaliście nawet, nie postrzeżecie gdy ubędę.

— A cóż? chciałaś bym cię na kolanach trzymał i pieścił się z tobą.... Jest ich dużo co ciebie kochają lepiej, a co tobie z mojej miłości! Przecieżem nie katował i nie męczył?

— Teraz też ani postrzeżecie że sobie pójdę.

Stolarz obrócił się do Agafji.

— Ja jej nie przekonam, — rzekł, — to dawno wiadomo, że człowiek gdyby jak był rozumny, to go obcy będą słuchali i szanowali, a w domu nikt. Mnie cała gromada cześć oddaje i słowa mojego prosi, ale własnemu dziecku nie potrafię nic... ona widać rozumniejsza odemnie! Ot już noc, — dodał, gdzie teraz wam iść, poczekajcie choć do jutra.... nie tak szparko.

Andzia spojrzała przez okno na zachodzące słońce, złożyła węzełek i usiadła na dawnem miejscu, a stary Prokop zakręciwszy się po izbie, pospieszył do karczmy wedle obyczaju.

— Nie zostaniecie? — spytała Agafja....

— Nie! jutro o świcie w drogę! to darmo! matka przykazała, a tu nie mam co robić dłużej...... bo bym umarła.

— To już ja cię samą nie puszczę, — odparła niańka, — gdzie ty, tam i ja, pójdziemy razem....

Andzia nie zdawała się słyszeć tych słów tak znowu pogrążona była w myślach i nie rozdziewając się usnęła na ławie dnia oczekując. Stara zmiarkowawszy

że nic nie poradzi, jęła się sama wybierać i związała węzełek, przygotowała kij, żegnając wszystkie kąty do których przywykła, zebrało jej się na płacz, ale płakała cicho aby dziecka nie budzić, a gdy pierwszy brzask zaświecił w okienku, obie były na nogach. Prokop spał w alkierzu po wczorajszej biesiadzie, gdy dwie pątnice otwarły drzwi pocichu i powolnym krokiem Andzia naprzód, za nią Agafja puściły się ścieżyną nad stawem w nieznajomy sobie świat.

Słońce dobrze weszło gdy stolarz się ocknął i przeciągnąwszy zajrzał do pierwszej izby w której nikogo nie znalazł, napróżno wołając Agafji.

— Otóż jak mówiła tak i zrobiła, — rzekł trzęsąc głową i ściskając pięście, — didkowa córeczka, poszła w świat i zabrała z sobą Agafję, a mnie tak porzuciły samego jak palec.... choć chatę kołkiem podeprzeć i sobie pójść z torbami.... ani ognia, ani strawy, ani ludzkiej twarzy.

Kogut stary wlazłszy na stół zatrzepotał skrzydłami i zapiał krzykliwie schrzypłym głosem na odpowiedź stolarzowi, który ujął czem prędzej za czapkę do miasteczka pospieszył nie mo gąc już w chacie p u stej wytrzymać.

Dwa czy trzy dni myślał jeszcze że kobiety powrócą, czwartego posmutniał bardzo i nie przyszedł na noc do domu.... a w tydzień zebrana gromada prowadziła na cmentarz nieboszczyka Prokopa, który zasnąwszy na ławie w gospodzie, już się więcej nie przebudził.

XIV.

Chmurna jesień z szaremi obłoki wisiała nad Kaniowcami, a uliczki miasteczka bokami powydeptywane przez mieszkańców, środkiem okryły się nieprzebrnio-

nem błotem. Zwykle ta pora nawet w Dworkowej ulicy, nieco piasczystej i suchszej, a gdzieniegdzie w kładki opatrzonej, zrywała stosunki towarzyskie między sąsiadami i zamykała ich po domach do pierwszych przymrozków.

Nie zdziwiono się też wcale gdy pan Joachim coraz mniej zaczął się pokazywać, w niedzielę tylko rano przechodząc na probostwo z książkami, które odnosił i przynosząc sobie nowy zapas strawy na tydzień cały. Często Podkomorzanka czatowała nań w ganku i powoływała gwałtem do siebie, ale Wielica posłuszny rozkazom, przychodził tylko na chwilę i wyrywał się nazad jak gdyby najpilniejsze miał zajęcie. Niepokój jaki czuł w duszy jeszcze, kazał mu unikać Adeli, której widok zawsze na nim silne robił wrażenie. Walczył on z niem wszelkiemi środkami ludzkiemi i potęgą woli, przecież nie mógł się łudzić, by niebezpieczeństwo ustało. Po powrocie ze wsi mniemał się wyleczonym z marzeń próżnych, ale rozmowa dłuższa, pobyt w domu Podkomorzanki, budziły tak silnie znowu uśpioną namiętność, że Wielica postanowił nie narażać się na odnowienie jej i unikać widoku Adeli.

Ale któż tak pewien siebie i panem swej woli, by spełnił co zakreśli? samotnika napadały tęsknoty niewysłowione, smutek ciężki, niepokoje straszne, a w ostatku usłużny ów rozum, który umie na wszystko znaleźć radę, łamał najlepsze postanowienia, wynajdując powody odwiedzenia Podkomorzanki i ukazując ich nieszkodliwość.

Spokojniejsza to była miłość niż w początku, nie łudząca się nadziejami próżnemi, ale nie mniej uparta, i gdy już sądził, że ją wyrwał z serca do szczętu, znajdował wyrosłą jak chwast, którego wyplenić nie było podobna.

Dziecię z początku z naiwnem współczuciem rzuciło się było ku człowiekowi, który zdumiał ją swą powagą, charakterem i wyższością, serce jego zaczynało bić gdy oziębłość, umyślne oddalenie się, chłód okazywany mu, wstrzymał rodzące się przywiązanie.

— Mógłbym być jeszcze szczęśliwym! — mówił sobie Wielica, — ale czy dla niej byłoby to szczęściem co dla mnie jest największem? Godziż się poświęcać ją nieopatrzną mnie staremu i zużytemu, co sił już nie mam na dźwignienie brzemienia przyszłości! Nie! nie! kto raz wyszedł na plac i padł, drugi raz nie powinien sił próbować.

— Niech będzie szczęśliwą! — dodawał, i niech mi wolno będzie patrzeć na nią z daleka tylko — to dosyć powinno być dla mnie.

I wracał do swoich ksiąg, kominka, samotności, a przechodząc mimo okien dworku, unikał nawet spojrzenia w okna, bo uśmiech Adeli burzył go, a wzrok jej śnił się dnie długie i siał w nim niepokój nieprzemożony. — Często gdy już się sądził bezpiecznym i wyleczonym, jedna godzina spędzona przy niej, znowu go czyniła nieszczęśliwym i dowodziła, że chorobę uśpił tylko. — Książki, polowanie, długie myśli o przeszłości, nie wystarczały, przychodziły godziny bezsilności, tęsknoty, rodziła się potrzeba ludzi i towarzystwa i Wielica musiał uciekać z domu na probostwo lub do Żelizów. U księdza Herderskiego rzadko znalazł pociechę i rozrywkę, bo na plebanji nieustannie pełno było ludzi, i gościnne jej drzwi nigdy się nie zamknęły. Ktokolwiek przyjechał na nabożeństwo z sąsiedztwa lub przejeżdżał przez Kaniowce, na popas, nocleg, odpoczynek, szedł do poczciwego pijara. Zamęt więc był wielki zawsze, a coraz nowe twarze i nowi ludzie, których lubił widzieć ksiądz dziekan, przykrzyli się Wielicy. Częściej więc nie mogąc przystać ani do Szambelana, ani do Referendarza, pan Joachim szedł do starego Żelizy i tam po kilka godzin przepędzał, niekiedy zajrzał do Malutkiewicza, choć tam zawsze prawie słuchać potrzeba było Seneki, co się w końcu przejadło.

Spokój starca, jego łagodność, pewność, że się go znajdzie takim jutro, jakim się porzuciło wczoraj, co z ludźmi rzadko się trafia, czyniły towarzystwo jego miłem dla Wielicy.

Umysł jego był dowodem jak jedna księga boża lepiej kształci i wypełnia człowieka od ludzkich tysiąca; Wielica czytał niezmiernie wiele, badał i rzucał się na wszystkie strony, starzec ów oprócz Pisma świętego i żywotów oprócz kilku ksiąg pobożnych, nic prawie nie znał — przecież widział jaśniej, sądził bezpieczniej i wobec niego pan Joachim czuł się słabym i niedorosłym. Jego pojęcia o ludziach i świecie oparte na wiekuistych a prostych podstawach nigdy go nie myliły, miłość którą czerpał w ewangelji dopełniała reszty, pogląd na rzeczy był spokojny i górujący, nie dziwiło nic, nie przerażało, a wiara w cud i zakreślenie granicy rozumowaniu, wstrzymywały zaciekania próżnej ciekawości. U łoża jego często godziny długie spędzał Wielica ucząc się cierpieć, czerpiąc spokój, którego mu brakowało zawsze, podziwiając pogodę duszy Łazarza i dziecięce jego wesele.

Wszyscy go tam nazywali ojcem i Wielica z innemi, a starzec przyjmował to imię płacąc za nie prawdziwie rodzicielską czułością. Zbawienny też wpływ wywierał na otaczający go światek, a to życie osamotnione, całe w Bogu, dawało mu siłę niemal jasnowidzenia i przeczucia. Myśl jego odgadywać się zdawała co we wnętrzu duszy kto przynosił, i zdumiewała nieraz obnażając łagodnie rany, które się mniemały dla wszystkich oczów zakryte.

Biedny Szambelan najwięcej go unikał, często narażony na przymówki i nauczki, których znieść nie mógł, bo się poprawić nie chciał.

Tej zimy mimo powiększenia towarzystwa przybyciem Adeli i jej ojca, dnie zdawały się dłuższe i cięższe do przebycia niż kiedykolwiek, wszyscy narzekali na nudy oprócz Malutkiewicza i Żelizy. Referendarz napróżno grzebał się w gazetach, których nowinami nie zawsze się miał z kim podzielić, jeśli na probostwie słuchacza powolnego nie znalazł, pannie Petronelli brakło plotek, Szambelan osmutniał i rękę skaleczył, co go równie od tokarni jak od klawicymbała odegnało. Pani Farfurska chorowała, Poroniecki nie mógł po

śniegiem przysypanych włóczyć się zwaliskach, Podkomorzanka żałowała Oktawa, a podobnież i pannie Adeli go brakło.

Na Dworkowej uliczce w śniegu obfitym, ledwie kilka ścieżynek wydeptanych wązko, świadczyły jak mało było ruchu i stosunków wzajemnych.

Na chwilę tylko przerwała ciszę śmierć niespodziana kuzyny Szambelana, która przebolawszy kilka tygodni i już zdając się do zdrowia przychodzić, nagle zduszona jakimś atakiem do piersi, życie skończyła.

Trzeba oddać tę sprawiedliwość Szambelanowi, że ją serdecznie opłakiwał i wystąpił z pogrzebem wspaniałym, sam się nim zająwszy z pilnością wielką... ale choć głęboko wzdychał wspominając o nieboszczce i wysoko zalety jej głosił, po kilku tygodniach ze zwykłą sobie lekkością powrócił do dobrego humoru, a nawet swobodniejszym się okazywał niż wprzódy. Zmiana jaka zaszła w jego obyczajach, dowiodła że pani Farfurska nieco ostro trzymała powierzonego jej pieczy krewnego, który z wszelkich czynności musiał się jej tłumaczyć i brał pozwolenie jeśli mu gdzie wyjść przyszło, nie śmiejąc przekroczyć terminu w obawie admonicji jaką to na niego ściągało. Teraz Wędżygolski ruszał się, chodził, postępował inaczej, a odświeżony strój i staranie około siebie okazywały, że jeszcze myślał niekiedy o przybraniu sobie towarzyszki żywota, z czem się zresztą nie taił.

— Dlaczegobym się nie miał ożenić? mój prapradziad w siedmdziesiątym ósmym roku życia poślubił sobie ubogą wprawdzie ale dobrego rodu panienkę nie starszą nad lat dwadzieścia, i był z nią szczęśliwy, a nawet doczekał się konsolacji...

— Stosowniejby było żeby wieki małżonków lepiej się zgadzały — mówił ksiądz Herderski — jeśli już koniecznie żenić się trzeba.

— Boskie i ludzkie prawa nakazują! — wołał posłuszny Szambelan.

Panna Petronella nic przeciwko temu nie miała, ale według jej teorji także młody powinien był żenić

się ze starą, a dojrzały z młodą; zapewne dlatego, aby zawsze pierwiastek młodości jakikolwiek znajdował się w małżeństwie. Byli ludzie życzliwi, którzy siostrę Referendarza swatali nawet Wędżygolskiemu, ale ten się oburzył przeciw myśli tak zuchwałej.

— Sługa uniżony! — mówił — wcale nie mam ochoty do grzybów... niestrawna to potrawa...

Ktoś ten niewczesny żarcik doniósł do uszu Petronelli i nie dziw, że tak nieprzyzwoite wyrażenie gniew w niej potężny wzbudziło. Starała się nawet wymódz na bracie, aby gazet Szambelanowi nie dawał, i dom mu zamknął, na co jednak polityk się nie zgodził, ale ilekroć Wędżygolski przybywał, panna Petronella z wielkim hałasem wynosiła się z domu; a na ulicy choć nisko jej się kłaniał, nigdy go widzieć nie raczyła.

Ucieczka Andzi, śmierć Farfurskiej, żywot nowych małżonków, były przedmiotem rozmów na plebanji i w miasteczku przez całą zimę, a pierwszy skowronek zwiastujący wiosnę i powrót Oktawa, zaśpiewał wszystkim do serca.

Adela nawet zarumieniła się, gdy jej o tem wspominała matka, i uśmiechnęła figlarnie.

— Ktoby pomyślał — rzekła — że nam tak bardzo ten młokos tu potrzebny?

— Ale się wcale gniewać jednak nie będziemy gdy powróci — dodała Podkomorzanka — nie mówię ty, bo masz zawsze czem się zająć i starczy ci jeszcze własnego życia, ale nam starym widok młodych potrzebny, ożywiający, rzeźwiący... Żelizo liczył miesiące, teraz tygodnie, później dnie i godziny rachować zacznie; ja sama radabym, żeby powrócił i znowu przyszedł nam czytać i opowiadać. Przyznaję się, że mi tego chłopaka braknie...

— A Bóg tam wie — odezwała się Adela, co z nim przez ten rok się stało, mógł się tak bardzo odmienić, roztrzpiotać... i całkiem o nas zapomnieć.

— No! to sobie przypomni! — rozśmiała się matka — nie mam wcale prawa wymagać, aby się w nas kochał,

a nawet pewna jestem, że nam się ledwie trochę przyjaźni dostanie, bo chłopiec pewnie tam do kogoś przylgnął, i nie radabym znowu zbytniej jego czułości.

— Czemu, kochana mamo? — spytała naiwnie Adela...

— Doskonałe pytanie! czyż moja Adelka nie warta kogoś lepszego nad żaczka Żelizę, którego ojciec służył u nas za ekonoma...

— Mamo! mamo! — przerwała Adela — jak to do ciebie niepodobne, daruj mi! — coś powiedziała...

— A jednak — smutnie odezwała się Podkomorzanka — przyjdzie mi może powtórzyć, com mówiła Żelizo święty człowiek, zapewne; młody, dobry chłopak, ależ to nie ów ideał, o którym ja marzę dla ciebie.

— A gdzież go mama widziała, ów godny mnie ideał?

— Dotąd znaleźć go nie mogłam, ale nie rozpaczam, Pan Bóg nam przyszle, gdy przyjdzie pora.

— A gdyby tak zapomniał, jak o pannie Petronelli!

— A! złośliwa dziewczyno! — przerwała, śmiejąc się Podkomorzanka — on tylko o tych zapomina, którzy nazbyt o sobie pamiętają... Wpadłyśmy na niebezpieczny przedmiot i lepiejby mu dać pokój.

— Więc damy mu pokój! — wesoło odparła Adela i na tem się teraz skończyło.

XV.

Rok prawie ubiegł od wyjazdu Oktawa i ucieczki Andzi, o której nic słychać nie było, chata stolarza stała pustką, a władza miejska nie mogąc jej wynająć, okna tylko powyjmować kazała jako rzecz kosztowną i deskami je zabiła, furtkę od grobli w poprzek dwoma dylami przymocowawszy, aby tam nikt nie chodził.

Na wiosnę wyrosły bujno chwasty w ogródku i trochę trawy na mogile Prokopa, o którym tylko w gospodzie wspominano często w trudnych razach. Andzi nie było widać, o Agafji ani słychu, a pięknej dzieweczki zapomnieli wszyscy prócz Szambelana, który zawsze z gorącem o niej mówił uczuciem.

Znowu rozzieleniły drzewa w ogrodzie pojezuickim i Poroniecki powlókł się na ruiny szukać i domyślać celi rektora. Pociągnął on parę razy z sobą Wielicę, ale ten uśmiechnąwszy się, wolał iść na polowanie, niż szukać skarbów po wilgotnych lochach.

W lipcu nareszcie jednego wieczora, uboga bryczyna stanęła przed dworkiem Żelizów, i Oktaw wyskoczył z niej wprost w objęcia matki, która w niemym uścisku powiodła go do ojca. Stary miał siłę na przeciwności i cierpienie, ale mu jej już brakło na wzruszenia radości, i słów nie znalazł na powitanie ukochanego dziecka, drżąc tylko, tuląc je i płacząc, a patrząc mu w oczy, jakby w nich chciał dobadać, co rok ten dodał chłopcu i jak go przemienił.

Oktaw jeszcze urósł i zmężniał znacznie, ale twarz jego rumiana nie straciła świeżości ani oczy blasku, ani usta poczciwego młodości uśmiechu. Łzy kręciły się pod powieką poczciwego dziecka, a wargi zebrać się nie mogły na słowo.

Żelizo ledwie wypuściwszy go z objęcia, złożył ręce i obróciwszy do ołtarzyka, począł się modlić gorąco; dopiero po długiej, cichej modlitwie, wśród której żona i syn stali, czekając z poszanowaniem jej końca, obrócił się do Oktawa i podał mu rękę do pocałowania.

— Wracasz — rzekł — modliłem się codzień, żebyś nam przybył całym, zdrowym na duszy i jak byłeś poczciwym, w tej chwili dziękując Bogu, że mi cię dał oglądać, jeszczem Go prosił o toż samo. Patrz mi w oczy, nie zmieniłeś się dzięki Bogu! to dobrze! nie zestarzałeś, rad jestem, bo młodość długo chować potrzeba... powiedzże nam co o sobie.

— Drogi ojcze... to tylko z głębi serca wyrzec mogę, że się mnie nie powstydzisz, żem pracował szczerze,

że w duszy jestem spokojny i w zgodzie z sobą, a tak szczęśliwy z powrotu do was, iż żadnem słowem wyrazić tego nie potrafię.

Bryczka, z której jeszcze tłumoczek chłopaka dobywano, zaraz zwróciła oczy sąsiadów, których już turkot zaciekawił, domyślano się codzień oczekiwanego Oktawa i Malutkiewicz pierwszy zjawił się na progu ubogiej chatki.

— A! witajże witaj! *doctissime!* jak się masz chłopcze? niechże cię uściskam! przecież przypomniałeś Kaniowce i obowiązki swe i przyjeżdżasz nas rozweselić, wędrowna ptaszyno! *Vultus tuus loquitur! non opus est te diure*, widzę, żeś także rad z powrotu, a my wygnańcy to się też nie mówi.

I ścisnął go z uczuciem stary tłumacz Seneki.

— Wszyscyśmy na miejscu — dodał — nie ubyło nic prócz jednej niewiasty, towarzyszki Szambelana.... *mori est felicis, antequam mortem invocet...* Jak widzisz trzymamy się krzepko, i ani znać, żeśmy roczek przebaraszkowali... Ja nawet — rzekł — zdaje mi się odmłodniałem... wraz z Szambelanem myślę się żenić... Przywozisz-że co z uczonego świata? — wydano przecie co ludzkiego, poważnego?

— Zapominacie, żem ja medyk — odezwał się Oktaw — a moja łacina ogranicza się barbarzyńską, lekarską, której wy niecierpicie.

— Nic nie szkodzi, zawsze to łacina, a ona jest podstawą wszelkiej nauki... Ale dajmy rozprawom pokój, ot dobrze żeś przyjechał, przeczytam ci parę rozdziałów z Seneki, których tu nikomu w uszy włożyć nie mogłem, taka jest obojętność powszechna, a mnie'ć przecie potrzeba kogoś męczyć moim Lucjuszem.

Tuż zjawił się ksiądz Herderski, który idąc do Poronieckich, zobaczył wózek i przyszedł podzielić radość Żelizów.

— *Laudetur Jesus Christus!* — zawołał w progu — kochanego Oktawa! Aleś mi wyrósł! aleś zmężniał, nie wątpię o głowie i sercu. Chciałem cię tylko powitać i rodzicom nie przerywam, by się tobą nacie-

szyli...... professorze, chodźmy, niech się wygadają i napłaczą, świadki tu nie potrzebne.

W dworku Poronieckich już przychodząc z nowiną, znaleźli wszystkich zawiadomionych, bo panna Adela widziała przez okno przybywającego Oktawa i właśnie sprzeczały się z matką, która utrzymywała, że to nie młody Żelizo jechał, ale syn Szambelana.

— A widzi mama! — zawołała Adela.

— Widzę moje dziecko, żem ślepa — odpowiedziała matka — i że ty masz oczy doskonałe!

— Radość tam wielka — przerwał proboszcz — stary płacze i modli się, matka stoi i patrzy na syna jak w tęczę, a poczciwy Oktaw czerwieni się z radości, całując ich po rękach.

Wnet wieść ta gruchnęła po całem miasteczku, Szambelanowi oznajmił chłopiec, Szambelan pospieszył z nią do Wielicy, Referendarz dowiedział się od krawca, panna Petronella od żydówki, nawet braciszek Dynio uśmiechnął się, gdy mu o tem dzwonnik zaraportował.

Całe miasteczko odżyło, drzwi dworku nie zamykały się, a ta miłość dla dziecka jego rozczuliła znowu Żelizę.

— Idźże, rzekł do Oktawa, — obejdź wszystkich i powitaj a podziękuj, ludzka miłość także coś warta, a pierwsze jej poruszenie zawsze dowodzi, że się na nią zasłużyło.

— Dla was i mnie trochę kochają, — odparł chłopak, — nie czuję bym ja sam na to zasłużył.

Pierwszy krok Oktawa zgadniecie dokąd go poprowadził, minął dom Referendarza, którego siostra nawet w szybę stukała usiłując zawrócić trzpiota, i pobiegł do Podkomorzanki. — Po chodzie szybkim poznano go w sieni, Adela zarumieniła się i zwróciła oczy na drzwi, a Podkomorzanka z uśmiechem przywitała przybysza, który patrząc gdzieindziej, do ręki jej nie dosyć prostą obrał drogę.

Poroniecki nawet stał rozjaśniony i wesoły co mu się rzadko trafiało.

Oczy młodych spotkały się niespokojne i badające

wzajemnie, a pomieszanie Oktawa zdradziło uczucie z jakiem powrócił.

— Ślicznieś zrobił żeś przyjechał, — szepnął mu Poroniecki, jutro rano idziemy na górę, zobaczysz jak jestem blizki dopięcia celu... znalazłem schodki, ale korytarzyk zawalony gruzem.

— Mamy książki nowe i czekamy na lektora, — odezwała się Adela.

— Ja także przysłużę się robotą, trzy motki bawełny mam zwijać, — dodała Podkomorzanka.

— Ja go już przywitałem Seneką! — rozśmiał się Malutkiewicz.

— A ja grożę badaniem o nowiny kościoła i duchowieństwa, — rzekł dziekan.

— Słowem żeś asindziej wszystkim tu potrzebny, — dodał Malutkiewicz, — otóż to szczęście młodości, a my starzy choć nami w piecu palić! do niczego!!

Zabawiwszy tu dłużej niż myślał, Oktaw rozpromieniony przyjęciem, rozmarzony pobiegł do Wielicy, ale po drodze pochwycił go Wędżygolski zmuszając wnijść do siebie i rozpowiadając z czułością szczegóły nieszczęśliwego zgonu kuzynki, jej pogrzeb i żal swój wśród osierocenia jakiego doznawa. Musiał rad nie rad wysłuchać Żelizo historji płaczliwej i nie wiele go zajmującej, a w końcu Szambelan oświadczył mu, że raduje się niezmiernie z jego przybycia, gdyż niema komuby się mógł zwierzyć i wylać, a młode tylko serce pojąć go i osłodzić mu potrafi jego boleść.

Pana Joachima znalazł Oktaw nad kilką rozłożonemi księgami zajętego genealogją. Dziwnie zestarzałym i zwiędłym wydał mu się samotnik, którego uśmiech nawet wewnętrzną boleść odkrywał.

W pokoju było ciemno i smutno, Parol schudzony spał pod piecem i ledwie podniósł głowę gdy drzwi zaskrzypiały. Wielica ścisnął ręce chłopaka z uczuciem wielkiem i spojrzał mu w oczy ciekawie.

— Cóż to jest? genealogje jakieś? — rzucając okiem rzekł Oktaw.

— Doskonały środek zabicia czasu, uśmiechnął się

pan Joachim, — próbowałem różnych, ale to łamigłówka najlepsza podobno, żeby zapomnieć co się w koło dzieje. Potrzeba szperać, dochodzić, konfrontować, śledzić, i w końcu...

— Ale do czegóż to się zdało? — zapytał Żelizo.

— Gdy się tedy straci kilka miesięcy, — rzekł Wielica, — dobada nareszcie, że ojcem Wilhelma był niewątpliwie Fryderyk, a Fryderyka Maksymiljan, gdy się nabędzie pewności, że Albert zmarł o cztery lata później, niż podaje ten lub inny kronikarz, gdy drzewo całe wyrośnie rozłożyście, naówczas rzuca się je w piec i rozpoczyna robotę około drugiego...

— Smutna rzecz, tyle zmarnowanej pracy!

— A pracować potrzeba przecie! — westchnął Joachim... choć bez celu... Tyś jeszcze młody — rzekł, i przed tobą w koło rozrzucone gościńce, my już stoimy u kresu i niecierpliwie tupiemy nogami u drzwi... Stary Parol staje do krzaków, na których siedziały kuropatwy, a ja do książek pustych, jak te krzaki.... z nałogu oba.

Nie wiedząc jak i dlaczego po krótkiej rozmowie, gdy Żelizo wyszedł z dworku Wielicy, znalazł się na grobli u młynów, naprzeciw chaty Andzinej. Mrok już padał i potrzeba mu było powrócić do rodziców, a niespokój jakiś powiódł go mimowoli w tę stronę... Dopiero zbliżywszy się, dojrzał, że chata była pustą, furtka zabita, okna założone deskami, a ścieżynka trawą porosła.

Nie było nikogo, coby mu to wytłumaczył, i tęskno jakoś wszedł na rynek miasteczka — nie kochał może Andzi, ale jej przywiązanie budziło w nim litość serdeczną, a piękne dziewczę przypominało mu lata dziecinne... Nie śmiejąc wszakże zapytać o nią, wracał już ku domowi, gdy na drodze spotkał Szambelana, który szedł na wista do assesora. Jakby myśl jego odgadł, staruszek począł mu opowiadać naprzód o sobie, potem dziwnym zwrotem wpadł na Andzię.

— Wystaw sobie — rzekł — wkrótce po twoim odjeździe, jak mi opowiadano, dziewczyna zachorowała,

posmutniała, nareszcie coś jej przyszło do głowy i jednego pięknego poranku puściła się na pielgrzymkę do Częstochowy.

— I nie wróciła?

— Ani widu, ani słychu! ojciec potem zapił się i zmarł sobie w gospodzie na ławie, a chatę nawet zaparto i nikt w niej nie mieszka. Szkoda dziewczyny, bo była piękna jak gdyby w jej żyłach szlachetniejsza krew płynęła...

Tyle tylko dowiedział się Oktaw od starego, który go na rozstroju pożegnał, spiesząc na wieczorek, on sam musiał jeszcze do Referendarza zabiedz na chwilę.

Kwaśno go przyjęła Petronella, ale ciekawie obejrzała, Referendarz poważnie i protekcjonalnie jak na wysokiego urzędnika i wytrawnego człowieka przystało. Nie okazano mu czułości, a panna tylko sarkastycznie spytała, czem tak był zajęty, że nie słyszał, gdy na niego pukała.

— Młodość ma swoje prawa! — rzekł sentencjonalnie Referendarz.

Panna Petronella wysypała naraz wszystkie nowiny już znane, ale z własnego stanowiska je przedstawiając, opowiedziała o śmierci pani Farfurskiej, o pogrzebie jej, który, jak dowodziła, nie udał się wcale, z przekąsem nadmieniła coś o dziwacznem postępowaniu Poronieckiego, a nawet wspomniała o Andzi, wedle niej, zbiegłej z jakimś oficerem od komissorjatu, który tegoż dnia wyjechał. Dodawała, że o trzy mile za Kamieńcami widziano ją na jego kibitce.

Tak spędził Oktaw pierwszy dzień w rodzinnem miasteczku.

XVI.

Nazajutrz jeszcze był nie wstał Żelizo po kilkodniowej podróży i bezsenności spoczywający w izdebce swej dziecinnej, gdy Poroniecki do drzwi jej zapukał.

— Wstawaj śpiochu, — rzekł, — i chodźmy do roboty!

— Gdzie? dokąd?

— Juściż w ruiny gdzie się łatwo przekonasz, żem teraz trafił na właściwą drogę i o kilka kroków tylko jesteśmy od pożądanego celu. Nie mało się nameczyłem tem, że muszę się taić aby moich poszukiwań nie zwietrzono i jak kuna do nory się chować, ledwie co zaszeleści; pracuję powoli, ale się nie zrażam i tego lata we dwóch musiemy się do drzwi dobić. Wystaw sobie, żem już z musu sam podołać nie mogąc zadaniu, zwierzył się poczciwemu Wielicy, ale ten ruszył ramionami i wyrzekł się wszystkiego, do niczego nie chcąc się mieszać. Moja żona, której się wyspowiadałem, także się śmieje...

— A ja?

— Ty się sobie będziesz śmiał jeśli ci z tem zdrowo, ale mi pomożesz, — rzekł Poroniecki, — prawda?

— Jak każecie?

— I twoja ta szalona Andzia już ci nie przeszkodzi,—z uśmiechem, po cichu szepnął Poroniecki.— Bóg wie co się z nią stało, nagle przestała chodzić do Adelki na naukę, zamknęła się w domu, a jak ludzie mówią, poszła na pobożną jakąś pielgrzymkę, z której dotąd nie powróciła... biedne dziewczę... Uwolniła cię przynajmniej od wielkiego kłopotu i niebezpieczeństwa...

Oktaw się zczerwienił i położył palec na ustach obawiając, aby matka nieposłyszała tych niewczesnych użaleń.

Chociaż na ten dzień wszystkim się był niemal obiecał Oktaw, musiał jednak pójść naprzód z Poronieckim, który gwałtem ciągnął go w ruiny klasztoru. — Stary

aktor nie przestawał mu w drodze opisywać w jaki sposób doszedł tajemnego przejścia, celi rektora i korytarza w prawo zasypanego gruzami; ale Oktawa więcej tu ciągnęły wspomnienia biednej stolarzanki, miejsce gdzie pierwszy raz zobaczył Adelę, pamiątki lat dziecinnych, niż skarby zakopane.

Obojętnie zszedł z Poronieckim w zwaliska, na owe wschodki i dostał się z nim do zasypanego ciasnego przejścia, które biedny marzyciel napół już był odgrzebał z ciegieł i ziemi do pasa tam nagromadzonych. Nie mogąc nikogo użyć do pomocy, sam on potrosze w skórzanym fartuchu, który przywdziewał do roboty, w pocie czoła wynosił gruz i glinę do bliskiego lochu i tak powoli oczyszczając korytarz codzień wyglądał nowego zwrotu w jego kierunku, któryby go upewnił, że na prawdziwą trafił drogę.

— A jeżeli po tym wysiłku, — zapytał Oktaw, — przejście się w lewo znowu zawróci?

— Znak, żem się omylił, będę szukał gdzieindziej, — rzekł Poroniecki obojętnie.

— Mój Boże, to genealogja pana Joachima! — rzekł w duchu młody człowiek, — ale nie chciał już zrażać biednego szaleńca, i podjął się nawet dźwigać z nim cegły, aby prędzej dojść do nadziei lub odczarowania.

Odbywszy przechadzkę po ruinach, które już towarzysz jego znał jak dom własny, Oktaw musiał wrócić do Malutkiewicza, wysluchać Seneki jego, a po obiedzie dopiero pobiegł gdzie najgoręcej być pragnął, do Podkomorzanki i Adeli.

Jak gdyby wczoraj dopiero porzucił tu książkę otwartą, znalazł swój stoliczek nagotowany, krzesełko przy oknie i gospodynię przy tej samej siatce z pospuszczanemi okami, które znał tak dobrze, a co najlepiej uśmiech Adeli świeży, wejrzenie orzeźwiające, i drobną jej rączkę, która go witała czystym uściskiem siostry... Rok ten nic jej nie zmienił, spoważniała tylko nieco, i przywykłszy do nowego życia trybu, spokojniejszą twarzą witała dni jednostajnie płynące, nie pragnąc w nich nowych żywiołów. Oktawowi tylko wydała się piękniej-

szą jeszcze, niedostępniejszą i straszniejszą, jeszcze bardziej ideałem na który z nieśmiałością zwracał oczy pełne uwielbienia.

— A! otóżeśmy jak przeszłego roku, — odezwała się Podkomorzanka, — i lektor i słuchacze na miejscach, cóż nam tam przywozisz za pokarm duchowy?

— Nie braknie go, — rzekł Oktaw, choć może nie zbyt pożywny... ale jest w czem wybierać i dostatek rozmaitości — poezja, powieść, dramat, nawet historja.

— Na ten raz jabym cię skwitowała, z czytania i nowych płodów, gdybyś nam swoje własne opowiedział dzieje, cały rok toć przecie kawałek życia? — spytała Podkomorzanka.

— Ale cały ten rok zbiegł jak dzień jeden, — rzekł Oktaw, — zajęła go nauka, rozmyślanie, tęsknota i towarzyskie zabawy nasze. Niema w takiem życiu nic wyrazistszego coby się pochwycić dało, trochę to jak w Kaniowcach.

— I trochę jak w klasztorze, — dodała Podkomorzanka, — ale trzeba się umieć i z takiem życiem oswoić i z niem pogodzić, wy młodzi tęsknicie za czynnością i wypadkami, my potrzebujemy tego wypoczynku.

— I panna Adela? — spytał Oktaw z uśmiechem.

— A! ja tu jestem z nich wszystkich najstarsza pod tym względem, bo nie tylko, że nie pragnę zmiany, wrzawy i nowości, ale się ich boję niezmiernie. Przekonana jestem, że życie to obrazki kalejdoskopu, z których jedne są bogatsze i jaśniejsze od drugich, choć w nich pierwiastki zupełnie też same... wierz mi pan, nic a nic nie jestem ciekawa...

— Teraźniejsza to młodzież wszystka taka, — przerwał na ostatnie słowa wchodzący Poroniecki, — nim skosztują życia już z teorji wiedzą, że kwaśne, nic zapału, nic uniesienia, żadnych pragnień i szału, rodzicie się bez zębów i siwi.

— Może to i lepiej! — szepnęła sama pani.

— Im lepiej egoistom! — ale jak świat na tem wychodzi? — dokończył gospodarz. — On musi rachować

na te siły młodzieży jak na to co mu ruch daje i koła jego obraca kosztem bark pokrwawionych; wprawdzie ramiona ocaleją, ale wszystko stoi w miejscu! My starzy już tryumfalnego życia nie popędzim wozu...

— A mój ojcze, — zawołała Adela, dajże te wieki, w których potrzeba było wielkich ofiar w imię prawd wielkich, a znajdą się chętne poświęcenia i dziś: gdzież te nowe prawdy za któreby się warto poświęcić? Świat wierzy w chłodną rachubę...

— Ekonomji politycznej, — dodał Oktaw, która naucza, że kapitał jest złotym cielcem i kłaniać mu się potrzeba...

— A! jużeście wpadli na te narzekania, — przerwała Podkomorzanka, — których ja cierpieć nie mogę, — świat wam coś winien, świat inny, ludzie inni, wszystko złe, tylko my doskonali... Nie widzę, żeby się co zmieniło tak dalece.

— Bo też w Kaniowcach, — rzekł Poroniecki, — nie wiele zobaczyć można, tu jeszcze stare dzieje i ludzie starzy.

— A my we dwoje z panem Oktawem przedstawiamy żywioł postępu i ruchu! — roześmiała się Adela, — ja przy krosienkach, pan w uliczce.

— Nie! nie! mówcie co chcecie, dodał Poroniecki, sam świat doprawdy inny dziś i martwiejszy, przynajmniej u nas, dawniej złe czy dobre ale wszystko obchodziło, rozgrzewało, ciekawiło nawet starych, dziś młodsi starzeją zawczasu i tak są rozsądni, że mróz patrząc na nich przejmuje. Szał dowodził siły, gdy dzisiejsza ostygłość przekonywa o niedołężności.

Podkomorzanka roześmiała się łagodnie.

— Mój drogi, — rzekła, — przeczytaj proszę, czy nie tak samo narzekano, przed dwóchset laty?

— Być może, bo też to się od więcej jak lat dwóchset poczęło...

— Ziemia ostyga i ludzie, — rzekł żartobliwie Oktaw.

— Może ziemia, a pewnie ludzie, — dodał Poroniecki, — nie wiem... ale się to czuje, że zamiast iść na-

przód, cofamy się i zaskorupiamy w sobie... dożywamy resztek nie wiedząc co począć z niemi.

— Może dlatego, jak powiada Żelizo, — odezwała się Podkomorzanka, że każdy z nas żyje sobie i dla siebie. I tak pan Joachim zabija czas genealogjami i formułkami jakiemiś, Szambelan bawi się jak dziecko, ktoś, nie powiem jak się nazywa, szuka czego nie zgubił, Referendarz rozrywa się gazetą, panna Petronella gawędką... a wszyscy razem ziewamy nie wiedząc dokąd się po życie obrócić. Z nas wszystkich stary Żelizo, który się modli i dzieciaków uczy, Malutkiewicz, który pracuje *dla ludzi*, jedni nie narzekają tylko. Cała więc tajemnica w tem, że z egoizmu wyjść potrzeba, a możnaby i resztki życia zużytkować.

— Piękna prawda, — rzekł Poroniecki.

— Ale nie mojego wynalazku, — odpowiedziała Podkomorzanka, — jest to rada starego naszego Łazarza, który nią się rządząc sam, i nam za lekarstwo podaje.

— Gdybyśmy spróbowali? — zapytał gospodarz.

— Ale jak? — żywo przerywając, odezwała się Adela.

— Zamiast robić co nas próżno rozrywa, a do niczego nie prowadzi, gdybyśmy sobie cel jaki obrali i wspólnemi szli do niego siłami? — rzekła Podkomorzanka.

— Na zasadę zgoda! — roześmiał się Poroniecki... ale cóż począć i do czegośmy zdatni?

Gdy tak rozprawiali w progu ukazał się Wielica.

— Otóżeś pan w porę, — zawołała podchodząc ku niemu Podkomorzanka, — olbrzymie mamy zamiary!

— A jam do nich potrzebny? — z podziwieniem ruszając ramionami, — spytał pan Joachim — to coś ciekawego, mogęż się ja jeszcze przydać na co komu?

— Ot tak, — uśmiechając się i zbliżając ku niemu z przyjacielską czułością, — odezwała się Adela, — nie wiem zkąd przyszliśmy do uznania, że wszyscy niemal nie mamy w życiu celu i przez to wielce nam na świecie ciężko. Starzy ubolewają dźwigając resztki życia.

— Nie są one lekkie! — rzekł pan Joachim.

— Wpadliśmy na to uznanie, że możnaby je zużytkować i sobie ulżyć, gdybyśmy je obrócili na korzyść ogółu i czemś się zajęli nie sobie szukając przyjemności i rozrywki, ale dla świata pożytku.

— Ogólnik jak inne, ale cóż tedy połączonemi siłami czynić mamy?

— To właśnie pytanie! — dodała Podkomorzanka, — a że gorące żelazo bić najlepiej, idźmy na radę do starego Żelizy.

— Zgoda, — rzekł pan Joachim..

Wszyscy tedy wraz z uprzedzającym ich Oktawem, zebrali się odwiedzić starca, a syn odebrał polecenie o celu przybycia zawczasu go uwiadomić; jakoż wybiegł najpierwszy, a Podkomorzanka z Adelą, mężem i Wielicą powoli posunęli się za nim.

Na wpół żartem, pół serjo odbywało się to poselstwo do starca, który wysłuchawszy żywego opowiadania Oktawa, zamyślił się smutnie.

— Już wiem o co chodzi, — rzekł do przybywających, dla których Żelizowa krzesełek szukała i sadowiła ich do koła mężowskiego łóżka, — ale cóż chcecie by wam bezsilny starzec poradził? Niema innej prawdy ino jedna a wiekuista, świat nowych chce jak dziecko się bawiąc, a daremne to usiłowanie bo jak jedno słońce na niebie, jedna wielka świeci nam ewangeliczna... Na jutrzenkę życia i na dni zachodu, niema dwóch prawd ani dwóch dróg, ogólne na wszystko i dla wszystkich. Szukać szczęścia drugich, jest to iść do swego własnego drogą najprostszą. Mówiliście zdaje mi się, że wam ciężą reszty życia, czemuż ich nie obrócicie na pożytek drugich, jeśli wam nie potrzebne?

— Ale jak, to właśnie zadanie! — odezwała się Podkomorzanka.

— Każdy przecie ma do czegoś usposobienie, — rzekł stary.

— Naprzykład ja, pytam do czego się mogę przydać, — rozśmiał się Poroniecki, — chyba na profesora złej deklamacji.

— A ja na nauczyciela brzydkiego pisma, dodał Wielica.

— Jabym mogła z korzyścią uczyć spuszczania oczek w siatce, — odezwała się Podkomorzanka.

— A! mój Boże! utrapieni szydercy! — zawołał stary Żelizo, — już wszystko w żart obracają. Chcecie śmiać się czy mówić o czem naprawdę?

— Szydzimy tylko sami z siebie, — smutnie odpowiedziała Podkomorzanka, — a bardzo byśmy ci byli wdzięczni na prawdę, gdybyś nam poddał jaką myśl dla zużytkowania resztek, które trochę na śmiecie idą...

— Nic łatwiejszego! — rzekł Żelizo, — bliźni! oto cel ewangeliczny! Jedni z nich cierpią niedostatek, drudzy opuszczeni psują się w sobie, bo ich nic nie wspiera i nie ożywia, inni giną dla braku światła, bo od chrztu nie słyszą do pogrzebu jednego słowa o Bogu... Wy, tymczasem nie macie co począć z godzinami zbytkowemi, nie godziż się ku nim obrócić? Za pierwszych czasów chrześcjańskich społeczność jak widziemy z listów apostolskich spójną stanowiła całość, wdowy, poświęcone Bogu panny, starcy, bogaci i ubodzy wspierali się wzajemnie nie tylko groszem i mieniem, ale sercem, słowem, nauką, przykładem. Dziś wszyscy idą, gdzie kogo oczy poniosą, o braciach nie myśląc i braterstwo jest słowem, a przestało być obowiązkiem. Jakże wiele dobrego zrobić by można, gdybyśmy jeno chcieli? Oto po ulicach włóczą się dzieci nie umiejące przeżegnać się, pod płotami stękają ubodzy, których nędza prowadzi do nałogów i występku, jest cały lud bez nauczyciela, cały świat ubogich bez opiekuna.... Kto z życiem nie ma co robić, czemużby się nie obrócił ku niemu?

— To prawda, — rzekł pan Joachim, ale potrafiemyż my, cośmy nigdy nie myśleli o tem, nie spotkamyż oporu, nieufności?

— Spotkacie opór pewnie, a na ufność powoli zapracować potrzeba. Ale jakże szli apostołowie do niewiernych? wszak na nich kamieniami rzucano, a pierwszy pasterz ludów z Mamertyńskiego więzienia poszedł

na śmierć męczeńską? Nad sobą trzeba pracować i nad ludźmi, nic nie przychodzi łatwo...

Mówił stary Żelizo, a choć nie bardzo widoczny był skutek słów jego, z twarzy przytomnych poznał, że uczuli prawdę.

— Nieprawdaż, — odezwała się pierwsza Podkomorzanka wstając z krzesła, że stary nasz doskonałą nam daję radę. Pan Joachim zamiast genealogji swoich mógłby doprawdy obmyśleć katechizm dla dzieci, jabym się podjęła go uczyć, mój mąż...

— Sztuka to będzie jeśli męża pani potrafisz uczynić na cokolwiek przydatnym, rzekł Poroniecki.

— Będziesz mi pomagał...

— Ja, zakładam szpitalik dla dzieci i zostaję siostrą miłosierdzia, — zawołała Adela.

— No! a ja? — przerwał od chwili stojący w progu Szambelan, poza którym widać było perukę Referendarza, a ja?

— Waćpan możesz toczyć zabawki dla dzieci lub wrzeciona dla ubogich kobiet! — rzekł Poroniecki, — możesz uczyć śpiewu.

— A ja? — poważniej odezwał się brat panny Petronelli.

— Zrobiemy pana nadzorcą wszystkich zakładów, domu ochrony, pracy, szpitala, szkółki, fabryki, — śmiejąc się, mówiła Podkomorzanka. — Zrobiemy z Kaniowiec coś wzorowego, ósme cudo świata! a z pomocą dziekana, mieszkańców, sąsiadów, zebrawszy się w gromadkę, możemy dokazać wszystkiego co zechcemy...

— Ja mój dworek ofiaruję na co chcecie, rzekł Poroniecki, — na szkółkę czy ochronę.

W taki sposób zawiązała się w Kaniowcach pierwsza myśl zużytkowania resztek życia, na którą wszyscy przystali odrazu, poklaskując jej; i choć pocichu Szambelan mruczał, że to są utopje, a siostra Referendarza nauczyła się od niego wyrazu dymagogi (demagogi), który pocichu także powtarzała, nie wiedząc co oznacza i stosując do założycieli owych pobożnych szkó-

łek i szpitali, nikt przecie i ona nawet nie chciała się wyłączyć i na boku pozostać.

Malutkiewicz rad był, że swą szkółką innych wyprzedził, i chcąc się w czemś przyłożyć do dzieła wspólnego, ofiarował zysk z kiedyś drukować się mającego Seneki na korzyść Kaniowieckich instytutów.

Dość często dobrej iskierki jednej, by poczciwy płomień rozniecić, i tu poddana idea nie poszła marnie, a choć tysiące spotykało się trudności na drodze, z któremi walczyć musiano, wspólnemi siłami usuwały się łatwo. Dziekan i Dynio nawet należeli do stowarzyszenia, a pokorny braciszek nie czując się do niczego zdatnym, ofiarował szkółkę zamiatać i kalafaktorować.

XVII.

Cóż dalej? spytacie. — A nic dalej — odpowiem w pokorze. Powieść ta, jeżeli to powieść, o czem ja, między nami mówiąc powątpiewam, nie ma epilogu i końca.

Połowy tych postaci z któremiśmy zapoznali czytelnika, losów dalszych, mimo najusilniejszego badania. nie mogliśmy się dowiedzieć w żaden sposób. Posyłam świeżo umyślnego do Kaniowiec dla dopełnienia niektórych szczegółów biograficznych, i z żalem mi wyznać przychodzi, że nie przywiózł nic lub tak jak nic.

Czułym sercom głównie o to chodzić będzie zapewne, czy panna Adela wyszła za mąż i z kim się Oktaw ożenił; niezmiernie mi przykro, że nawet w tak ważnej okoliczności zaspokoić ich nie mogę. — Wnioskuję wszakże, że córka pani Poronieckiej obrachowana na pół miliona posagu, młoda, piękna, miła, chociaż się zajmowała szpitalikiem dziecinnym (co nie pomaga do wyjścia za mąż), musiała jednak znaleźć pretendenta. Czy nim był Oktaw? nie wiem i nie śmiem się domyślać.

Wiele prawdopodobieństw jest za tem, wiele przeciwko temu. Jeżelibym jednak pewne jakie o ich losie otrzymał później wiadomości, nie omieszkam ich udzielić.

O innych *quasi* bohaterach powieści mam nieco choć podejrzanych szczegółów i tak:

Najprzód, ksiądz dziekan utył i posiwiał, a na probostwie po danym pierwszym popędzie sam rzemieślniczą zaprowadził szkółkę, w celu dobrze obmyślanym pociągnienia do nauki, dając przy niej zarazem kawałek chleba. — Tym sposobem rodzice chętniej posyłają mu dzieci, a sieroty uczą się pacierza i katechizmu od którychby inaczej uciekały. Dla wielu chłopiąt uboższych nauka tu udziela się nie koniecznie zwykłym trybem przez czytanie i pisanie, bo nie każdemu to potrzebne, ale za to żywem słowem, opowiadaniem, rozmową, wpajają się w pamięć pierwsze główne zasady wiary, nauki życia, i wielkich prawd światem rządzących. Dziekan znajduje, że pierwsi nauczyciele chrześcjan więcej też usty niż piórem kazali i oświecali. Dynio choć tylko skromnego podejmował się kalafaktorstwa, doskonale wszakże przydał się na nauczyciela, a wesoły humor jego jest mu w tem wielką pomocą.

Nad zakładami żeńskiemi, które wiedzie Podkomorzanka, Adela i kilka niewiast mieszczanek, radych, że zostały przypuszczono do tego wraz z śmietanką towarzystwa, nadzór policyjny musiano powierzyć pannie Petronelli, trochę Fourierowską metodą zużytkowując jej talent dobadywania się prawdy... Nietyle już zajmuje sie ona towarzystwem, śledząc każdy ruch dziewcząt chodzących do szkółki i ochrony, i zmuszona wiedzieć ile gruszek zginęło w sadzie, z czyjego powodu i za czyją sprawą. Bywają przykłady, że wie nawet kto zjadł najdojrzalszą. Referendarz jest także honorowym opiekunem, rachmistrzem, kasjerem i buchalterem, on zbiera składki i niekiedy obcym daje do zrozumienia, że sam pierwszą myśl podał ku temu.

Pan Joachim silnie dotąd jest podejrzany o potajemną miłość dla panny Adeli, ale tak dobrze ją ukrywa, że chyba oko zazdrośnika wyśledzićby potrafiło.

Jest on jednym z najgorliwszych członków stowarzyszenia, porzucił genealogje, napisał książeczkę dla dzieci, i codzień więcej zajmuje się wielkiem zadaniem wychowania ludu.

Poroniecki zawsze jeszcze podobno poszukuje pojezuickich skarbów. W pierwszym korytarzu po usunięciu gruzów, które Oktaw nosić pomagał, pokazało się wcale nie to co podług notaty być było powinno, wyszukał tedy innego przejścia i robił około niego rok cały, teraz pono czwartą już oczyszcza ciemnicę, niezmordowanie nad nią pracując. Niemniej jednak chodzi do szkółek i uczy dzieci z innymi, co go nawet dosyć zajmuje, gdy w nich talentu dojrzy. Na ostatnie święta urządzono teatrzyk, którego reżyserem był Poroniecki, przedstawienie zupełnie się powiodło, a mieszczanie Kaniowiec licznem zebraniem dowiedli wielkiego zamiłowania w sztuce dramatycznej. Z żalem przychodzi mi wyznać, że autora sztuki i jej przedmiotu dotąd dowiedzieć się nie mogłem, posądzano jednak Oktawa, który anonimem się zasłonił.

Szambelan mimo najlepszych chęci nie bardzo był zrazu przydatny i nie mógł tej filantropji przystępnie zrozumieć, ruszał ramionami, szydził z niej pocichu, ale podjął się przecie uczyć śpiewu i piosenek dzieciaków, i tak go to dziś zajmuje, że o niczem nie myśli tylko o mszy na cztery głosy, której partje rozpisał i nieustannie je u siebie powtarza. Powiadają, że chciał być użyty i trochę nawet intrygował o to, by zostać dozorcą szkółki dziewcząt, coby mu dozwalało swobodnie starsze i piękniejsze głaskać pod brodę, ale dziś i to już sobie wyperswadował.

O Andzi znikłej tak dziwnie, nikt dotąd w Kaniowcach nie wiedział, pustą jej chatę oddano na szpital dla kalek i starców. Głucha wieść chodziła, że dziewczyna miała gdzieś wstąpić do klasztoru, że stara Agafja zmarła w drodze do Częstochowy, choć inni z równą pewnością utrzymywali, że Andzię poślubił jakiś jegomość, że wyszła na wielką panią i z nieporównanym

wdziękiem przyjmowała w salonie bardzo przyzwoitym roje cisnących się wielbicieli.

Malutkiewicz skończył podobno tłumaczenie nie tylko pierwszego Seneki, ale wszystkich ile ich było, i opatrzywszy komentarzem księgę kontrowersji Rhetora, miał jechać do stolicy, pewien, że dzieło, któremu życie poświęcił, sprzeda za bardzo znaczną summę jakiemu nakładcy, będąc przekonany, że świat tęsknił i domagał się jak najpilniej przekładu ulubionych jego moralistów — musiał się jednak zawieść w nadziejach, bo po odebraniu jakichś listów zaniechał podróży i posmutniał narzekając na zepsucie smaku i zmysłu moralnego w całym świecie.

Inni mieszkańcy wedle wszelkiego podobieństwa żyją dosyć szczęśliwi depcząc coraz głębiej ścieżki na Dworkowej ulicy, i nie czując ciężaru resztek życia, które zużytkować potrafili, czego życząc sobie i czytelnikom, mam honor zostawać z prawdziwym szacunkiem, najniższym ich sługą.

J. I. Kraszewski.

Żytomierz. Wenecja. Rzym. Paryż.
Drezno. Żytomierz. 1858.